



**Elizabeth Robards**



**Uwodzicielka**

*Zostaną malarkami.*

*Czy rozumiecie konsekwencje?*

*W waszym mieszczańskim środowisku będzie to  
prawdziwa rewolucja, powiem więcej - katastrofa.*

*Na pewno nie przeklniecie sztuki?*

*Jeśli choć raz wpuścicie ją za próg swego  
szacownego, spokojnego domostwa, z pewnością  
ukształtuje los waszych dzieci.*

Joseph Guichard

TLR

# Rozdział 1

**Paryż, 1868**

Obudziłam się, nie wiedząc, że tego popołudnia zostaniemy sobie przedstawieni. Otworzyłam oczy i spuściłam bose stopy na chłodną podłogę, nie mając pojęcia, że zwykłe spotkanie obróci w pył moją dotychczasową egzystencję i ukształtuje ją na nowo, zmieniając nie do poznania.

Gdybym wiedziała, może dokonałabym innego wyboru. Niestety, z łatwością przychodzi nam jedynie odtworzenie wędrówki i zauważenie miejsca, w którym należało skrócić w inną ścieżkę.

Wybrać bezpieczną drogę i żyć spokojnie, bez większych uniesień, do ostatniego oddechu zadając sobie pytanie: „Co by było, gdyby...?” - to stokroć trudniejsze.

\*

Zobaczyłam go w Luwrze. Wymiana spojrzeń. Uprzejme skinienie głową. Pojedyncze słowa. Nic poza tym. Tak wypada, w końcu nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni.

Natychmiast przykuł moją uwagę. Wyrafinowany strój i jasne włosy odróżniały go od innych. Nie przypominał żadnego znanego mi mężczyzny. Przyciągał wzrok, zachwycał. Arcydzieło przemawiające wprost do duszy.

To wydarza się tydzień później, gdy studiuje dzieła włoskich mistrzów i razem z Rosalie kopiuję Rubensa. Słyszę za nami echo męskich głosów. Nie docierają do nas słowa, tylko tembr i melodia głosu, które w niemal pustej galerii muzeum rozbrzmiewają jak symfonia barw. Jeden głos matowy i głęboki niczym odcienie umbr. Drugi - ostrzejszy, pełen energii, cynobrowy.

Nie muszę się oglądać, by sprawdzać. Nauczyłam się na pamięć jego głosu i gestów, gdy kopiował włoskich i hiszpańskich mistrzów.

Zafascynowało mnie, jak zmierza się z zadaniem. Maluje. Nieruchomieje. Krok w tył. Przygląda się bacznie. Powrót do sztalug. Potem - czyżby wyczuwając moje spojrzenie? - na moment przerywał taniec, odrywał wzrok od płótna i więził mnie nim, jakby zarzucał na mnie sieć. Uśmiech, skinienie głową. Nim jednak oszołomiona spuściłam oczy, jak nakazuje dobre wychowanie, on znów całą uwagę skupiał na Tintoretcie.

Powinam była wstydić się swego braku obyczajności, ale nie potrafiłam. Dziwne, że teraz nagle dała o sobie znać i zabraniała mi spojrzeć na niego.

Szmer rozmowy cichnie. Nie słysząc nic oprócz rytmicznego stukania butów i uderzeń laski o parkiet.

Mężczyźni podejmują rozmowę. Są o pięć kroków od nas. Pogawędkę zagłuszają przytłumione szepty zwiedzających.

Rosalie maluje, zapomniawszy o całym świecie. Jakże zazdroścę przyjaciółce tego spokoju.

Przygryzam drewnianą końcówkę pędzla i wbijam wzrok w odsłonięte piersi Rubensowskiej nimfy wodnej. Postanawiam zachować zimną krew.

Cieszę się, że włożyłam zieloną suknię, choć zasłania ją paskudny szary kitel. Oczywiście, nie zrzucę go. Nie będę też gwałtownie się prostować ani mizdrzyć jak idiotka. Będę zachowywała się naturalnie, jakbym nie słyszała jego kroków tuż za sobą.

Rosalie coś mamrocze. Dźwięki spływają po mnie niczym kobaltowe fale. Zanurzam czubek pędzla w farbie. Kręcę nim, póki włosia nie pokryje zuchwały cynober. Muskam brodawkę nimfy.

- *Bonjour, mesdemoiselles.*

Palce kurczowo ściskają paletę. Kątem oka widzę, jak Rosalie obraca się z furkotem. Zbyt skwapliwie.

- *Bonjour, monsieur Fantin.*

Zwilżam usta i nie odrywam wzroku od sztalug. Odliczam do pięciu i odwracam się, jakbym dopiero teraz się zorientowała, że nie jesteśmy sami.

- *Bonjour.*

Mój głos brzmi chłodno i wysoko. Przypomina soplel topniejący w blasku wiosennego słońca.

- Panienki pozwolą sobie przedstawić monsieur Édouarda Maneta.

Tak mocno przyciskam kciukiem paletę, że czuję mrowienie w całej dłoni.

- Monsieur Manet, przedstawiam panny Rosalie Riesener i Berthe Morisot.

- *Bonjour.* - Kłania się lekko, nie wypuszczając laseczki ze srebrną gałką. - Dobrze znam prace mademoiselle Morisot. Z przyjemnością oglądałem je podczas ostatniego Salonu. Jestem jej gorącym wielbicielem.

Jego słowa odbijają się echem po szerokim, pełnym złocień korytarzu muzeum. Wielbiciel? Gorący? Nie sądziłam, że w ogóle zna moje imię.

Czyżby stroił sobie ze mnie żarty?

Uśmiecha się chyba szczerze, ale jeśli baczniej się przypatrzę, w uniesionych kącikach ust dostrzegę lekką drwinę.

- *Merci.*

Z trudem się powstrzymuję, by nie uciec. Nie potrafię rozmawiać z mężczyznami. Słowa więzną mi w gardle. Mama jest zrozpaczona moim brakiem oglady. Twierdzi, że ludzie uznają moje milczenie za wyniosłość albo dąsy. Ja jednak wolę się nie odzywać, niż pleść od rzeczy.

O tak. Dobrze, że spotkanie było przypadkowe, a monsieur Fantin nie uprzedził, że zamierza nas sobie przedstawić. Musicie bowiem wiedzieć, że w mojej nieszczęsnej wyobraźni natychmiast lęgną się potwory. Oczywiście, nie uważam monsieur Maneta za potwora.

Au contraire\*.

\* (Franc.) wręcz przeciwnie.

Muszę jednak przyznać, że już sama jego wyjątkowość zarazem przeraża mnie i fascynuje. Podziwiam jego śmiałość, szczerłość i gotowość do zgłębiania oraz wyrażania tego co autentyczne, rzeczywiste. Przytłacza, a równocześnie zachwyca. Zapiera dech w piersi.

Prawdziwy mistrz.

Podchodzi, okrąża sztalugi i przygląda się mojej pracy.

- Co my tu mamy?

Gardło mi się ściska. Chyba wiem już, co czuła Ewa w raju, gdy uświadomiła sobie swoją nagość.

To przecież tylko obraz. „Przybycie Marii Medycejskiej do Marsylii” Rubensa. Zadzieram głowę i patrzę mu prosto w oczy.

Błądzi spojrzeniem po mojej twarzy. Uśmiecha się.

- Piękna.

*Mon Dieu*, ma śmiałość! Słyszałam opowieści o jego miłosnych podbojach, ale kto zgadnie, ile w tym prawdy? Nie zachowuje się jak typowy przedstawiciel cyganerii artystycznej. Z wyglądu przypomina raczej dżentelmena, wręcz dandysa.

Wbijam wzrok w pełne kształty nimfy wodnej. Czuję, jak monsieur Manet mierzy mnie nienatężnym, chłodnym spojrzeniem konesera. Na szczęście nie potrafię się rumienić.

Głęboko nabieram powietrza. Zapach oleju lnianego koi moje rozkołatanne nerwy. Zanurzam czubek pędzla w ochrze. Zamierzam pogłębić cień pod piersią nimfy. Kiedy jednak pędzel dotyka zaokrąglenia w kolorze ciała, z włosia nagle spływa cynober. W rezultacie pod piersią pojawia się pomarańczowa kreska przypominająca paskudną, ziejącą ranę.

Monsieur Manet zaciska usta w wąską, surową linię.

- Dlaczego pani łączy te kolory?

W rękach i nogach czuję nieprzyjemne łaskotanie.

- Pan daruje, monsieur Manet, ale nie mogę pracować, kiedy zagląda mi pan przez ramię.

- Proszę o wybaczenie, mademoiselle. Ja również nie mógłbym pracować w takich warunkach.

Nawet jeśli poczuł się dotknięty, jest zbyt dobrze wychowany, by roztrząsać moje faux pas. Pożegna się i odejdzie. Robi mi się słabo - będę musiała przyznać się *maman*, że wreszcie zostałam przedstawiona wielkiemu Édouardowi Manetowi i odniosłam niebывały sukces: w kilka chwil zdążyłam go obrazić.

A jednak on nie rusza się z miejsca.

- Mógłbym coś pani zasugerować?

Nie odpowiadam. Widocznie uznaje to za zgodę, bo podchodzi bliżej. Nasze ciała dzieli zaledwie oddech. Bezceremonialnie zabiera mój pędzel z palety. Smukłe, czyste palce muskają mój kciuk. Łaskoczące ciepło rozlewa mi się po piersi i szyi. Cofam się o krok, by uciec od tej niepokojącej bliskości.

Na nim to najwyraźniej nie robi wrażenia, bo spokojnie zanurza pędzel w farbie. Na szczęście nie patrzy na mnie. Gdyby to zrobił, mógłby zobaczyć idiotkę gapiącą się na niego tępo; dziewczynę, którą ogłupiło zwykłe, przelotne muśnięcie dłoni.

Rosalie i Fantin przerywają rozmowę i obserwują Maneta. Z nabożną czcią przyglądam się, jak na płótnie leczy ranę, którą zadałam. Sam Rubens nie zrobiłby tego lepiej.

Wpatrywałam się w ten obraz od tygodni. A jednak, kiedy widzę, jak pod ręką mistrza moje nieporadne, żalosne próby nabierają doskonałości, mam wrażenie, jakbym widziała Rubensowską nimfę po raz pierwszy.

Zaskoczona Rosalie spogląda na mnie pytająco.

Ja jednak go nie powstrzymuję. Jak mam jej to wytłumaczyć, skoro sama nie rozumiem swojej decyzji?

Kiedy tak stoimy w obecności Marii Medycejskiej, która spogląda na nas wyniośle, z niezadowolaniem, muszę wyglądać jak służka, komie podtrzymująca paletę mistrza. Dziewczyna całkowicie przytłoczona blaskiem jego geniuszu.

Manet kończy. Wyciąga do mnie rękę z pędzlem. Wygląda na niezwykle ukontentowanego.

Chcę wziąć pędzel, ale on nie puszcza, lekko przyciąga go ku sobie, zmuszając mnie, bym się przysunęła bliżej. Jego szare oczy przypominają migotliwą tafelę wody.

- Tak, wyjątkowo piękna - mruczy.

W ustach mi zasycha.

- Monsieur, pozwala pan sobie na zbyt dużą śmiałość. Nie jestem pańską uczennicą.

- Mademoiselle, ja nie biorę nikogo pod skrzydła. Jestem zbyt zajęty swoją pracą, by brać odpowiedzialność za kształtowanie cudzej weny twórczej. A nawet gdybym to robił, pani jest zbyt doświadczoną i cenioną malarką. Nie ośmieliłbym się w ogóle tego pani proponować. Proszę wybaczyć, jeśli panią uraziłem.

Nie wypuszcza pędzla. Bierze mnie za rękę i kłania się. Tym razem nie droczy się ze mną, nie przyciąga do siebie. Moja drobna dłoń ginie w jego potężnej garści.

Dotyk jego skóry na mojej.

Czysty.

Pozbawiony ukrytych intencji.

Po plecach spływa mi dziwny dreszcz, eksploduje gdzieś we wnętrzościach. Wirywam dłoń i kładę ją na brzuchu, próbując odzyskać oddech. Brak mi powietrza. Może mam zbyt mocno zasznurowany gorset? Gorączka rozlewa się po całym ciele, dochodzi do twarzy i sekretnych miejsc, o których dama nie powinna myśleć.

- Mademoiselle? Źle pani wygląda. Powinna pani usiąść. Pomogę.

Jego ręka jest już przy moim łokciu. Pozwalam się podprowadzić do drewnianej ławki na środku sali i siadam.

- Berthe?

Przede mną klęka Rosalie. Kładzie na moich policzkach chłodne dłonie. To pomaga mi odzyskać panowanie nad sobą. Przypominają mi się opowieści o piorunującym wrażeniu, jakie monsieur Manet robi na płci pięknej. O jego ciętym dowcipie i błyskotliwej inteligencji, którymi podbija i kobiety, i mężczyzn.

Gotuję się ze złości na siebie. Zachowałam się jak *imbécile*. *Je ne suis pas une femme légère\**. Przecież nie jestem głupia. Powinnam już dawno uodpornić się na tak proste chwytły. Zwłaszcza w wykonaniu mężczyzny, który z pewnością ma tyle kochanek, ile skandalicznych plotek krążących na jego temat.

\* (Franc.) idiotka. Nie jestem łatwa.

- Musiałam się przeziębic.

Tak, to z pewnością przeziębienie.

- Rosalie, skończmy na dziś. Słabo się czuję.

- Już zbieram rzeczy.

Siedzę jeszcze przez chwilę.

- Proszę pozwolić, byśmy z monsieur Fantinem odwieźli panią do domu.

- Nie trzeba - odpowiadam, czując, że powoli odzyskuję siły.

- Mademoiselle, to nasz obowiązek - nalega Fantin.

Kręcę głową i ruchem dłoni ucinam jego protesty. Tego jeszcze brakowało, bym wróciła w towarzystwie dwóch mężczyzn. Muszę zachować resztki godności.

- Jak pani sobie życzy - ustępuje monsieur Manet.

Wymieniają z Fantinem spojrzenia. Podchodzę do sztalug, żeby poczciwa Rosalie nie musiała pakować moich farb.

Manet wciąż przy nas stoi. Czyszczę paletę. Wycieram wilgotne farby, uważając, by nie zabrudzić rąk, a potem owijam ją bawełnianą szmatką.

- Obawiam się, że zostawiam po sobie wyjątkowo niekorzystne wrażenie.

- *Non*. Po prostu czuję się wyczerpana. Za to nie może pan się winić.
- Więc mogę mieć nadzieję, że da mi pani szansę pokazać się w lepszym świetle?
- Pan daruje, ale nie rozumiem, monsieur.
- Proszę o możliwość przedstawienia się w bardziej sprzyjających okolicznościach.
- Jak pan sobie życzy, monsieur.

Wrzucam pędzel do torby, zdejmuję szary kitel i wygładzam suknię.

Wzrokiem śledzi każdy mój ruch.

- W takim razie uzgodnione.
- Uzgodnione.

Ruchem ręki przywołuje Fantina.

- *Au revoir, mesdemoiselles*.
- *Au revoir, messieurs!* - woła za nimi Rosalie.

Mężczyźni odchodzą, ale w drzwiach galerii Manet odwraca się jeszcze i celuje we mnie laską.

- Dała mi pani szansę, mademoiselle.

TLR



# Rozdział 2

*Bywa, że zakochujemy się natychmiast i na zawsze.*

anonim

To niesprawiedliwe! - żali się moja siostra Edma, gdy ramię w ramię malujemy w pracowni. - Tylko jeden jedyny raz nie poszłam z tobą do galerii i akurat wtedy Fantin musiał przyprowadzić Maneta, by was sobie przedstawić! Nigdy mu tego nie wybaczę!

Gdyby tylko raz wyraziła niezadowolenie, że ją to ominęło... Nie, od mojego spotkania z Manetem nie upłynęła nawet doba, a wciąż słyszę jej jęki i wyrzekania z tego powodu. Edma i *maman* spijały mi z ust każde słowo, wypytywały o najdrobniejsze szczegóły. Męczyły mnie, dopóki się nie przekonały, że naprawdę niczego więcej ze mnie nie wycisną.

Zwykle *maman* towarzyszy mnie i Edmie w wyprawach do galerii, gdzie kopiujemy dzieła mistrzów, ale wczoraj moja siostra zrezygnowała z Luwru. Wolała przyjąć Adolphe'a Pontillona, który ostatnio nieustannie składa jej wizyty.

Mając do wyboru sztukę albo miłość - cóż, dla mamy wybór był oczywisty. Miłość zawsze wygrywa w cuglach. Zostały więc z Edmą w domu, by podejmować Adolphe'a, a ja i Rosalie spędziłyśmy przedpołudnie w galerii.

Nie wiem, która jest bardziej zrozpaczona, że ominęło ją takie wydarzenie. *Maman* jednak potrafiła ograniczyć się do westchnienia:

- Pomyśleć, że spędziłam w tym przeklętym muzeum tyle godzin! Wystarczyło, że na moment odwróciłam głowę i voilà!

*Maman* i papa są wspaniali. Inni rodzice surowo zakazują pannom na wydaniu, by poświęcały się malarstwu. Nasi nam tego nie zabraniają.

- Talent twój i twojej siostry przynosi mnie i waszemu ojcu wiele radości. Mniej niż sprawi wasze zamażpójście, ale na razie to nam wystarczy.

Oczywiście, rodzice oczekują - wiem o tym doskonale - że pewnego dnia odłożę pędzel i wyjdę za mąż. Na szczęście uczucie, jakie zakwitło między Edmą a Adolphe'em, chwilowo odwróciło ich uwagę od obojętności, z jaką przyjmują hołdy adoratorów.

W pracowni Edma znowu ciężko wzdycha. Nakładam szmaragdową farbę na liść w martwej naturze, którą właśnie maluję.

- Nic nie poradzę, że wczoraj miałaś ciekawsze zajęcia niż kopiowanie dzieł arcy mistrzów.

W odpowiedzi tylko przewraca oczami. Przez chwilę malujemy w milczeniu.

- Jak się miewa Adolphe? - pytam.

- Dobrze. Czy Manet jest wysoki? Nie wspomniałaś o jego wzroście.

- Edmo, to się staje nużące. Od rana o niczym innym nie mówisz. Opowiedz o wizycie Adolphe'a.

- Nie ma o czym opowiadać - mówi nadasana. - Adolphe jest nudny. Moje życie jest nudne. A do tego jeszcze ty robisz mi na złość. Kiedy opowiadasz o spotkaniu, mogę sobie wyobrazić, że w nim uczestniczyłam. Sądziłam, że to rozumiesz, ale *non*, ty uparcie zachowujesz wszystko dla siebie.

Przyznaję, zachowuję to i owo. Zwłaszcza jedno spostrzeżenie: mimo obecności Rosalie dawał do zrozumienia, że widział tylko mnie. I cieszę się z tego powodu.

Nie mogę jednak wyznać tego Edmie ani *maman*. Tylko bym się ośmieszyła. Wolę zatrzymać to czarowne spostrzeżenie dla siebie. Będę się nim rozkoszować jak dziecko wykradzionym smakołykiem. Przywoływać ten szczegół, gdy leżąc bezsennie, będę odtwarzała spotkanie w pamięci.

Zastanawiając się, co naprawdę znaczył każdy gest. Każdy uśmiech. Każde słowo. Jego ręka na mojej dłoni.

W myślach przysuwam się do niego bez wahania. Stajemy tak blisko, że czuję jego oddech na policzku, uchu, szyi...

- Czy ty mnie słuchasz?

Obrażona Edma odsuwa się od sztalug. Nogi krzesła chroboczą na deskach podłogi. Ona jednak nie wstaje. Pochyliła się nad portretem i ze złością uderza weń pojedynczymi pacnięciami pędzla.

- Pewnie teraz z większym zapalem będziesz chodziła do muzeum, by kopiować starych mistrzów?

Unoszę brew. Zwykle ta mina ją bawi. Tym razem jednak marszczy czoło, ale po chwili rozchmurza się i uśmiecha psotnie.

- *Oui* - mówi. - Może nagle gorąco zapragnęłyśmy dowiedzieć się, czego mogą nas nauczyć?

Parskamy śmiechem. Cieszę się, że poprawił jej się nastrój.

- Wiesz co - ciągnie z błyskiem w oku, świadczącym, że właśnie układa nowy plan - odwiedźmy starych mistrzów już teraz. Chodź, Berthe, idziemy.

Jej propozycja - a może entuzjazm - sprawia, że nagle czuję się, jakbym chwiejnym krokiem schodziła po stromych stopniach. Głęboko wciągam powietrze. Zapach farby, oleju i hortensji. Żołądek mi się ściska.

- Zaraz będzie obiad. Pójdziemy w piątek.

- Przecież dzisiaj jest środa. Po co dwa dni czekać? Dlaczego nie dziś?

- Pomyślże, Edmo. Naprawdę sądzisz, że dniami i nocami przesiaduje w Luwrze? Nie mamy pewności, że się pojawi. Zresztą nie chcę, by uznał, że mu się narzucam. Kilkudniowa nieobecność wyjdzie nam na zdrowie.

- Tobie wyjdzie na zdrowie. Myślisz wyłącznie o sobie. Tak się nie postępuje.

- *Non*, siostrzyczko. To ty źle postępujesz, strojąc fochy o taką błażostkę.

Tupie nóżką ze złości. Włosy ma potargane, policzki zaczerwienione. Wygląda dziecinnie w różowej sukience widocznej spod rozpiętego kitla. W zaciśniętej dłoni ściska pędzel, ramiona ma opuszczone, buzię nadąsaną.

Parskam śmiechem. To silniejsze ode mnie.

Edma patrzy na mnie wrogo i ciska pędzel na poplamiony farbą stół oddzielający nasze sztalugi. Trzonek wybija kurant na słoikach - w niektórych została farba i pędzle, w innych sam olej lniany - wreszcie ląduje wśród brudnych palet i wyciśniętych tubek.

Stoi.

Wracam do swojej martwej natury i dopracowuję płatek kwiatu. Edma rzuca się na brązową otomanę stojącą za moimi plecami. Stareńki mebel skrzypi i stęka pod jej ciężarem.

- Hm.

Nie muszę się oglądać, doskonale znam tę minę. Wyjątkowo szpetny grymas zarezerwowany na te rzadkie okazje, gdy się pokłócimy. Przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku dogadujemy się znakomicie. Jednak kiedy się obrazimy, nawet drobiazg urasta do rangi katastrofy.

Przykro mi, że siostra się na mnie gniewa. A równocześnie na samą myśl, że miałabym go dziś zobaczyć, sztywnieję z przerażenia.

Za wcześnie.

Zbyt niecierpliwie wyglądam tej chwili.

W żołądku znów czuję dziwne wirowanie. Palce u nóg same mi się podkurczają. Naciskam na nie z całej siły, by zapanować nad szumem w głowie. Tym razem przynajmniej nie dałam się zaskoczyć. Poradzę sobie ze wszystkim, pod warunkiem że nie weźmie mnie przez zaskoczenie.

Obracam się w krześle i patrzę na siostrę. Siedzi naburmuszona z łokciami na kolanach, brodę oparła na dłoniach.

- Nie dąsaj się, Edmo. Skoro aż tak ci zależy, by pójść do Luwru, zapytaj mamę, czy zechce ci towarzyszyć. Jeśli spotkasz tam monsieur Maneta, będziesz mogła go zagarnąć tylko dla siebie.

- *Qu'est-ce que c'est?*\* - dobiega od progu energiczny, czysty jak zagruntowane płótno głos. Mama z listem w ręku wchodzi do pracowni. Jej różowe policzki i błękitna sukienka pasują do srebrzystych włosów. Wodzi wzrokiem ode mnie do Edmy. - Czy coś się stało?

\* (Franc.) Co się dzieje?

Edma posyła mi mordercze spojrzenie. Jej oczy przypominają dwie zatrute strzały.

- Dyskutowaliśmy o technice malarskiej - mówię.

- *Oui* - wtóruje mi Edma, wciąż patrząc na mnie groźnie. - Właśnie przekonywałam Berthe, że musi zmienić perspektywę. Kwiat... - łypie na mnie koso - jest o wiele za duży w stosunku do wazonu.

*Maman* podchodzi do obrazu. Przygląda mu się przez chwilę, po czym odwraca się do mojej siostry.

- Moim zdaniem obraz jest śliczny. Niczego mu nie brakuje. - Ściąga brwi. - Usiądź ładnie, jak przystało na dobrze wychowaną pannę, Edmo. Sądziłam, że wpołam ci pewne zasady. Jesteś dziś naprawdę nieznośna.

Edma zsuwa nogi na podłogę i siada wyprostowana jak struna, ale nawet nie próbuje ukryć niezadowolenia.

- Może to poprawi ci nastrój. - *Maman* macha kremowym kartonikiem. - Pani Augustowa Manet zaprasza nas jutro na kolację.

Nazwisko „Manet” dudni mi w czaszce jak cymbały. W głowie mi wiruje, sztywnieję na całym ciele. Widzę, jak Edma zrywa się z otomany i podbiega do *maman*.

Dopiero po chwili do mnie dociera: liścik został wysłany przez jego matkę - madame Auguste Manet - ale zaprasza nas on, Édouard Manet. Więc tak zamierza mnie podbić. Na swoich warunkach, na własnym terytorium.

Powinłam była się domyślić.

- Zaproszenie z jednodniowym wyprzedzeniem? - *Maman* patrzy na mnie znacząco. Powoli odzyskuję panowanie nad emocjami. - Co on sobie wyobraża? Że tak niewiele znaczymy w towarzystwie? Że nie mamy wcześniejszych zobowiązań?

Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale Edma wpada mi w słowo.

- Przecież nie mamy żadnych planów. A nawet gdybyśmy mieli, odwołalibyśmy. Nie co dzień dostaje się takie zaproszenie.

*Maman* podaje mi kartonik. Biorę go ostrożnie w dwa palce, jakby to była kolczasta róża. Nagle staje przy mnie Edma. Uśmiecha się szeroko, próbując mnie udobruchać. Wbija mi bark w ramię, gdy nachyla się, by lepiej zobaczyć. Trzymam kartkę tak, byśmy obie mogły przeczytać.

Liścik - czarne kaligraficzne pismo na kremowym kartoniku - jest krótki:

Serdecznie zapraszam na kolację. Rue de Saint-Pétersbourg 49, czwartek, siódma wieczorem. Proszę o niezawodne przybycie.

Zawód.

Czy właśnie tego się obawiam? Zawodu, że okaże się zwykłym śmiertelnikiem? Że mistrz nad mistrzami, który szokuje i odsłania prawdę, odsłoni nijakie oblicze? Będzie przeciętny?

- Pójdziemy? - pytam *maman*.

- Czemu nie? Ojciec wyjechał, przynajmniej będziemy miały dla niego ciekawostkę po powrocie. Poza tym będę mogła sama ocenić, czy twój Édouard Manet jest tak uroczy, jak twierdzisz.

Mam wrażenie, jakby ktoś wrzucił mi do żołądka ciężki kamień.

Edma chwyta mnie za rękę i podciąga z krzesła. Wiruje ze mną po pracowni, gniotąc w uścisku zaproszenie. Rożek sztywnego kartonu wbija mi się w zagłębienie dłoni.

Czego tak się obawiam?

Zawsze byłam odporna na zaloty adoratorów. Czemu tym razem miałyby być inaczej? Większość znanych mi mężczyzn potrafi prawić komplementy i niewiele więcej. Każdy zaś oczekuje, że wybiorę go i porzucę dla niego malarstwo. Każdy żąda kompromisu. Niestety, do tej pory nie spotkałam mężczyzny, który przyćmiłby sobą kuszący blask obrazu rodzącego się w mej wyobraźni. Przyzywającego mnie. Uwodzającego. Nękającego tak długo, aż wreszcie ustępuję. Rozstawiam sztalugi i przenoszę go na płótno.

Edma się zatrzymuje, ale i tak w głowie mi wiruje, przed oczami tańczą obrazy, którymi są obwieszane ściany pracowni. Próbuję odzyskać równowagę. Patrzę na pomietą kartkę, którą wciąż ścisgam w dłoni, i nagle ogarnia mnie uczucie, jakby ziemia usuwała mi się spod nóg.

Buduar pachnący fiołkami parmeńskimi to miejsce, w którym gawędzimy z Edmą, zwierzamy się sobie. Błahe zmartwienia. Chwile trwogi. Drżenie serca zrodzone z niemądrych pragnień.

- Wczoraj Fantin opowiadał, że w ubiegłym tygodniu na wieczorku u Manetów Emmanuele Chabrier zagrał „Danse macabre” Saint-Saënsa - mówi Edma bez tchu, czesząc mi włosy. Oczy jej lśnią. Przerywa czesanie i przygląda się mojemu odbiciu w lustrze. - Zaplanowałaś już, co powiesz Manetowi na powitanie?

W myślach milion razy wyobrażałam sobie i ćwiczyłam tę scenę, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć ani sylaby.

- Przypuszczam, że powiem: *Bonsoir*.

- To bez wątplenia rozpali w nim ogień miłości.

- Jeśli tak, to znaczy, że zadowala się byle czym.

Edma odkłada szczotkę. Wiem, że czyta we mnie jak w otwartej książce. Drżącymi palcami biorę srebrne lustro i przyglądam się swojemu odbiciu.

Zamykam powieki, wciągam płytki oddech i odkładam lustro. Słysząc trzask kryształu. Błyskawicznie otwieram oczy i w ostatniej chwili łapię buteleczkę perfum, ratując ją przed rozbiciem. Korek wypada i perfumy wylewają mi się na ręce. Otacza mnie słodki zapach fiołków, kojąc rozdygotane nerwy.

Edma chichocze.

Śmieję się razem z nią. Kochana, urocza Edma. Tak dobrze mnie zna. Czasem nawet lepiej niż ja sama.

Zaplatamy sznurówki gorsetów, wygładzamy fałdy sukni, poprawiamy czepki. Towarzyszy nam beztroska, jakiej nie odczuwałam od wielu dni. Ukrywam pragnienie niczym złoty pierścionek zamknięty w szkatułce z kości słoniowej.

Skrapiam marzenia perfumami fiołkowymi i ukrywam drżenie palców pod satynowymi rękawiczkami.

Wreszcie przygotowania dobiegają końca. Pora wychodzić. Ostatni raz biorę do ręki lusterko i przeglądam się. W półmroku na toaletce połyskują urocze bibeloty. Jeden nierozważny ruch, a spadną z trzaskiem na podłogę.

Tym razem jednak odkładam lusterko pewnie i spokojnie. Moja dłoń nawet nie drgnie.

TLR

# Rozdział 3

*Wchodzi do przedpokoju. Tam spotyka żonę...  
Słowa zamierają w gardle. Nie potrafi dobrać głosu.  
Zaciska dłonie. Stoi z wahaniem.  
Porusza półksiężycem wachlarza, roni perłowe łzy.  
Uświadamia sobie, że go kocha,  
a ten ból nigdy nie ustąpi.*

anonim, Chiny

W strugach zimnego deszczu ruszamy sprzed naszego domu przy rue Franklin na wieczorek przy rue de Saint-Pétersbourg. Paskudna pogoda nie wpływa na mój nastrój. Wystarczą jednak trzy obrzydliwe słowa, by zepsuć cały wieczór.

Pani Édouardowa Manet. On ma żonę.

Nic z tego nie rozumiem. *Elle est une vache.* To krowa.

W urządzonym z przepychem salonie słyhać odległy grzmot burzy. Gapię się na profil tłustej, zapuszczonej kobiety, która na fortepianie gra Chopina. Włosy, rozdzielone równym przedziałkiem, ma ściągnięte w prosty, surowy kok. Fryzura bezlitośnie obnaża niedobory urody: nalaną twarz i zwi-sający podbródek, który trzęsie się i tańczy, gdy kobieta uderza w klawisze. Zadarty nosek jest za drobny, nie pasuje do jej męskiej twarzy. Wąskie usta zacisnęła, jakby czuła fetor. Ma szerokie ramiona i wydatny biust, za to w ogóle nie ma talii. Przypomina kielbasę siłą wciśniętą w szarą jedwabną suknię.

I to ma być żona Édouarda Maneta?

Zastanawiam się, czy dobrze zrozumiałam słowa: madame Manet, *mère*. Matka?

Edma pochyla się i szczypie mnie w ramię. Z trudem powstrzymuję się, by głośno nie krzyknąć.

Madame Manet, matka.

Madame Manet, krowa.

Niepojęte. Najwyraźniej w tym związku uroda nie odgrywa roli. Nie wiem, dlaczego tak mnie to szokuje. Prawdopodobnie wyobrażałam sobie, że ten dandys, skończony esteta, w każdej sferze życia będzie otaczał się pięknem.

- Suzanne jest nadzwyczaj utalentowaną pianistką.

Nasza gospodyni zawiesza głos, pozwalając, byśmy rozkoszowały się muzyką. Madame Manet, *mère*, jest drobna, kanciasta. Ma kasztanowe włosy, pełne niepokoju oczy przypominające dwa niebie-

skie oceany i szczupłe, przygarbione ramiona osłonięte czarną suknią. Opuszczone kąciki ust nadają jej twarzy wyraz ciągłego niezadowolenia, nawet jeśli mówi coś pozytywnego.

Słucham jej jednym uchem. Wzrokiem zahaczam o złoconą koronę zwieńczającą ramę portretu zawieszzonego na ciemnoczerwonym sznurze. Obraz wisi naprzeciwko lustra nad kominkiem. Przedstawia madame Manet w towarzystwie przystojnego mężczyzny. Najprawdopodobniej jej świętej pamięci męża, ponieważ dostrzegam wyraźne podobieństwo do Édouarda.

Wodzę spojrzeniem po bogato rzeźbionym kominku, po ciemnoczerwonym kobiercu zaścielającym parkiet. Na ścianach wiszą lustra, a w nich niczym ogień płoną złoto i czerwień urządzonego z przepychem salonu.

Muzyka przyspiesza. Zerkam znowu na Suzanne. Jej tłuste dłonie fruują nad klawiaturą.

*Je ne comprends pas.* Nie rozumiem. Nie rozumiem, jak mężczyzna obdarzony tak nadzwyczajnym smakiem mógł dostrzec coś w tej kobiecie. To mnie irytuje.

Nie, to na pewno żart. Zdrowy rozsądek podpowiada jednak, że jest mało prawdopodobne, by pani domu dla żartu wprowadzała mnie w błąd w tak ważnej kwestii. Pierwszy raz w życiu marzyłam, by starsza, szacowna dama okazała się nieodpowiedzialną kawalarką.

Suzanne potężnym uderzeniem akcentuje ostatni akord. Dwaj stojący przy fortepianie mężczyźni gorąco ją oklaskują. Uśmiecha się skromnie i natychmiast zaczyna następny utwór.

- Wielki Franz Liszt zachęcał Suzanne, by przeprowadziła się z Holandii do Paryża i pogłębiała swoje talenty muzyczne - ciągnie pani Manet. - Dlatego wkrótce po ślubie ona i Édouard przeprowadzili się do mnie.

Słowa brzęczą jak komary. Najchętniej zgmiotłabym je packą.

- Czy odniosła sukces, jaki wieszczęł jej monsieur Liszt?

Jestem zdumiona swoim impertynenckim tonem. Boję się spojrzeć na *maman*. Madame Manet unosi lorgnon, jakby przyglądała się moim słowom, szukając w nich obrazy. Przechyliła głowę na prawo.

- Ależ naturalnie, że odniosła sukces, mademoiselle. Poślubiła mojego syna.

Grzmot pioruna. Tym razem bliżej. Edma chichocze nerwowo. Wiem, że próbuje w ten sposób pokryć mój nietakt, zamienić rozmowę w błahą, żartobliwą pogawędkę.

Przyznaję, pewnie zasłużyłam na skarcenie, ale nie życzę sobie, by siostra wyciągała mnie z oparów. Zaczynam się dusić w tym wytwornym salonie. Chcę wyjść. To nie jest mój świat.

Już-już mam poprosić o mantylę i pożegnać się z gospodynią, kiedy zauważam go na drugim końcu pokoju. Stoi w drzwiach. W migotliwym blasku świec przypomina zjawę. Emanuje elegancją i szykiem - od starannie zawiązanego fularu wychylającego się zza tweedowej kamizelki po modną linię spodni.



Suzanne przerzuca się na Beethovena i jego „Sonatę Księżycową”. Łatwiejsze od Chopina, ale nawet ja muszę przyznać, że radzi sobie znakomicie. Gra bezbłędnie. Wyraźnie chce się popisać swoim szerokim repertuarem.

Zastanawiam się, od jak dawna on nas obserwuje. Czy reakcja matki na moją impertynencję - wyraz twarzy, ruch ciała - zdradziła mu, że popełniłam afront?

Stara się przyciągnąć mnie wzrokiem, ale nie ulegam. Przecież jest żonaty. Ja zaś nie zamierzam flirtować ani ulegać awansom człowieka, który ślubował innej kobiecie. Szkoda czasu.

Skupiam uwagę na sześciu pejzażach wiszących na ścianie między nim a fortepianem.

Kolejny grzmot. Tym razem na tyle głośny, że pozwala oderwać uwagę od monotonnej gry Suzanne. Goście drgnęli, ale jej nie wybija to z uderzenia. Nie reaguje na burzę, nie odrywa też wzroku od klawiatury, gdy w drzwiach pojawia się kolejna grupa gości.

Édouard rusza w naszą stronę. Wsuwam dłonie między fałdy sukni. Co mi strzeliło do głowy? Zamierzałam samotnie wracać do domu w taką pogodę? *Maman* ani Edma nie będą chciały o tym słyszeć. Nie mam serca psuć im zabawy.

- *Madame, mesdemoiselles*, witam.

Ujmuje mamę za rękę i pochyla się nad nią.

- Ach, Édouardzie - odzywa się madame Manet - zechciej zająć się paniami Morisot. Muszę przywitać nowych gości.

Manet się prostuje.

- Z przyjemnością.

Jego matka podchodzi do trzech mężczyzn. Dwóch znam - Alfreda Stevensa, który niedawno namalował mój portret, i kompletnie przemoczonego Fantina, który wygląda jak rozbitek wyrzucony na brzeg. Zauważa Edmę i zalewa się krwistym rumieńcem.

Trzeci ma skwaszoną minę. W porównaniu z nim nawet mokry kot wydaje się uosobieniem radości. Zdegustowany strząsa krople wody z brody.

- Ogromnie się cieszę, że nie ulekły się panie pogody i zaszczyciły nas swoim towarzystwem - zwraca się Édouard do *maman*, która chichocze jak panienka i odpowiada coś zmysłowym głosem, ale on już przenosi spojrzenie na Edmę. - Kim jest ta urocza młoda osóbka?

Edma omal nie rozplywa się z zachwytu. Mięknie jak glina czekająca na jego ciepłe dłonie. Mam ochotę uszczypnąć ją tak jak ona mnie wcześniej. Na szczęście mama przejmuje ster.

- Monsieur Manet, to moja córka, mademoiselle Edma Morisot.

- *Enchanté*.

Kłania się, ale nie bierze Edmy za rękę.

Cieszę się. A jeszcze szczęśliwsza jestem, gdy skupia uwagę na mnie. Jego szare oczy przywodzą na myśl popołudniowe niebo zaciągnięte chmurami.

- Moją najmłodszą córkę, Berthe, już pan zna.

- Oczywiście. - Nie kłania się ani nie ujmuje mej dłoni, lecz jego słowa brzmią jak ciepły uścisk. - Niecierpliwie wyglądałem tego wieczoru, mademoiselle.

Marna sztywnieje, jej nastrój diametralnie się zmienia. Kątem oka zauważam ruch. Madame Manet prowadzi do naszej grupki nowo przybyłych.

Miło zobaczyć Fantina i Stevensa, który przekłada spod pachy do ręki jakiś przedmiot zawinięty w papier pakowy. Na widok znajomych twarzy moje napięcie ustępuje.

Trzeci mężczyzna nazywa się Edgar Degas. Kolejny malarz. Znam jego obrazy, delikatne pastele, ogromnie mi się podobają, ale do tej pory nie miałam przyjemności poznać go osobiście.

- Mademoiselle, jeśli wolno się pochwalić, pani portret wypadł znakomicie. - Stevens waha się przez ułamek sekundy, po czym daje Manetowi pakunek. - Proszę, to dla ciebie.

Manet zrywa papier, odsłaniając niewielki obraz w złoconej ramie. Prawdopodobnie coś, co Stevens namalował specjalnie na dzisiejszy wieczór. Édouard zaciska usta, szczęka mu pracuje.

Madame Manet zerka na obraz. Szeroko otwiera oczy. Wygląda na zszokowaną. Tego się nie spodziewała. Natychmiast ukrywa wzburzenie i przystępuje do akcji.

- *Allons. Allons.*

Chodźmy. Chodźmy. Odciąga mnie, *maman* i Edmę od mężczyzn.

- Koniecznie muszą panie poznać moich młodszych, nieżonatych synów, Eugène'a i Gustave'a.

Kiedy ich nam przedstawia, czuję na sobie spojrzenie Édouarda. Jest jak spojrzenie oczu z portretu, które ani na chwilę nie przestają cię śledzić. Suzanne gra, nie odrywając wzroku od klawiszy. Madame Manet wskazuje kilkunastoletniego chłopca stojącego za fortepianem. Dopiero teraz go zauważam.

- Léon jest chrześniakiem Édouarda. To brat Suzanne.

Wypluwa te słowa, jakby zostawiały w jej ustach, gorzki smak, ale zaczynam się zastanawiać, czy to nie jest po prostu jej maniera.

Chłopiec stoi oparty o instrument. Wygląda, jakby przez ramię zerkał siostrze do nut. Dopiero po chwili zauważam, że przewraca kartki. Nie ulega wątpliwości, że oboje znakomicie się czują we własnym świecie wypełnionym muzyką. Nie przeszkadza im gwar rozmów ani głośny śmiech gości.

Wtem dźwięczy dzwonek na kolację. Gospodyni klaszcze w dłonie. Rozmowy milkną, Suzanne przerywa w pół taktu.

- Podano do stołu. Zapraszam do jadalni.

Degas i madame Manet prowadzą. Jestem rozczulona, kiedy Édouard podaje ramię *maman*.

Wcale nie zachowuje się jak buntownik i prowokator, który maluje nagie kobiety tylko po to, by szokować publiczność. Sama nie wiem, czy ta sprzeczność - a może świadectwo bogactwa charakteru, to zależy od punktu widzenia - rozczarowuje mnie czy cieszy.

Édouard Manet okazuje się dżentelmenem w każdym calu.

Doskonale wychowanym.

Bywałym.

Pełnym atencji.

Choć nie w stosunku do własnej żony. Przez cały wieczór ani razu na siebie nie spojrzeli. Poświęca jej tyle uwagi co wynajętej pianistce. Zachowuje się, jakby był kawalerem. Nie mnie jednak oceniać dziwne związki łączące męża i żonę.

- Mogę panią prosić?

Eugène podaje mi ramię. Wsuwam rękę pod jego zgięty łokieć, ustawiamy się za Edmą i Gustave'em. Oglądam się i uśmiecham do Fantina, który samotnie człapie za nami. Założył ręce za plecy i poświstuje.

- Och, chodźże.

Biorę go pod ramię, po czym z pytającym uśmiechem patrzę na Eugène'a. Nie wydaje się ani trochę urażony moim gestem.

Przed nami widzę Stevensa prowadzącego Suzanne. Nagle uświadamiam sobie, że przedstawiono nam każdego prócz osoby, która rozpala moją ciekawość: Suzanne. To dziwne, przecież madame Manet wychwalała synową pod niebiosa. Zdumiewający brak konsekwencji.

Siadam tam, gdzie zaprowadził mnie Eugène. Suzanne kamie zajmuje miejsce naprzeciwko. Madame Manet oczywiście króluje na honorowym miejscu u szczytu stołu. Między nimi - po prawicy Suzanne - zostaje usadzony Degas. Siedzi odwrócony od młodszej pani Manet, całą uwagę skupiając na matce Édouarda.

Kiedy czekamy na pierwsze danie, Stevens, Gustave i Fantin zabawiają Edmę rozmową. Biedny Fantini Ślepy by zauważył, że durzy się w mojej siostrze, ale zupełnie sobie nie umie z tym poradzić.

Eugène i Édouard wyraźnie walczą, który skuteczniej zmonopolizuje uwagę *maman*.

Suzanne siedzi osamotniona, jakby bez muzyki stawała się niema. Wiadomo bez cienia wątpliwości, która madame Manet rządzi w tym domu.

Kiedy służący nalewa zupę, Suzanne wstaje i szepcze coś teściowej do ucha. Madame Manet kiwa potakująco głową. Suzanne opuszcza towarzystwo. Nikt nie wstaje. Nikt nie dostrzega jej odejścia, tak doskonale goście się bawią. Robi mi się jej żal. Wiem, co to znaczy - czuć się samotna w tłumie. Wędruję wzrokiem ku Édouardowi, który gorliwie potakuje, słuchając *maman*. Natychmiast patrzy na mnie, jakbym zawołała go po imieniu. Brak mi tchu. Nagle uświadamiam sobie, że w jakimś sensie Suzanne i ja jesteśmy do siebie podobne.

W bladożółtym blasku świec spożywamy istic królewską ucztę: kremowa zupa Saint-Germain, barwana z rusztu, jagnięce żeberka podane na szparagach, pieczony bekas, sałatka z truflami, lody truskawkowe, sery, owoce, orzechy.

Zapach potraw, bogate kolory, światłościę - wszystko to wiruje w gorącym, parnym powietrzu letniego zachodu słońca. Jedzenie jest pyszne, to prawda, upał jednak zawsze odbierał mi apetyt. Nic dziwnego, że nie mam dziś ochoty na jedzenie. Głodna jestem tylko towarzystwa, energii udanego wieczoru.

*Maman* jest w znakomitej formie. Zabawia Édouarda i Eugène'a. Rozkwita w ich atencji. Ja wolę odsunąć się w cień. Chłonąc szmer ożywionych rozmów, beztroską atmosferę.

Nie spuszczać wzroku z Édouarda, mama delikatnie osusza serwetką kąciki ust. Kładzie dłoń na jego ramieniu.

- Proszę mi opowiedzieć o swojej twórczości.

- A cóż jest do powiedzenia prócz tego, że maluję obrazy, które rozjuszają krytyków? Nie czytała pani okropieństw, jakie wypisują o mnie w „Le Soir”?

*Maman* muska broszkę przypiętą pod szyją.

- Owszem, czytywałam artykuły na pański temat. - Sący bordo. - Przyznaję, nie zawsze przedstawiano pana w najlepszym świetle.

Édouard wzrusza ramionami.

- Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że nie muszę utrzymywać się ze sprzedaży obrazów. Dlatego nie przejmuję się opiniami krytyków o małych rozumkach.

- Ach, tylko pozazdrościć. - Stevens osusza kieliszek. - Możesz sobie pozwolić na malowanie nieskromnych aktów, bo w przeciwieństwie do nas, plebejuszy, nie musisz kłaniać się w pas wielkim panom krytykom.

- Jeśli nie podoba ci się postawa Akademii - wtrąca Degas - zrób coś, by ją zmienić. A jeśli potrafisz jedynie siedzieć w kącie i skarżyć się na swój los, to tylko twoja wina.

- Wina? Tak, chętnie się jeszcze napiję. - Stevens podsuwa Degasowi pusty kieliszek i wybucha śmiechem. - A, tak, rozumiem. Miałeś na myśli winę, nie wino.

Degas ściąga brwi. Zastanawiam się, czy ten skwaszony człowiek w ogóle ma poczucie humoru. Mnie żarty Stevensa bawią.

- Zamiast odgrywać błazna, zdobądź się wreszcie na odwagę i postaw się nadętym akademikom, którzy tylko więżą prawdziwą sztukę. Ich poglądy wołają o pomstę do nieba.

Édouard odchyła się w krzesło. Wygląda na rozbawionego.

Służący dolewa wina Stevensowi, który zaraz wypija łyk.

- Niestety, nie jestem zamożny. Nie mogę sobie pozwolić, by namalować nagą kobietę na Polach Elizejskich tylko po to, by zgorszyć publiczność.

- Nie maluję tylko po to, by szokować - broni się Édouard. - Musimy być kronikarzami, przedstawiać to, co widzimy.

- Nawet Napoleon III nie potrafił zmienić nastawienia skostniałych akademików. A próbował, i to nieraz - odbija piłeczkę Stevens. - Mój byt zależy od oceny, jaką wystawią mi na Salonie. Gdybym obraził establishment, przepadłbym z kretesem.

- Za to my doskonale pamiętamy, jak pięknie Napoleon załatwił sprawę Maksymiliana. Wycofał się z Meksyku i zostawił cesarza na pastwę wojsk Garcii. Nie przejął się jego śmiercią. - Degas prychnął z pogardą. - Wspiera sprawę, dopóki wietrzy w tym korzyść dla siebie. A ty, skoro nawet nie próbujesz zmienić Salonu, jesteś gorszy od niego.

Madame Manet stuka widelcem w kieliszek.

- Dość! Nie będę tolerowała nudnych politycznych kłótni przy moim stole. Jeśli już musicie o tym rozprawiać, poczekajcie, aż zostanieie sami przy cygarach i koniaku.

Rozumiem punkt widzenia obu artystów. Akademia sprawuje dyktatorskie rządy, narzucając nowoczesnej sztuce swoje gusta. Wielu malarzy, w tym i ja, uważa, że akademicy powinni pójść z duchem czasu, zamiast kurczowo trzymać się tradycji. Żyjemy w drugiej połowie XIX wieku, a sztuka wciąż tego nie odzwierciedla. Jaki artysta jednak odważy się uderzyć po rękach tych, którzy jego los trzymają w tłustej garści?

Przyglądam się Édouardowi, który słucha, co mówi do niego *maman*. Co za rozkosz przyglądać mu się otwarcie, bez skrępowania. Uświadamiam sobie, że mnie przyciąga jego cudowna wolność. On po prostu może być sobą. Nie boi się malować tego, co dyktuje mu serce i dusza. W zamian zostaje zmiażdżony przez krytykę i wykreślony z Salonu. Wzrusza mnie i pociąga ta buntownicza natura skryta za maską przykładowego dżentelmena. To taka rzadka cecha.

I, muszę przyznać, niezwykle atrakcyjna. Wręcz uwodzicielska.

Tak. *Très séduisante*. Szalenie uwodzicielska. Ach, być tak wyzwoloną, by odważyć się wypowiedzieć na głos zakazane słowo *séduisant*.

- Wyjątkowo dziś pani milcząca, mademoiselle. - Jego oczy są jak ciepła pieszczota. - Mam nadzieję, że nie poczuła się pani urażona naszą rozmową.

- Monsieur Manet, niełatwo mnie zgorszyć. Uważam, że malarstwo nie jest zawodem dla osób nadmiernie delikatnych i wrażliwych.

- Znakomicie.

Nachyla się ku mnie, opierając brodę na dłoni. Łokciem przesuwając moją małą łyżeczkę. Palce mnie świerzbią, by ją poprawić, ułożyć prosto, ale nie robię tego.

Wyciąga zadbaną dłoń i bawi się srebrną łyżeczką, wciąż nie odkładając jej na miejsce. Potem zaczyna coś mówić, ale urywa w pół słowa.

- *Comment*\*? - pytam.

\* (Franc.) Słucham?

Sączę wino, patrząc na niego znad kieliszka.

Waha się. Zatrzymuje oczy na moich ustach. Jego myśli, które widzę w wyobraźni, budzą we mnie panikę. Opuszczam powieki. Mój wzrok pada akurat na mankiet jego koszuli. Dostrzegam włoski wysuwające się spod rękawa. W blasku świec wydają się miodowozłote. Chciałabym dotknąć subtelnej granicy pomiędzy owłosieniem a gładką skórą.

Nie powinnam mieć takich myśli - w domu jego żony, przy stole jego żony.

Przecież to nie jest dom jego żony.

To nie jest jej stół.

Co nie zmienia faktu, że Manet jest żonaty.

Nieosiągalny.

Zakazany.

*Maman* śmieje się głośno. Jest oczarowana pogawędką z Eugène'em. Podnoszę wzrok na Édouarda. Wciąż mnie obserwuje.

- Błagam, niech pani zdradzi, jakie myśli wywołują takie spojrzenie.

Jego głos przypomina płynny miód. Kusi, bym skosztowała tego, czego pragnąć mi nie wolno.

Przez chwilę korci mnie, by powiedzieć, co myślałam. Na głos, przy wszystkich. Chcę uśmiechnąć się kokieteryjnie i pogłodzić odsłonięty nadgarstek. Zdradzić, jakie myśli wywołują takie spojrzenie.

Nachylam się ku niemu.

- Może... - Przygryzam wargę. - Może kiedyś panu powiem. Kiedy lepiej się poznamy.

Rozgrzewa mnie wino, koi szmer deszczu za oknami. Zalewa mnie dziwna rozkosz.

- W takim razie mam nadzieję, że lepiej się poznamy - mówi. - I to jak najszybciej.

Uśmiecha się, a mnie porusza ta sama siła, która sprawia, że Ziemia krąży wokół Słońca. Nie wiem jednak, kto krąży wokół kogo. Mam wrażenie, że unosimy się w powietrze, oddalamy od gości i banalnej konwersacji. Znów ogarnia mnie przemożne pragnienie, by go dotknąć, przytulić dłoń do jego policzka, pozwolić, by przeniknęło mnie jego ciepło.

Édouard bierze karafkę i dolewa mi bordo, po czym unosi swój kieliszek w geście toastu. Czysty dźwięk kryształu brzmi jak nasza dwuosobowa symfonia. Przez chwilę szumi mi w głowie, jakbym patrzyła w magiczne zwierciadło i widziała w nim mężczyznę, który jest moim odbiciem. Wiem, to nonsens, ale przez tę krótką chwilę czuję, że zaglądam mu w głąb duszy. Przenikam to, co powierzchowne i pozorne, docieram do samego jestestwa, gdzie nie liczy się czas ani przestrzeń.

- Po prostu ją poproś, Édouardzie.

Głęboki męski głos z końca stołu brutalnie wyrywa nas z naszego małego uniwersum.

Czuję się, jakbym spadała, a potem z hukiem rozbijała o twardą ziemię. W jadalni zapada cisza. Wszyscy odwracają głowy w naszą stronę.

Milczenie przerywa Stevens. Dopija ostatni haust wina i rękawem wyciera usta.

- Biedaczysko, od dawna wzdycha do mademoiselle Berthe. Dlatego przyniosłem mu jej portret. Rzuca te bełkotliwe słowa w przestrzeń i wybucha pijackim śmiechem.

Obraz, który tuż przed kolacją zepsuł madame Manet humor! *Mon Dieu!* Nie byłam świadoma mąk monsieur Maneta. W żaden sposób nie kokietowałam go ani nie zachęcałam.

Rozlega się potężny grzmot, jakbyśmy wzbudzili gniew bogów.

Kątem oka widzę, że Édouard wciąż opiera się na łokciu, ale teraz zaciśniętą pięść przesunął ku oczom, by ukryć wyraz twarzy.

- Mój drogi, nieszczęsny przyjacielu - ciągnie Stevens. - Masz ją tuż, na wyciągnięcie ręki. Po prostu poproś.

TLR

# Rozdział 4

*Nasze słowa muszą wydawać się nieuchronne.*

William Butler Yeats

Swymi obrzydliwymi insynuacjami znieważają panowie moją córkę, a mnie obrażają!

*Maman* odsuwa krzesło i wstaje. Chwiejąc się nieco, mierzy lodowatym spojrzeniem Stevensa, potem Édouarda.

- Uważa pan Berthe za zwykłą modelkę? Taką jak pańska Olimpia? - Nie czekając na odpowiedź, skinieniem głowy żegna gospodynię. - *Merci, madame. Bonne nuit.*

Édouard zrywa się na nogi. Przez chwilę wydaje się, że jej nie przepuści. *Maman* patrzy z furją, a Édouard zaklina, by jednak została.

- Madame, *s'il vous plaît*. Mademoiselle Berthe jest bardzo piękną kobietą. Chciałbym jedynie namalować jej portret. Tylko to pragnął powiedzieć monsieur Stevens, aczkolwiek, przyznaję, wyjątkowo niezręcznie to ujął. Nie miał złych zamiarów. Nie zamierzał urazić pani córki. *Oui*, Stevens?

Nieszczęśnik kuli się na krześle jak niegrzeczne dziecko, które nabroilo i próbuje stać się niewidzialne. Wzrusza ramionami.

- Oczywiście. Nie chciałem pani urazić. Proszę o wybaczenie, madame, mademoiselle.

W całym tym zamieszaniu potrafię myśleć tylko o jednym. Édouard Manet chce mnie namalować! Siedzę na krześle jak przykuta, próbując odzyskać dech. Owszem, Stevens mnie malował, ale to co innego.

Monsieur Stevens otwarcie powiedział to, co wisiało w powietrzu, a o czym nikt nie odważył się wspomnieć. Nie wiem, czy go za to uściskać, czy udusić. Kątem oka zerkam na Edmę, która z zapartym tchem obserwuje scenę przy stole.

Degas marszczy brwi i bacznie przygląda się paznokciom.

- Doprawdy, nie rozumiem, skąd to oburzenie. Osobiście nie widzę nic złego w tym, by Manet ją sportretował. Sama doskonale wie, że jest malarką, nie modelką, nawet jeśli często pozwala, by koledzy po fachu przenosili na płótno jej urodę.

*Maman* aż się zachłystuje. Wyrzuca w powietrze ramiona.

- Teraz widzę, jak wielki błąd popełniłam, zgadzając się, by monsieur Stevens namalował moją córkę.

Jak burza wypada z jadalni. Edma i ja idziemy za nią. Édouard również.

- Madame, proszę, niechże się pani uspokoi.

- Ja? Uspokoić?!



Boję się, że *maman* go spoliczkuje, tymczasem ona podchodzi i zabiera obraz, który Stevens przyniósł Manetowi. Drżąc na całym ciele, chwytą złoconą ramę. Wtem jej twarz szarzeje jak popiół.

- *Maman?* - odzywam się zaniepokojona. Podbiegamy do niej z Edmą, bojąc się, że zemdleje.

I wtedy widzę, co tak nią wstrząsnęło. Obraz Stevensa.

A na nim ja.

I słowa wypisane czarno na białym nad moją głową: „Dla Monsieur Ed. Maneta”.

*Maman* wzrokiem ciska błyskawice.

- Wizerunek mojej córki podarowany jak jakiś bibelot człowiekowi, którego ledwo poznałyśmy? Do tego żonatemu? - Gestem przywołuje lokaja, by podał nasze kapelusze i peleryny. - Niewybaczalne!

U jej boku pojawia się *madame Manet*, delikatnie wyjmując jej z rąk obraz i podaje Eugène'owi, który natychmiast z nim znika.

- *Madame...* - odzywa się zmieszana i urywa, jakby brakowało jej słów.

Gustave opiekuńczo kładzie dłoń na ramieniu matki. Zapada głucho, ciężkie od emocji milczenie.

Na szczęście mama nie mówi nic, ale wiem, co myśli: Radykalne poglądy polityczne pani syna i jego wątpliwe poczucie przyzwoitością ciągną się za nim jak niezdrowy smród za trędotatym. Nie chcę, by zaraził moją córkę.

Następnego dnia pojawia się posłaniec z fioletowymi hiacyntami i liścikiem.

Amélie przynosi je mamie, kiedy ja i Edma siedzimy w bawialni na otomanie ze szkicownikami na kolanach. Mama siada w fotelu przy oknie i czyta list. Z jej twarzy niczego nie da się wyczytać. Jest jak czysta, niezapisana kartka.

Tuląc do siebie bukiet, Amélie staje tuż za mamą i posyła nam znaczący uśmiech.

Uniesiona brew. Ledwo dostrzegalne kiwnięcie głową.

Edma szturcha mnie i mówi bezgłośnie: „Od niego”.

Przygryzam wargę i zerkam na mamę. Ona jednak wciąż studiuje list przez lorgnon.

Amélie wyciąga ręce z bukietem, poddając kwiaty jej bacznej inspekcji. Hiacynty pachną na cały pokój. Wdycham głęboko słodką woń przeprosin Édouarda.

Hiacynty, kwiaty skruchy. Symbol żalu za niewłaściwy postępek.

*Maman* uważnie przygląda się im przez lorgnon, ale w końcu nie przyjmuje.

Po krótkim wahaniu Amélie zabiera bukiet.

- Jeśli wolno, *madame*, posłaniec czeka na odpowiedź.

*Maman* ściąga usta tak, że przypominają pączek róży, i rzuca bilecik służącej.

- Odpowiedź brzmi „nie”. Natychmiast zwróć kwiaty. Edma aż się zachłystuje.

Serce mi się ściska.

- Nie? *Maman!* - wstaje, szkicownik spada mi z kolan.

- Są piękne - skrzeczę przez zaciśnięte gardło. - Proszę, nie odsyłaj ich. Mogą... Mogą przydać się w pracowni. Byłaby z nich piękna martwa natura.

Mama czyta we mnie jak w otwartej książce. Tak samo jak wczoraj w powozie. Chyba wołałabym już, żeby mnie uderzyła. To bolałoby mniej niż widok jej furii.

Kolana się pode mną uginają i bezsilnie siadam na otomanie.

Och, oczywiście twierdzi, że mnie nie wini. Odpowiedzialnością za wczorajszą scenę obciążyła Stevensa i jego - jak to określiła - całkowite lekceważenie powszechnie przyjętych zasad.

- I to w obecności madame Manet - syczała w powozie.

Jej twarz tonęła w mroku, ale domyślałam się, jaką ma teraz minę. Doskonale znałam ten wyraz pogardy. Obnosiła się z nim jak raniony w bitwie żołnierz ze swoimi medalami. Liczyłam uderzenia kopyt na bruku, przytłumione przez skrzyp i klekot powozu, podczas gdy *maman* kontynuowała monolog.

- I to w obecności Suzanne, jakby nic nie znaczyła. Jakby jej nie obchodziło, że mąż „wzdycha” do innej. Niewyobrrrrraźalne! - Nagle podniosła głos o oktawę.

Przez całą drogę wyglądałam przez okno, ciesząc się, że noc jest ciemna i nie mogę zobaczyć jej twarzy. A może większą ulgę przynosiła mi myśl, że ona nie może zobaczyć mojej?

- Całe szczęście, że nie było waszego ojca. Nie zniósłby takiej obrazy swej rodzonej córki.

Sapnęła gniewnie, kończąc tyradę. Najwyraźniej upuściła trochę wezbranej żółci. Do końca podróży siedziała w ciężkim milczeniu.

Wiem, że mnie wini. Nawet jeśli sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

Mam dwadzieścia siedem lat i jeszcze nie wyszłam za mąż. Co gorsza, jestem malarką i sympatyzuję z niewychowanymi błaznami, którzy puścili w obieg mój portret, jakby to był sprośny żart, nieprzyzwoita rozrywka.

Pornografia dla żonatych.

Jeśli zaczną krążyć plotki o wczorajszym incydencie, moje szanse na zamążpójście jeszcze bardziej zmaleją. Martwi mnie to tylko z jednego powodu: ucierpieć może na tym również reputacja mojej siostry.

Edma zaczęła się zmieniać. Pierwszym sygnałem było zainteresowanie Adolphe'em Pontillonem. Oficer marynarki handlowej. Spokojny, rozważny. Przy nim Edma się usatkuje. Adolphe zapewni jej dostatnie życie i tyle dzieci, że nie będzie miała czasu ani ochoty na szaleństwa.

Natomiast ja mam wrażenie, że gdzieś głęboko ukryta żyje we mnie druga Berthe. Nie jest posłuszną córką, która zajmuje się malarstwem tylko dla zabicia czasu i chętnie zamieni je na małżeńskie stadło. Ta Berthe ma cichą nadzieję, że wiadomość o figlu Stevensa rozniesie się jak syfilis po burde-

lach. Ta Berthe na samą myśl o życiu zgodnym z konwenansami czuje się jak zwierzę zamknięte w klatce. Wolałaby śmierć od nudnej egzystencji.

Boję się tej drugiej Berthe, bo staram się być dobra. Staram się robić to, czego inni ode mnie oczekują. Mimo to tamta Berthe niebezpiecznie często zagraża moim szczytnym celom i cnotliwym postanowieniom.

- Posłaniec nie będzie sterczał tam cały dzień, Amélie - mówi rozdrażniona *maman*. - Każ, by odniósł bukiet temu, kto go przysłał, *s'il te plaît*.

Pokojówka waha się, zerka na Edmę. *Maman* ściąga brwi i klaszcze zagniewana.

- *Tout de suite*, Amélie! Już!

Dziewczyna wybiega z pokoju z furkotem spódnicy.

Chcę zaprotestować, ale mama zrywa się z fotela i mija mnie bez słowa, nawet na mnie nie patrząc. Ledwo znika za drzwiami, Edma chwyta mnie za rękę.

- Chodź. Szybko!

W przedpokoju omal nie wpadamy na bladą jak kreda Amélie. Stoi pod ścianą, przyciskając do siebie kwiaty, jakby spodziewała się *maman*, a nie nas. Rozgląda się trwożliwie, wciska mi do rąk bukiet z bilecikiem i próbuje się wycofać, ale Edma chwyta ją za rękę.

- Nie, Amélie, zostań - szepcze ledwo słyszalnie, lecz to wystarczy, by pokojówka stanęła jak skamieniała. - Każ posłańcowi poczekać na odpowiedź.

Serce mi łomocze.

- Odpowiedź? Co napiszemy?

Edma rozkłada ramiona.

- Nie możemy go odesłać z pustymi rękami.

Amélie znika w drzwiach frontowych, by zatrzymać posłańca. Edma wrywa mi bilecik. Otwieram. Głowa w głowę pochylamy się nad listem.

Szanowna Pani, Mesdemoiselles.

Żadne słowa nie opiszą mojego wstydu z powodu wczorajszego niefortunnego zajścia. Jeśli wolno, chciałbym dziś po południu złożyć Paniom wizytę, by osobiście wyrazić żal i przeprosić.

Z poważaniem - Édouard Manet.

Tak, żałuje.

Kornie błaga o przebaczenie.

Ukrywam twarz w wonnych płatkach i rozkoszuję się zapachem, póki nie czuję szarpnięcia za rękaw.

- Chodźże - ponagla mnie siostra. - Nie ma chwili do stracenia.

Zatrzymujemy się w progu bawialni. Na szczęście mamy nigdzie nie widać.

Edma rzuca na biurko kartkę i szpera w szufladzie w poszukiwaniu pióra.

Odkładam kwiaty i biorę kremowy arkusik. Wodzę paznokciem po zagięciu, powolutku przesuwam go w dół, aż wreszcie - jakby bez udziału mojej woli - palec wślizguje się do środka kartki i spoczywa między słowami Édouarda. Nie rozkładam bileciku. Na wierzchu widzę ślad jego pisma i to mi w zupełności wystarcza. Opuszkiem wodzę po literach, gładzę każde słowo. Palec napiera na kartkę. Jeśli pchnę choć odrobinę, otworzę ją.

Albo mogę po prostu odłożyć kartkę i odejść.

- Daj.

Edma niecierpliwie wyrywa mi bilecik z ręki. Ostry brzeg kartki przecina mi skórę, zostawiając biały, równy ślad. Unoszę palec do ust. Od śliny zaczyna piec jeszcze bardziej. Niczego nieświadoma Edma rozkłada liścik Édouarda zapisaną stroną do blatu. Zanurza pióro w kałamarzu i patrzy na mnie wyczekująco.

- Co napiszemy?

Nie odpowiadam. Ssę skaleczenie. Usta wypełnia mi metaliczny smak krwi.

Wzruszam ramionami i wycieram wilgotny palec w niebieskie fałdy spódnicy.

Edma marszczy brwi.

- Masz, sama pisz. - Wciska mi pióro do ręki. - W końcu to o ciebie chodzi. Ty powinnaś odpowiadać.

Ta prosta konstatacja jest dla mnie jak świeca zapalona nagle w nieprzeniknionym mroku piwniczki z szampanem.

Biorę pióro. Kropla atramentu spada na blat tuż obok kartki. Pod naciskiem palca skaleczenie szczypie mocniej.

Edma nerwowo skubie koronkowy kołnierzyk swojej żółtej sukni.

- Jeśli zaprosimy go na dzisiaj, *maman* wpadnie w szal. Nie możemy narażać go na jej gniew. - Zerka na drzwi. - Trzeba wybrać inny termin. Jutro?

- Amélie!

Głos mamy rozlega się tuż za drzwiami bawialni. Obie podrywamy się jak dźgnięte ostrogą. Kwiaty...

Otwieram szufladę i wpycham do niej bukiet, omal nie przycinając palców Edmie, która dorzuca do kontrabandy liścik Édouarda.

W pokoju unosi się zapach hiacyntów, a szuflada jeszcze wibruje po tym, jak z impetem ją zatrzasnęłyśmy. Musimy wyglądać co najmniej podejrzenie, stojąc tak ramię w ramię za biurkiem.

*Maman* ściąga brwi.

- Co robicie?

- Nic - odpowiada Edma.

- Patrzymy na perspektywę pokoju, bo chcemy zrobić szkic węglem - mówię równocześnie.

Nie umiem kłamać, więc spuszczam oczy pod jej spojrzeniem. Na blacie zauważam dwa fioletowe płatki. Pewnie upadły, kiedy zgarniałam bukiet. Zasłaniam dłonią corpus delicti. Równocześnie przykrywam też atramentowy kleks.

*Maman* przygląda się nam przez chwilę, potem kręci głową, jakby mówiła: „Nigdy nie zrozumie tego młodego pokolenia”.

- Gdzie jest Amélie? Daję słowo, ta dziewczyna koniecznie chce mi dzisiaj podpaść.

Amélie. *Non*. Serce mi łomocze. Mama dostanie apopleksji, jeśli się dowie, że pokojówka wciąż rozmawia z posłańcem, choć już dawno miała go odesłać z bilecikiem i bukietem. Cała złość mamy skrupi się na nieszczęsnej dziewczynie.

- Amélie! - *Maman* idzie do przedpokoju.

Zaciskam powieki i modłę się w duchu, by Amélie szybko znalazła jakieś przekonujące wytłumaczenie swojej gnuśności. Chwytam Edmę za ramię, przygotowujemy się na wybuch mamy.

Słyszymy, jak uporczywie woła pokojówkę.

- Amélie!

- *Oui, madame?*

Głos służącej dobiega z kuchni, z drugiego końca mieszkania.

Mądra dziewczyna - wyszła drzwiami frontowymi, a wróciła kuchennymi. Spryciarka, potrafiła zatrzeć ślady. Później jej podziękuję. Miejmy nadzieję, że przekazała posłańcowi, by poczekał na odpowiedź.

Odważam się spojrzeć na Edmę, dopiero gdy kroki *maman* oddalają się w stronę kuchni. Przy okazji widzę, że ubrudzoną dłonią przeniosłam kleks na jej rękaw, ale teraz nie mam czasu, by się tym przejmować.

Edma wysuwa szufladę. Wyciągam liścik Édouarda i pióro.

Proszę przyjść we wtorek o czwartej.

- Wtorek? - jęczy Edma. - *Non*, to dopiero za cztery dni! Jutro.

- Za wcześnie. Mama go nie przyjmie.

W korytarzu znowu rozlega się głos mamy. Potem Amélie, donośniejszy niż zwykle.

- *Pardon, madame*, jeszcze jedno pytanie w sprawie obiadu, *s'il vous plaît?*

Kroki mamy się oddalają.

Serce mam w gardle, ale udaje mi się wydusić:

- Edmo, schowaj kwiaty i odwróć jej uwagę, póki nie wrócę.

Najlżej jak potrafię, by nie zdradził mnie stukot obcasów, biegnę korytarzem. Przerazenie mrozi mi krew w żyłach. Wstrzymuję oddech i modłę się, by mama nie zauważyła, jak przemykam się do

przedpokoju. Wreszcie bezpiecznie docieram do drzwi frontowych. Uchylam je i bezszelestnie zamykam za sobą.

Chwilę trwa, nim oswoję się z ostrym słońcem, ale zaraz potem biegnę, po kamiennych schodkach i ścieżką do bramy. Tam omal się nie zderzam z chłopcem, który goni ulicą za swoim pieskiem.

Próbuję złapać równowagę i instynktownie sięgam, by poprawić kapelusz. Nie włożyłam go! Ani rękawiczek - uświadamiam sobie, kiedy obok mnie przechodzi jakaś sympatyczna para. Stojąc tak na ulicy - w codziennej sukience, z gołą głową i rozsypanym koczkim, którym szarpia podmuchy wiatru - czuję się jak naga.

*Dieu merci*, to nie sąsiedzi. Pierwszy raz widzę na oczy tych dwoje. Na Boga, jak uroczko wyglądają, spacerując w ciepłych promieniach porannego słońca! Świat dla nich nie istnieje. Wpatrzeni w siebie nawet nie zauważyli mojego zderzenia z chłopcem.

Kiedy mnie mijają, dostrzegam w zachowaniu kobiety coś szczególnego - niuans, który innym mógłby umknąć. Zadowolenie, wyrafinowanie, subtelną siłę ukrytą w nieznacznym uniesieniu brody.

Obserwuję ich przechadzkę po rue de Franklin, póki nie stają się ciemnymi konturami w ostrych promieniach słońca.

Po wczorajszej burzy dzień nastał piękny. Uświadamiam sobie, że los jest właśnie taką burzą, która przetacza się, niszcząc wszystko na drodze, póki przypadek nie zmieni jej toru. Wtedy rusza w innym kierunku, my zaś zostajemy na gruzach dawnego życia, mozolnie próbując je odbudować.

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. To lokaj, którego widziałam wczoraj u madame Manet. Przygarbiony opiera się o mur. Wygląda znacznie młodziej niż wczoraj - to właściwie chłopiec, dopiero co przekroczył próg męskości. Zauważa mnie. Prostuje się i wita lekkim skinieniem głowy.

Podaję mu bilecik.

- Proszę go doręczyć monsieur Édouardowi Manetowi. *Merci*.

Wyciąga rękę po kartkę. Słońce pada na moją zabrudzoną atramentem dłoń. Zerkam na liścik i moje pismo. Duże, kreślone w pośpiechu litery z daleka krzyczą o brudnym sekrecie.

Posłaniec niespiesznie, powolnym ruchem wyjmuję mi z dłoni bilecik. W jego oczach dostrzegam przelotny błysk rozbawienia. Niemal czytam w jego myślach: żonaty człowiek wysyła jej kwiaty. Kursują między nimi bileciki z czułymi wyznaniem. Śmiechu warte.

Zapewne ja nie jestem pierwsza.

Głos wewnętrzny wrzeszczy: „Zabierz list!”, ale posłaniec już podziękował, odwrócił się i odszedł. Powinnam ruszyć za nim lub chociaż krzyknąć: „Powiedz mu, że nie! Odpowiedź brzmi: nie!”, ale w furtce pojawia się mama.

- Berthe, co ty tu robisz?

Przez jej twarz przemyka zaskoczenie, które natychmiast zastępuje gniewna zmarszczka.

Wpadam w panikę. Nie wiem, co powiedzieć.

- Jesteś zaczerwieniona - mówi mama.

Chce dotknąć mojego policzka, ale się odsuwam.

- Co się z tobą dzieje? - Już jest naprawdę zła. - Na miłość boską, co robisz sama na ulicy? Bez kapelusza, bez mantyli. Doprawdy, Berthe!...

Zza ramienia *maman* spogląda na mnie Edma. Widzę jej szeroko otwarte, przestraszone oczy, a obok nich przymrużone, oskarżycielskie oczy mamy.

- Musiałam...

Szeroko otwarte, przestraszone.

- Pomyślałam...

Przymrużone, oskarżycielskie.

- Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Trzeba było iść do ogrodu, zamiast pokazywać się tak na ulicy!

Nie potrafię odpowiedzieć. Wzruszam tylko ramionami i patrzę na ulicę. Poślaniec zniknął w dali. Staram się zapanować nad sobą i nie wciągać powietrza łapczywymi haustami, co nie przystoi damie.

- Natychmiast wracaj do domu. - Mama odsuwa się, robiąc mi przejście. Idąc za mną i Edmą, przez całą drogę mruczy pod nosem. - Od wczorajszego wieczoru obie zachowujecie się skandalicznie. To mnie utwierdza w przekonaniu, że trzeba unikać tego człowieka. Skandalista będzie tylko przynosił skandale. Zawsze to powtarzałam... Edma!

*Maman* zatrzymuje się w pół kroku i chwyta moją siostrę za ramię.

- Czy to plama z atramentu?

Widzę ciemnoniebieską plamę na żółtym rękawie sukni Edmy. Zaciskam brudną dłoń i ukrywam ją w fałdach spódnicy. Mama zaś odrzuca rękę mojej siostry, jakby się nią brzydziła.

- Bardzo proszę, idźcie na przechadzkę albo do pracowni. Nie wytrzymuję z wami nerwowo. Ale najpierw, Edmo, zmień sukienkę. Wyglądasz jak łachmaniarz.

Odpycha nas i nie przestając mrużyć pod nosem, idzie po schodach do domu.

Patrzemy na siebie oszołomione, dezorientowane. Moja siostra nie musi nic mówić. Doskonale wiem, co myśli. Nie potrafimy oszukać *maman*. Teraz mamy cztery dni, by jej się przyznać, co zrobiliśmy.

# Rozdział 5

*Nie powinien patrzeć na obraz ten, kto nie potrafi dostrzec znaczenia głębszego niżli to, które zawarł w nim artysta.*

Nathaniel Hawthorne

Oczekiwanie na wtorkową wizytę Édouarda sprawia, że czas staje w miejscu. Przez cztery dni każda godzina jest jak chwila zatrzymana na płótnie - niby mija, ale została skazana na wieczne trwanie w zamkniętych ramach obrazu. Dni stały się tak podobne jeden do drugiego, że można by je nakładać na siebie jak kolorowe szybki w kalejdoskopie - tworzą pozór ruchu, ale obracają się ciągle po tej samej orbicie.

Wtorek. Bezruch nagle pęka, jakby ktoś rzucił kalejdoskop na ziemię, roztrzaskał go, wypuszczając szkiełka na wolność.

Edma i ja nadal nie powiedziałyśmy *maman* o wizycie Édouarda. Wciąż szukamy odpowiednich słów, które uparcie nie przychodzą nam do głowy, gdy mama znajduje ukryte w pracowni hiacyncy.

Siedzę na tarasie jak kłębek nerwów, przeczuwając, co przyniesie popołudnie. Podnoszę głowę i nagle widzę przed sobą *maman*. Przyciska do piersi zwiędłe kwiaty niczym upiór panny młodej nawiedzający kaplicę, gdzie została porzucona. Powinnam była potraktować to jak zapowiedź katastrofy, która zaraz się rozpęta, ale spanikowana potrafię myśleć tylko o jednym - jak pięknie kwitnie jaśmin na tarasie. Gałęzie uginają się pod ciężarem kwiatów, jakby odurzający zapach przygniatał je do ziemi. Chyba już zawsze woń jaśminu będzie mi się kojarzyła z gniewem *maman*. Dziwne, że nie hiacynców, ale one zdążyły już przywędnać. Kiedy mama ciska bukiet, wiatr porywa uschłe płatki i toczy po posadzce niczym kępki suchej trawy.

- Co to jest?!

Głęboki fiolet zamienił się w ołowianą szarość. Wyszłe łodygi przypominają żyły rysujące się wyraźnie pod pomarszczoną skórą na dłoniach *maman*.

Ilekoć papy nie ma w domu, mama jest w paskudnym humorze. Niestety, ojciec wraca dopiero jutro. Po jej minie widzę, że jeśli nie odpowiem *tout de suite*, może mnie spoliczkować.

- To są kwiaty.

Obnaża zęby, ziejąc wściekłością połączoną z odrazą.

- Tyle to i ja widzę, głupia dziewczucho! Pytam, skąd się wzięły?

Głupia dziewczucho?! Zdumienie odbiera mi mowę. Matka nigdy tak się do mnie nie odzywała. Podchodzi bliżej. Kipi furiją. Wstaję, gotowa do konfrontacji.



Jest tak blisko, że niemal czuję wilgoć jej oddechu. Nie grzeszę wzrostem, ale i tak przerastam ją o głowę. Matka się nie wycofuje. Mierzy mnie lodowatym spojrzeniem, domagając się odpowiedzi.

- To bukiet przysłany przez Édouarda Maneta.

Wymierza mi siarczasty policzek. Uderzenie piecze jak tysiąc pokrzyw, ale nie okażę bólu.

Wyginam kąciki ust w wymuszonym uśmiechu, choć moje oczy - jestem tego pewna - zdradzają wszystko, co tak usilnie staram się ukryć.

- Dziś o czwartej Édouard Manet złoży nam wizytę.

Gotowa bym się założyć, że uderzy mnie drugi raz, ale się pohamowuje.

- *Je ne comprends pas.*

Słońce znika za chmurą. Wiatr przybiera na sile. Robi się chłodno.

- Zaprosiłam go.

Jej spojrzenie jest jak rzucona rękawica.

- Napisz do niego i poinformuj, że nie życzymy sobie jego odwiedzin.

- Sądzi, że to ty wysłałaś zaproszenie. Napisałam je na odwrocie bileciku, który przysłał w piątek. Nie podpisałam się. Jeśli odwołamy, będzie to źle świadczyło o tobie.

Cały wysiłek wkładam w powstrzymanie drżenia głosu. Na szczęście mi się udaje. *Maman* przez długą chwilę mierzy mnie wzrokiem. Szczyci się, że jest idealną panią domu. Tę reputację zdobyła jeszcze w czasach, gdy tata był prefektem. Doprowadziła do perfekcji sztukę podejmowania gości.

- Zamierzałaś w ogóle mnie uprzedzić, czy postanowiłaś zrobić mi niespodziankę?

- Powiedziałyby ci, mamó. W stosownej chwili.

Śmieje się gorzko. Zastanawiam się, gdzie podziewa się Edma i jakim cudem zdołała uciec we właściwym momencie. Nie obwiniam jej. Ponoszę odpowiedzialność w tym samym stopniu co ona. Odnoszę nawet wrażenie, że na mnie spoczywa większe brzemie winy.

\*

*Maman* nie odzywa się do mnie aż do pojawienia się Édouarda. Zresztą Edma i ja robimy wszystko, by nie wejść jej w drogę. Siostra ukryła się w kuchni. Kiedy usłyszała, jak mama krzyczy na mnie na tarasie, zaszyła się tam z Amélie.

Przez chwilę kusi mnie, by zrugać ją za tchórzostwo - niech poczuje choć część gniewu *maman*, który spadł na mnie z takim impetem - ale rezygnuję. To przecież niczego nie zmieni.

Siedzimy bez słowa. Amélie wyszła, by przygotować pokój do przyjęcia gościa.

Choć boli świadomość, że *maman* się na nas gniewa, cieszę się, że wreszcie nie muszę ukrywać przed nią prawdy. Czuję się, jakbym odsłoniła ciężkie kotary i wpuściła do pokoju światło odpędzające złe duchy.

Wiemy, że mama podejmie Édouarda grzecznie. Wysłucha go, a potem czym prędzej znajdzie pretekst, by zakończyć wizytę. Manet ani się obejrzy, jak znajdzie się za drzwiami, ale będzie potrzebował dłuższej chwili, by sobie uświadomić, że został potraktowany jak intruz.

- Więc Manet chce cię namalować - mówi Edma. - Czego *maman* się boi? Że staniesz się drugą Olimpią?

Olimpia, kochanka skandalisty. Podobno Victorine Meurent, piękność, która pozowała do „Olimpii”, była kochanką Édouarda, ale go rzuciła. Manet od lat już nie ma stałej modelki. Nie wiedziałam, że szuka nowej. A może nie szuka.

To silniejsze ode mnie. Wyobrażam sobie siebie jako Olimpię, która - próżna i drwiąca - leży nago z jakąś niewinną zuchwałością, ubrana jedynie we wstążeczkę na szyi i pantofelek. Drugą stopę, wyzywająco obnażoną, nieco ukrywam gestem pełnym kokieterii i obietnicy. Gdyby *maman* wiedziała, o czym myślę teraz, do końca życia trzymałaby mnie pod kluczem.

- Mademoiselle Berthe, matka prosi panienkę do bawialni.

Głos Amélie przywołuje mnie do rzeczywistości. Edma chwyta mnie za rękę. Przyszedł!

Nie słyszałam, jak stukał do drzwi. Jakimś cudem wemknął się niezauważony.

Siostra wstaje, by mi towarzyszyć.

- *Pardon, mademoiselle*. Madame mówiła tylko o panience Berthe.

Edma otwiera usta, ale nie protestuje. Ruszam jak na ścięcie, tymczasem druga Berthe śpiewa z radości, bo każdy krok przybliży ją do Édouarda.

Olimpia, która bez cienia wstydu, obnażona patrzy w oczy światu...

Czy tak wyglądałam w czwartek wieczorem, gdy Stevens zachęcał Édouarda, by zapytał, czy zechcę mu pozować?

Olimpia, zmysłowa odaliska...

Czy tak wyglądam, gdy niepewnie stoję w drzwiach bawialni, a Édouard podnosi się, by mnie powitać?

\*

Uwielbiam spacerować nabrzeżem w pobliżu Luwru. Widok budynków wyrastających tuż nad Sekwaną działa na mnie kojąco. Przywodzą na myśl stateczną straż pilnującą bezpieczeństwa długiej, prostej linii starych kamienic, ich nieregularnych dachów i kamiennych balkonów przypominających powieki opadające na melancholijne oczy. To mój azyl. Tu - wierzę w to głęboko - nie może mi się przytrafić nic złego.

Kiedy widzę w salonie Édouarda, marzę, by chwycić Edmę za rękę i razem z nią uciec do mego azylu niedaleko Luwru. Niestety, to niemożliwe, więc staram się przywołać piękne, kojące myśli: widok Sekwany, przycumowane barki, rytmiczny szum wody uderzającej w nabrzeże; fakt, że Suzanne nie towarzyszy dziś mężowi...

To nie jest piękna myśl. Nie powinnam w ogóle jej do siebie dopuścić. Nawet jeśli to prawda.

Staram się oczyścić umysł z niestosownych myśli, ale co mam zrobić, skoro Édouard wygląda zachwycająco? Nie wiem, czy sprawia to granatowy surdut, który nadaje jego szarym oczom ciemno-niebieski odcień, ale kiedy ujmuje moją dłoń i kłania się, nie potrafię dobyć słowa.

- Mademoiselle, tak się cieszę, że znowu panią widzę.

Spoglądam na *maman*, szukając odpowiedzi. Wskazuje, bym siadła obok niej na otomanie. Cieszę się, bo - mimo jej wcześniejszego wybuchu - gest wydaje się pojednawczy. Mam cichą nadzieję, że jednak mi wybaczyła. A przynajmniej już mniej się na mnie gniewa.

- *Maman* przesyła pozdrowienia - odzywa się Édouard, zajmując miejsce naprzeciwko nas.

Odkłada na podłogę laseczkę, opiera łokcie na podpórkach fotela, łączy czubki smukłych palców.

- Chciała przyjść - ciągnie - ale wyjaśniłem, że lepiej będzie, jeśli zjawię się sam.

Amélie dyskretnie podchodzi z czajniczką do stolika. Mama bez słowa wskazuje, bym nalała herbatę. W pokoju panuje głucha cisza. Modłę się, by ręka mi się nie trzęsła, bo filiżanka grzechotałaby na spodeczku.

Udaje się. Wykonuję zadanie, nie ośmieszając się przy tym.

- Mademoiselle - mówi, sięgając po filiżankę, którą mu podaję - ogromnie żałuję incydentu, który wydarzył się w czwartek. To była katastrofa. Prawdziwy wstyd. Monsieur Stevens i ja bynajmniej nie zamierzaliśmy zbrukać pani dobrego imienia.

Édouard patrzy mi prosto w oczy. Jego słowa sprawiają, że czuję w brzuchu coś dziwnego, jakby brzęczący rój pszczół. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że nadal trzymam spodeczek.

Puszczam. Odrobina herbaty przelewa się przez krawędź filiżanki. Édouard taktownie udaje, że tego nie zauważa, i zwraca się do mamy:

- Jeśli pani sobie tego życzy, Stevens przyjdzie, by osobiście przeprosić.

- To nie będzie konieczne - ucina *maman* i zmienia temat. - Monsieur Manet, zanim przyszła do nas Berthe, wspominał pan, że właśnie wraca z Boulogne.

Édouard sączy herbatę. Odstawia filiżankę na spodek, który oparł na kolanie.

- Tak, to prawda. Natomiast *maman*, Suzanne i Léon postanowili przedłużyć pobyt.

Wszystko jasne. Starsza pani Manet nie złożyła nam wizyty z przyczyn praktycznych. Nie potrafię ocenić, czy wyjaśnienie zagadki jej nieobecności poprawia mi czy pogarsza nastrój. Tak czy owak, wiem już.

- Zostaną tam do końca miesiąca, ja zaś będę kursował między Paryżem a Boulogne. Muszę pracować, a rodzina mnie rozprasza. Zresztą Boulogne nie pojawi się na moim najnowszym obrazie.

Przenosi wzrok na mnie, potem na *maman*, która obserwuje go bacznie niczym sędzia przed wydaniem ostatecznego wyroku.

- A cóż zamierza pan namalować? - pyta chłodno.

- Pewnego ranka wybrałem się w Boulogne na spacer i zobaczyłem coś, co mnie zainspirowało. Na balkonie siedziała kobieta, wachlowała się. Wtedy spłynęło na mnie natchnienie. Przypomniał mi się obraz Goi przedstawiający kobiety na balkonie. Zapiera dech w piersi. Oglądałem go w Hiszpanii w sześćdziesiątym piątym. Zna może pani to dzieło?

Potakuję.

- Miałam okazję widzieć jego kopię w albumie.

- Prawdziwe arcydzieło.

W jego oczach widać zachwyt. Otwiera usta, by coś powiedzieć. Zamyka. Waha się. Wreszcie wyrzuca z siebie:

- Stevens mówił prawdę. Od dłuższego czasu gorąco pragnę sportretować pani córkę, madame. Byłbym zaszczycony i niezwykle wdzięczny, gdyby wyraziła pani zgodę, by wraz z mademoiselle Claus i monsieur Guillemetem pozowała do mojej wersji obrazu „Maje na balkonie”.

Mówi to na jednym oddechu, jakby się bał, że jeśli przerwie, nie zdoła dokończyć. Potem zapada ciężkie milczenie. We troje wpatrujemy się w swoje filiżanki. Zegar nad kominkiem tyka głośno. Wreszcie odzywa się *maman*.

- Berthe ma własny rozum. Niech sama zadecyduje.

Nie patrzy na mnie. Popija herbatę, wpatrzona w punkt nad prawym obojczykiem Édouarda.

- Mademoiselle, zjawiłaby się pani w mojej pracowni przede wszystkim jako koleżanka malar-ka, a dopiero na drugim miejscu jako modelka. - Zwraca się do *maman*. - Używam tego słowa z pełnym szacunkiem, madame.

Mam mdlące uczucie, że mama sprowokowała tę sytuację, bym się złapała we własne sidła. W ten sposób chce mnie ukarać za zuchwałość. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Toczą we mnie walkę dwie Berthe. Jedna to wzór wszelkich cnót, posłuszna córka, prawdziwa dama - cicha i spokojna. Druga zaś to kobieta impulsywna, w której właściwie nie rozpoznaję siebie: ulegająca zachciankom, często bezmyślna, wręcz prostacka. Nie jest dyskretna ani roztropna. Taka... Olimpia.

Wzór cnót milczy, bo Olimpia za bardzo się panoszy, nie dopuszczając nikogo do głosu. Zachwyca mnie perspektywa, że mogłabym pozować Édouardowi. Tak, zachwyca i podnieca.

Impuls sprawił, że zapomniałam o posłuszeństwie. Nagrodą zaś jest dzisiejsza obecność Édouarda. Teraz impuls każe mi odpowiedzieć:

- Naturalnie, że będę panu pozować.

# Rozdział 6

*Nie ma prawdziwego piękna bez choćby minimalnej skazy.*

Francis Bacon

Édouard zaprosił nas do pracowni na pierwszą sesję w czwartek i zaraz wyszedł, a wtedy gniew *maman* rozszalał się niczym mistral, zagrażający wszystkiemu, co stanęło mu na drodze.

- Okrywasz hańbą siebie i całą rodzinę!

Powinam była spodziewać się wybuchu. W głębi duszy czułam, że nastąpi, jednak bałam się stawić temu czoło; bałam się przygotować na nieuniknione. A przecież musiałam wiedzieć, że wpadnie w furię, bo dwukrotnie jednego dnia zraniłam ją głęboko.

Odprowadziła Édouarda, zostawiając mnie w bawialni. Słyszę szcęk drzwi frontowych. Podnoszę się z otomany, by szukać azylu w pracowni.

Za późno. *Maman* odcina mi drogę ucieczki.

- Siadaj i słuchaj, co powiem. - Dźga mnie palcem, zmusza, bym opadła na otomanę. - Nie upokorzysz tak rodziny.

Siła jej furii trzęsie domem. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to tylko jej głos drży. Już chyba wolałabym drugi policzek. Wolałabym, żeby wywlokła mnie z domu i cisnęła na ulicy do nóg Édouarda. Nawet to byłoby lepsze niż oglądanie na własne oczy, jak bardzo ją zraniłam.

Nie chciałam tego. Nie przewidziałam, że raz puszczone w ruch koło wydarzeń potoczy się własną drogą. Skutek zaś to fizyczny ból, który umiejscawia się w żołądku, i kula w zaciśniętym gardle, która nie pozwala mi dobrać głosu.

Matka dała mi wybór, a ja skorzystałam z okazji.

Prawdopodobnie nie pożałuję tej decyzji, ale w tym momencie nie mogę tego powiedzieć, bo tylko pogorszyłabym sytuację.

- Pewnie myślisz, że sama wiesz, co dla ciebie najlepsze?! - krzyczy *maman*. - Że wiesz, co robisz?! Jak to wyjaśnisz ojcu?!

Próbuję odpowiedzieć, ale nie mogę się przebić przez kanonadę jej pytań. To trud równie daremny jak siłowanie się z mistralem. Czekam, aż mój domowy mistral straci impet.

Po dłuższym czasie kończy tyradę słowami: „I co próbujesz udowodnić?”. Nie odpowiadam od razu. Uznaje, że się obraziłam i stroję fochy.

- Odpowiadaj, kiedy mówię! Pytałam, co próbujesz udowodnić!

- Niczego nie próbuję udowodnić, *maman*.

Gorąco zalewa mi szyć i uszy. Mam nadzieję, że mama tego nie zauważy. Kręci głową. Wykrzywia twarz z niesmakiem.

- Jest żonaty, Berthe. Ty jesteś panną. Aż tak cię zaślepia egoizm? Zapominasz, że narażasz na szwank nie tylko swoją reputację?

Wiem, że trzęsie się nie tylko nad moją przyszłością. Chodzi też o związek Edmy z Adolphe'em. Jej jedyną otuchę, obietnicę spełnienia najskrytszych marzeń. Na pewno większe źródło nadziei niż ja i moja przyszłość.

- *Maman*, nie rozumiem, o co tyle szumu. Co z tego, że nie jestem mężatką? Przecież nie mam złych zamiarów. Chcę tylko uczyć się od monsieur Maneta.

- Uczyć? Czego? Nie potrzebujesz kolejnego nauczyciela malarstwa!

- Nie chodzi mi o nauczyciela jako takiego. Szukam raczej inspiracji, a tę znajdę, przypatrując się, jak pracuje monsieur Manet.

- Brednie! Wasze lekcje z Guichardem i Oudinotem za dużo nas kosztowały. Skoro musisz gdzieś jeszcze szukać natchnienia, to znaczy, że tamci panowie nie wywiązali się z zadania.

W geście desperacji wyrzuca ręce w powietrze i peroruje, jakby zwracała się do niewidzialnego słuchacza.

- Rozpieściliśmy ją. Oto źródło problemu. Nie powinnam się dziwić, że tak to się kończy. A jednak się dziwię. - Odwraca się do mnie. - Jestem zdziwiona, wstrząśnięta i zasmucona. Daliśmy ci tyle swobody, okazywaliśmy takie pobłażanie i jak to się skończyło? Wyrosłaś na osobę, której na dobrą sprawę nie znam. Której nie chcę znać.

- Jak możesz tak mówić, *maman*?! Jestem twoją córką. Zostałam artystką. Czyż nie tego pragnęliście ty i ojciec?

Krzywi się prawie niedostrzegalnie, ale widzę, że ją to ubodło. Mierzy mnie jeszcze bardziej przeszywającym wzrokiem.

- Twój ojciec i ja pragnęliśmy, byś wyrosła na prawdziwą damę.

Powinnam odpuścić. Wiem, że powinnam, ale mój gniew przypomina drzwi, które otwierają się z hukiem pod naporem huraganu. Daremnie próbuję je zatrzasnąć. Gniew, który wezbrał pod wpływem kazania o moim miejscu na ziemi, szuka ujścia.

- Prawdziwa dama?! To ma być celem i sensem mojego życia? Nie moja wina, że urodziłam się kobietą!

Matka przez chwilę mierzy mnie zimnym, niedowierzającym spojrzeniem. Kiedy wreszcie się odzywa, mówi cicho, jakbym wycisnęła z niej ostatnie siły.

- Berthe, zapewniliśmy ci warunki, o jakich wiele panien może tylko pomarzyć. Luksusy. Najlepsze ubrania, najlepsze wychowanie, najlepsze koneksje. Wszystko po to, byś mogła spotkać męż-

czynę, który zapewni ci godną przyszłość. O twoje względy zabiega mnóstwo wprost idealnych kandydatów. Ty zaś wszystkich odpychasz, choć wystarczyłoby tylko, żebyś...

- Co? Żeby co robiła? Siedziała na kanapie, czekając, aż odpowiedni mężczyzna łaskawie pozwoli mi żyć? Jeśli tak, to skazujesz mnie na bardzo nudną egzystencję. Skoro tylko tego ode mnie oczekujesz, po co nauczyłaś mnie niezależności, *maman*? Po co ty i ojciec zachęcaliście mnie do samodzielnego myślenia?

Przymyka oczy. Wiem, w naszym pojedynku na słowa zadałam śmiertelny cios. Choć wylałam z siebie całą żółć, czuję się tylko gorzej. Zupełnie jakby między nami pękła niewidzialna nić czy gałąź, która do tej pory wydawała się niezniszczalna. W panice szukam słów, którymi mogę naprawić szkody.

- Przepraszam, mamó. Nigdy, przenigdy nie chciałam... Nie chciałam sprawić ci zawodu.

Mówię szczerze. Ona jednak nie odpowiada. Obraca się na pięcie i zostawia mnie samą. W powietrzu rozbrzmiewa echo moich słów.

Dwa dni później *maman* towarzyszy mi do atelier Édouarda przy rue Guyot. Czy poszłaby, gdyby nie wrócił papa? Ani słowem nie wspomniał o incydencie z Édouardem, ale wiem, że wszystko mu powiedziała. Jak inaczej wytłumaczyłaby, dlaczego po naszej kłótni w bawialni przestała się do mnie odzywać?

Przykro mi, że przeze mnie powrót do domu nie sprawił papie radości. Tęskniłam za nim. Bez niego dom jest pusty, a mama chodzi podenerwowana.

Nie mam wątpliwości: to jemu zawdzięczam, że idę teraz z *maman* do pracowni Édouarda. Papa jest silny. Myśli praktycznie. Potrafi wznieść się ponad niemądre, powierzchowne ograniczenia narzucone przez tak zwane towarzystwo i dostrzec to, co naprawdę ważne. Czyli to, że od Édouarda mogę się wiele nauczyć.

Ach, papa!... Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Zjawiamy się spóźnione, a w każdym razie później niż Fanny Claus i monsieur Guillemet, którzy także mają pozować.

- *Bonjour, bonjour* - wita nas ciepło gospodarz.

*Maman* odpowiada serdecznie, ale zachowuje wyraźny dystans - niewątpliwie z mojego powodu - kiedy Manet bierze nakrycia i przedstawia nas tamtym dwojgu.

Wysoki, dystyngowany monsieur Guillemet kłania się nisko i - nieco zbyt natrętnie jak na mój gust - próbuje nas oczarować. Cieszę się jednak, bo liczę, że zdoła stopić chłód *maman*.

Fanny Claus okazuje się skrzypaczką i przyjaciółką żony Édouarda, Suzanne. Podobno często grają duety w czasie czwartkowych wieczorków u madame Manet.

Fanny kłania mi się z przesadną skromnością. Z niezadowoleniem konstatuje, że obie ubrałyśmy się na białe. Co prawda sukienki są w zupełnie różnym stylu, lecz obawiam się, że Édouard będzie niezadowolony z tej monochromatyczności i każe jednej z nas się przebrać.

Nie nazwę mademoiselle Claus grubą - aż tak daleko bym się nie posunęła - ale faktem jest, że nie grzeszy urodą. Nie ma szczególnie smukłej szyi, a podłużna, blada twarz wygląda dość pospolicie. Blisko osadzone oczy sprawiają wrażenie dwóch rodzyneków wetkniętych do rosnącego ciasta drożdżowego. Prosta biała sukienka tylko podkreśla niedostatki cery oraz figury.

- Mogę poczęstować panią herbatą? - proponuje Édouard. - A może filiżanką czekolady?

*Maman* prosi o herbatę. Ostentacyjnie odwraca się do mnie plecami i rozmawia z madame Chevalier, przyzwoitką Fanny Claus, tęgą matroną odzianą w granatową suknię z obcisłym stanem i epoletami.

Wodzę wzrokiem po obrazach na przeciwległej ścianie. Jest ich tak dużo, że trudno ogarnąć je spojrzeniem. Portrety, martwe natury, owoce, kwiaty, jarzyny... A w kącie za przepierzeniem zauważam jeszcze więcej płócien.

- Mademoiselle, co dla pani przygotować? Herbatę, czekoladę? - pyta Édouard.

- Dla mnie nic, *merci*.

- Na pewno na nic nie da się pani namówić?

Jego głos jest jak aksamitna peleryna. Kusi, bym porzuciła obawy i pozwoliła, by mnie sobą otulił. Sprawia, że brakuje mi tchu, a w żołądku pojawia się dziwne wrażenie jakby zaciskających się, wirujących spiral.

Wtem budzi się we mnie licho, które każe odpowiedzieć prowokacją na prowokację.

- A na co zamierza pan mnie namówić... prócz herbaty i czekolady?

Oniemiał. Natychmiast żałuję swojej wulgarnej reakcji. Wstyd oblepia mnie jak lepkie, upalne powietrze. Odwracam się do pozostałych. Édouard mnie zatrzymuje, kładąc mi rękę na ramieniu. Pozostali - nie widzę ich, ale słyszę, jak gawędzą, nie zdając sobie sprawy, co dzieje się za ich plecami.

- Przychodzi mi do głowy wiele przyjemności, na które chciałbym panią namówić - szepcze zmysłowo i przysuwa się o krok. - To jednak nie jest odpowiednia chwila. Lecz jeśli tylko pani zechce, jestem do dyspozycji.

Przymykam oczy, robi mi się gorąco. Nie jestem w stanie się odsunąć. Zresztą nie chcę, pragnę napawać się jego bliskością. Jego zapach - woń kawy, farby i jeszcze czegoś, nieodłącznie kojarzącego się z Édouardem - przyciąga mnie jak magnes. Pochylam się ku niemu, aż wreszcie czuję na policzku muśnięcie szorstkiej brody.

Natychmiast się odsuwam, zrywam fizyczny kontakt.

Édouard cofa dłoń z mojego ramienia bez słowa i znika. Ja zaś zostaję jeszcze na moment, by odzyskać spokój.



Kiedy dołączam do towarzystwa, Édouard pochyla się nad maszynką spirytusową, na której gotuje wodę na herbatę dla *maman*. Słyszę tubalny głos monsieur Guillemeta. Odpowiada mu wybuch śmiechu pań. Zauważam, że Fanny Claus mi się przygląda. Nie uśmiecha się, nawet nie mrugnie powieką, tylko wwierca się we mnie swoimi rodzynkowymi oczami. Pod jej spojrzeniem tracę rezon. Czyżby wyczuła, co zaszło między mną a Édouardem?

Nonsens. Toż to niemożliwe.

Édouard krząta się, otwierając i zatraskując szafki. Wyjmuje puszkę z herbatą, czajniczek i filiżanki. Nie sprawia wrażenia, jakby mu się spieszyło do malowania.

Cieszę się, bo potrzebuję czasu, by się pozbierać.

Nie mam skłonności do omdleń, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że jego szczerość nie zrobiła na mnie wrażenia. Słowa „jestem do dyspozycji” podziały na mnie jak kamień wrzucony w głęboką wodę. Zmąciły spokój, rozkołysały emocje.

Dzięki Bogu, Fanny Claus wreszcie odwraca ode mnie wzrok i skupia się na rozmowie. Wznoszę oczy ku sufitowi i składam krótką modlitwę dziękczynną.

Pracownia okazuje się większa i - dzięki świetlikom w stropie oraz przeszklonej ścianie - jaśniejsza, niż się spodziewałam. Choć zapytana, jak ją sobie wyobrażałam, nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Rozglądam się. Pod przeszkloną ścianą widzę solidnie wykonaną atrapę balkonu. Zapewne tam będziemy pozowali. Głębiej, w prawym rogu moją uwagę przykuwa parawan. Ile kobiet rozbierało się za jego delikatną tkaniną?

Przenoszę wzrok na ścianę obwieszoną przypadkowo rozmieszczonymi płótnami. Obrazy też stoją na podłodze - po pięć, sześć sztuk; niektóre prawie gotowe, inne dopiero rozpoczęte. Poza tym wszędzie walają się rolki płótna malarskiego, gliniane dzbanki, książki, ubrudzone farbą szmaty. Wśród tego zaś elegancka zastawa stołowa, przewrócony na bok miedziany czajnik i srebrny kandelabr. Ten bałagan pasuje do mężczyzny, który szeptał mi o pokusie i zakazanych rozkoszach; mężczyzny, którego bardzo chcę bliżej poznać.

Próbuję odpędzić nieskromne myśli, odwracając się od ściany ku oknu zasłoniętemu płachtą muślinu przybitego gwoździkami do ramy. Przez szpary, jak przez szczeliny wachlarza, do wnętrza wdzierają się promienie słońca. Przywodzi mi to na myśl kapryśne światło z obrazów Tintoretta, którego kopiował Édouard, gdy pierwszy raz go widziałam.

Przechodzę na drugi koniec pracowni, gdzie w kącie stoi wciśnięty stół roboczy. Drewniany blat pokrywają zwinięte płótna, szkicowniki i niezliczone książki.

Przeciągam palcem po zakurzonej okładce „Kwiatów zła” Baudelaire'a. Tomik ukazał się jakieś dziesięć lat temu i wywołał skandal. Publikacji niektórych wierszy zakazano, gdy sąd uznał je za nieprzyzwoite. Nigdy nie trzymałam tej książki w ręku.

Oglądam się przez ramię i ostrożnie po nią sięgam. Przerzucam kartki, czasem się zatrzymuję, by przeczytać kilka wersów albo zastanowić się, jakie uczucia we mnie budzą.

Czemu uznano te wiersze za nieprzyzwoite? Nie pojmuję. Fragmenty, na które zdążyłam rzucić okiem, nie zawierały skandalicznych treści. Od czasu do czasu zerkam, czy nie patrzy na mnie Fanny Claus albo - co gorsza - *maman*.

Nie. Fanny wciąż stoi plecami do mnie, a *maman* nadal mnie ignoruje. Serce jednak wali mi jak młotem na samą myśl, że przyłapałaby mnie na przeglądaniu książki uznanej za nieprzyzwoitą.

O co ten cały szum?

Nie znalazłam w niej niczego, co by mnie oburzyło. Nie poraził mnie grom, gdy ją otworzyłam. Nie zemdlałam, nie ogarnęło mnie obrzydzenie, nie poczułam się w żaden sposób dotknięta, nie poniosłam uszczerbku na ciele ni duszy.

Skoro jednak została uznana za niemoralną, jak ten brak reakcji świadczy o mnie?

Jak o mnie świadczy moja fascynacja pracami Édouarda? Co mówi o mojej delikatności? Rozumiem, że niektórzy mogli poczuć się zgorszeni; malował nagie kobiety, choć ta nagość wydawała im się nieuzasadniona. Nic dziwnego, że osoby o większej wrażliwości mogły poczuć się urażone.

Ja jednak podziwiam jego odwagę w dążeniu do nowoczesności. Nie uląkł się skostniałych akademików.

Jak to wszystko o mnie świadczy?

Skoro nie mogę się dopatrzeć niestosowności w czymś, co sąd ogłosił za nieprzyzwoite, nasuwa się podejrzenie, że to ze mną coś jest nie w porządku.

Odkładam na miejsce „Kwiaty zła” i sięgam po szkicownik. Przerzucam strony. Szkice martwych natur, niedokończony profil kobiety o delikatnych rysach. Wtem trafiam na akt i nieruchomieję. Naga kobieta leżąca na łóżku.

Olimpia.

Brakuje mi tchu.

Wstępne studium? Nawet ten nakreślony kilkoma kreskami szkic emanuje zmysłowością. Z zachwytem chłonę wzrokiem rysunek. Dopiero po chwili dostrzegam, że różni się od wersji ostatecznej. Kobieta jest w nieco innej pozycji.

Na obrazie Olimpia leży z wyprostowanymi nogami, dłonią zasłaniając łono. Na szkicu kobieta prawe kolano ma bezwstydnie ugięte, a lewa ręka spoczywa na tułowiu.

Przekręcam szkicownik, żeby przyjrzeć się rysunkowi pod innym kątem. Wtem przypominam sobie scenę sprzed kilku dni, po moim starciu z *maman*. Kiedy wróciłyśmy do pracowni, Edma - jak to ona - obróciła wszystko w żart. Już taka jest. Ja na przeciwności losu reaguję rozpaczą i roztrząsaniem swoich krzywd, ona zaś - śmiechem i dworowaniem.

Tak było i tym razem. Stałam nadasana przy sztalugach, próbując pracować i zapomnieć o gniewie *maman*. Tymczasem Edma zaczęła pleść od rzeczy, papugując głosy mężczyzn obecnych na wieczorku u madame Manet. Chciała mnie rozbawić, ale odnosiła skutek przeciwny do zamierzonego: ogarniało mnie coraz większe rozdrażnienie, bo przez nią nie mogłam się skupić.

Pękając ze śmiechu, z trudem przytrzymała pod nosem pędzelek, zapewne mający udawać wąsik, i naśladowała rozmyty baryton wstawionego Stevensa.

- Poproś ją - bełkotała. - Czy ja mam to za ciebie zrobić, ty biedny, żaloszny durniu?

Nie wiem, co tak mnie rozbroiło - czy jej próba naśladowania niskiego męskiego głosu, czy to, jak wyglądała, górną wargą usiłując przytrzymać pędzelek pod nosem - grunt że przyłączyłam się do jej błazenady.

- Żaloszny? Zaraz się przekonamy, kto tu jest żaloszny!

Wyrwałam jej pędzel i przyjąłam pozycję szermierza gotowego do walki.

Edma zaczęła bić brawo.

- *Mesdames et messieurs*, przedstawiam państwu nową Olimpię!

Skłoniłam się teatralnie, zamaszycie wymachując pędzelkiem jak kapeluszem.

Edma jeszcze gorącej zaczęła klaskać.

- Brawo! - wołała.

Wspomnienie wywołało na mojej twarzy uśmiech.

- Podoba się pani?

Za moimi plecami rozlega się głęboki głos Édouarda. Zamykam szkicownik i odkładam go na miejsce.

Milczenie między nami przypomina jedwabną nić, która ciągnie mnie ku niemu. Słyszę dudnienie krwi w żyłach. A może to jego oddech na mojej szyi? Albo dłoń zanurzona w moich włosach?

A przecież kiedy się obracam, stoi w przyzwoitej odległości, jak nakazuje dobry obyczaj.

- Nie obraził się pan, że zajrzałam? Chciałam tylko...

Na jego twarzy maluje się taka namiętność, nieskrywane pragnienie i żądza, że urywam w pół słowa. Brakuje mi tchu.

- Ależ skąd. Bardzo proszę, niech pani ogląda do woli. - Sięga też po tomik Baudelaire'a. - Chce pani pożyczyć?

Nie odpowiadam, bo w tej samej chwili z trzaskiem otwierają się drzwi wejściowe i pojawia się madame Manet, dźwigając duży wiklinowy kosz.

- *Bonjour* wszystkim! - woła.

Édouard podaje mi książkę. Przyjmuję ją, bo co właściwie mam zrobić? Tymczasem on biegnie, by wyjąć jej z rąk kosz.

- *Maman*, co za niespodzianka! Nie wiedziałem, że już dziś wracasz!

Odkładam Baudelaire'a. Nie mogę go zabrać do domu. Wolę nie wyobrażać sobie sceny, jaką *maman* urządziłaby mi w drodze powrotnej. Spodziejając się, że za madame Manet do pracowni wkroczy Suzanne, odsuwam się. Popełniłam duży nietakt, szperając w rzeczach Édouarda.

- Pomyślałam, że przyniosę wam przekąskę. - Madame Manet wita *maman*. - Wystarczy, by nakarmić całą armię. Dla nikogo nie zabraknie.

Édouard zamyka drzwi. Suzanne się nie pojawi.

Dlaczego nie towarzyszy teściowej? Dlaczego zrzuciła na starszą kobietę ciężar długiej podróży z dużym bagażem?

Édouard odstawia koszyk i całuje matkę w policzek.

- Co za niespodzianka! - powtarza. - Jak miło z twojej strony, że tak się fatygowałaś.

Pani Manet z promiennym uśmiechem podchodzi do *maman*.

- Madame Morisot, jakże się cieszę, że dziś tu panią widzę.

Krótkie zawahanie. Zastanawiam się, czy wróci do niefortunnego incydentu na przyjęciu, ale nie robi tego. Dobrze, bo nie jestem pewna, jak mama by zareagowała. Tymczasem ona znów zwraca się do syna.

- Zacząłeś już nowy obraz?

- Jeszcze nie, ale właśnie miałem zaproponować, byśmy wzięli się do pracy. - Spogląda na mnie. - Możemy?

Stawia krzesło na atrapie balkonu i wskazuje, bym zajęła miejsce. Kiedy siadam, podnosi moje lewe ramię i układa je na barierce. Pod jego dotykiem moje ciało budzi się do życia. A przecież nie ma w tym zmysłowego podtekstu. Chodzi tylko o ustawienie modelki.

Cofa się i patrzy uważnie.

- Mademoiselle, zechce pani zebrać fałdy spódnicy tak, by odsłonić nogi krzesła? Mademoiselle Claus, byłaby pani tak dobra i pomogła udrapować tren?

Fanny Claus wykonuje polecenie, ale by osiągnąć zamierzony efekt, muszę wstać i przestawić krzesło, żeby oparcie nie zasłaniało linii sukni.

Kiedy znów siadam, Édouard bacznie mi się przygląda spod ściągniętych brwi. Zastanawiam się, co budzi jego niezadowolenie. Czy fakt, że obie jesteśmy ubrane na białe?

On jednak mówi tylko:

- Praca nad płótnem potrwa wiele dni. Czy zdają sobie panie sprawę, że będą musiały przychodzić zawsze w tych samych sukniach?

Potakuję, ale niepokoi mnie co innego.

- A jeśli się pobrudzą, monsieur?

Skubie się po brodzie i zwraca się do *maman* i madame Chevalier z pytaniem:

- Czy panienki mogłyby jutro ubrać się inaczej, a przynieść ze sobą te sukienki? Zostawiłyby je tutaj i co dzień przebierały się do pozowania. Mademoiselle Morisot ma rację. Gdyby nosiły je codziennie, z pewnością by się pobrudziły.

Mimowolnie biegnę wzrokiem ku parawanowi. Brakuje mi tchu na samą myśl, że miałabym się za nim przebierać. Spoglądam na mamę, by sprawdzić jej reakcję.

Madame Chevalier zerka na madame Manet, na której propozycja syna najwyraźniej nie zrobiła wrażenia. *Maman* przymruża oczy i patrzy na mnie z miną „a nie mówiłam!”.

- Jeśli pani to nie przeszkadza, madame Manet - odpowiada z rezerwą - to mnie również.

Ku memu zaskoczeniu madame Chevalier też się zgadza i sprawa zostaje zamknięta. Fanny Claus i ja staniemy się swoimi garderobianymi, bo żadna nie poradziłaby sobie z zapięciem guzików na plecach.

- Proszę przesunąć się w prawo, ale głowę przekręcić nieco w lewo.

Robię dokładnie tak, jak każe.

- Nie, za bardzo się pani odwróciła. Bardziej do środka. Jeszcze odrobinę. Tak, teraz jest dobrze. Znakomicie. Proszę zostać w tej pozycji.

Podchodzi do stołu i wraca z naręczem dodatków. Dla mnie przyniósł czerwony wachlarz i wisiołek. Podaje mi wachlarz, potem staje za mną i zawiązuje mi na szyi czarną aksamitkę.

Kątem oka zauważam, że na aksamitce wisi medalion w kształcie serca. Na karku czuję dłoń Édouarda. Zastanawiam się, czy wisiołek należy do Suzanne. A może to tylko jeden z wielu rekwizytów, które każdy malarz trzyma w atelier właśnie na takie sytuacje.

Skończył zawiązywać tasiemkę i wraca przed balkon.

- Proszę wziąć wachlarz do lewej dłoni i ułożyć na prawym przedramieniu - instruuje. - Tak, doskonale. Znakomicie. Proszę zostać w tej pozycji, a ja ustawię pozostałych.

Zajmuje mu to sporo czasu. Każe Fanny Claus stanąć przy mnie, a monsieur Guillemeta ustawia między nami, nieco w głębi.

Głowę mam odwróconą, więc nie widzę, jakie rekwizyty dobrał, ale domyślam się z jego instrukcji.

- Mademoiselle Claus, proszę ułożyć parasolkę w poprzek, opierając ją na lewym łokciu. O tak.

- Pokazuje. - I ułożyć dłonie tak, jakby wkładała pani rękawiczki.

Dyspozycje dla monsieur Guillemeta są proste.

- Proszę stanąć za paniami, *s'il vous plaît*, i trzymać ręce w ten sposób.

Édouard zgina ramiona w łokciach. Jedną rękę ma uniesioną nieco wyżej, jakby został zatrzymany w pół gestu.

Już się wydaje, że scena jest gotowa i można zaczynać pracę, gdy Manet marszczy czoło i podchodzi do stołu. Długo szpera w rupieciach, wreszcie wyciąga niewiarygodnie paskudny kapelusik -

właściwie miniaturowy czepek ozdobiony brzydkimi pomponami imitującymi kwiat. Przez ułamek sekundy obawiam się, że przypnie mi go do włosów. Niestety, ta przyjemność spotyka Fanny Claus. Słyszę, jak Édouard szeleści czepek, ale boję się ruszyć, by nie zmienić pozy, jaką dla mnie wybrał.

Uśmiecham się w duchu, bo domyślam się, jak bardzo ten niemodny czepek będzie podkreślał jej nieciekawą, toporną rysy.

*Maman*, madame Chevalier i madame Manet gawędzą w głębi atelier. Ich rozmowa nie rozpraszała Édouarda, dopóki zajmował się aranżacją sceny. Kiedy jednak przeszedł do szkicowania węglem na płótnie, wyraźnie zaczęła mu przeszkadzać i coraz częściej oglądał się na nie przez ramię.

- Nie czuje się pani zmęczona, mademoiselle Berthe?

Jego pytanie wyrywa mnie z zadumy i zawstydza. Choć myślami bujałam w obłokach, wiem doskonale, że nie zagadnął pozostałych dwojga.

Poprawiam się i prostuję. Owszem, męczy mnie utrzymywanie tej samej pozycji, ale nie będę się skarżyła. Kiedy zgadzałam się na pozowanie, wiedziałam, na co się decyduję.

- Nie, ani trochę, *merci*.

Muszę jednak przyznać, że zapomniałam, jak bardzo wyczerpuje wielogodzinne siedzenie w jednej pozycji. Słyszę, że monsieur Guillemet zaczyna się wiercić.

- Antonin, proszę, nie ruszaj się. Staram się uchwycić twoją pozę.

- Drogi przyjacielu, sterczę tak już od kilku godzin jęczy Guillemet. - Panie z pewnością mi przyklasną, gdy powiem, że przydałby nam się odpoczynek.

- Jeszcze chwilę, cierpliwości - mamrocze Édouard, ale ta chwila ciągnie się jak rzeka, która bez końca wije się meandrami.

Wbijam wzrok w wachlarz, aż oczy mi łzawią. Ramię mi cierpnie. Marzę, by się poruszyć, ale po reprimendzie, jakiej Édouard udzielił monsieur Guillemetowi, boję się nawet drgnąć. Ostrożnie - tak by nie zmienić pozycji - zerkam na *maman*. Staram się pochwycić jej spojrzenie, by wiedziała, że martwię się o nią. Z pewnością po tylu godzinach siedzenia bolą ją plecy.

- Mademoiselle... - Édouard odrywa wzrok od płótna. - Mademoiselle Berthe, wyrażając zgodę na pozowanie, musiała pani zrezygnować z własnej pracy. W pełni doceniam pani wielkoduszność. Czy przygotowuje coś pani na tegoroczny Salon?

- Jest załedwie lipiec. To za wcześnie na decyzję.

- *Au contraire, mademoiselle*. Nigdy nie jest za wcześnie, by wyznaczyć sobie cel.

Czuję się zażenowana tymi względami. Do tej pory się nie odzywał. Jego nagłe zainteresowanie - sama rozmowa - musi wzbudzić podejrzenia.

Cieszę się, że ustawił mnie tak, bym siedziała odwrócona od Fanny Claus. Dzięki temu nie muszę na nią patrzeć, a raczej nie muszę się powstrzymywać przed patrzeniem na nią.

- Może to dobrze, że nie wyznaczyłam sobie celu. Bo gdybym go miała, nie siedziałabym tu spokojnie. Sercem i umysłem wyrywałabym się do atelier i pracy nad swoim płótnem.

Potakuje.

- W takim razie doskonale się składa. Wznoszę toast za brak planów, co pozwala mi bez skrupowania panią monopolizować.

Śmieje się ukontentowany. Odpowiadam uśmiechem. Nie wiem, jak reaguje pozostałych dwoje, bo za moimi plecami panuje cisza.

Uświadamiam sobie, że - jeśli nie liczyć zbyt głośnych pogawędek - madame Manet nie przerywa synowi pracy, choć musi już zbliżać się pora drugiego śniadania. Byłam pewna, że Édouard wkrótce zarządzi przerwę, ale szkicowanie pochłania go całkowicie. Czasem tylko rozdrażniony zerka przez ramię, gdy panie za głośno rozmawiają. Najwyraźniej świetnie się bawią. Cieszę się, zwłaszcza że *maman* nie ma już miny cierpiętnicy, która siedzi tu tylko ze względu na mnie. Przeciwnie, dobrze się czuje w towarzystwie nowych znajomych.

- Wystarczy na dziś. - Édouard odkłada węgiel i odsuwa się, by popatrzeć na szkic. - Spotkamy się jutro na dłuższą sesję.

Nie jestem pewna, czy chcę zobaczyć, jak mnie przedstawił. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Może dlatego, że rzadko widzimy siebie tak, jak inni nas postrzegają. Ich odbiór zaś to niezwykle indywidualna i intymna kwestia. Po raz pierwszy zdaję sobie z tego sprawę i - choć to zabrzmiało niemądrze - chyba nie chcę jeszcze wiedzieć, jak postrzega mnie Édouard. Później i tak się przekonam.

Fanny Claus i monsieur Guillemet rozprostowują nogi. Starsze panie tłoczą się przy sztalugach. *Maman* przechyla głowę i zerka przez lorgnon. Jej zaciśnięte usta i ściągnięte brwi świadczą, że nie wie, jak ocenić pracę Édouarda.

- Cóż, jak ze wszystkim, trzeba uzbroić się w cierpliwość. - Opuszcza lorgnon i spogląda na madame Manet. - Pani syn z pewnością wie, co robi.

Brzmi to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie, ale madame Manet nie wydaje się dotknięta. Uśmiecha się i kiwa głową.

- Proszę panie na poczęstunek. Jedzenia wystarczy dla wszystkich.

- Bardzo dziękuję, ale nie możemy zostać - odpowiada *maman*. - Spieszmy się do domu.

Nic mi nie wiadomo, by wzywały nas jakieś pilne obowiązki, ale czuję ulgę, że *maman* nie chce zostać.

Édouard rozpakowuje koszyk na najmniej zagraconym końcu stołu i wyklada na blat prawdziwe delicje.

- Co takiego panie od nas odrywa?

- Dziś po południu przyjeżdża mój syn, Tiburce. - *Maman* spogląda na mnie z uśmiechem. - Poza tym spodziewamy się gościa. Kawalera. Berthe na pewno będzie chciała się przygotować do jego wizyty.

TLR



# Rozdział 7

*...W moim życiu śniłam sny, które zostawały we mnie,  
zmieniały moje myślenie; niczym wino wlane do wody zmieniały barwy mego umysłu.*

Emily Brontë

Zmysł obserwacji to potężne narzędzie. Zwykle mnie nie zawodzi. Dziś po powrocie z atelier Édouarda przekonuję się o tym po raz kolejny, gdy Edma wyciąga mnie na przechadzkę i jedziemy powozem na Quai du Louvre. Początkowo sądzę, że zabrała mnie, bo wyczuła napięcie między mną i *maman*, a wie, jak kojąco działa na mnie Sekwana. Wkrótce jednak - gdy schodzimy z ulicy na pochyłe nabrzeże, oddalając się od czujnych uszu stangreta - widzę, że siostra aż kipieje z podniecenia.

- Léon jest synem Suzanne - wybucha wreszcie. - Nie mogłam się doczekać, żeby ci powiedzieć.

Mrugam zaskoczona.

- Nie, nieprawda. Léon jest jej bratem. Madame Manet...

Edma potrząsa głową.

- Czekaj, to dopiero początek. Dziś, kiedy byliście z mamą u Maneta, przyszedł Fantin z siostrą. Gawędziliśmy o tym i owym, aż zeszło na Léona i Suzanne. Wtedy mi powiedział. To oznacza tylko jedno: Manet jest ojcem chłopca.

- Edmo, toż to nonsens. Chłopiec ma kilkanaście lat, a Édouard ożenił się z Suzanne parę lat temu. Gdyby żenił się z nią ze względu na dziecko, nie czekałby chyba tak długo.

Edma wzrusza ramionami.

- Fantin twierdził, że ślub wszystkich zaskoczył. Édouard ukrywał ten związek nawet przed najbliższymi przyjaciółmi. Pewnego dnia wyjechał, a wkrótce potem wrócił z żoną. Nawet Fantin nie rozumie, jak to się stało. Sama widzisz, że to jedyne wytłumaczenie. Léon musi być ich synem. Édouard ożenił się z Suzanne z poczucia obowiązku, nie z miłości.

Syn Suzanne i Édouarda? Nie widzę w tym logiki, ale Edma najwyraźniej już wszystko sobie ułożyła i wyjaśniła.

- Przyznaję, Edmo, to byłby prawdziwy skandal. Ale nawet jeśli Léon jest ich synem, w co nie wierzę; nawet jeśli Édouard ożenił się z nią wiele lat po fakcie, kierowany jedynie poczuciem obowiązku, fakt pozostaje faktem: są małżeństwem, a zatem Édouard jest dla mnie nieosiągalny.

Rewelacje Edmy nie poprawiają mi nastroju. Przeciwnie, tylko psują mi humor. Postanawiam zmienić temat.

- Po tych opowieściach *maman* o kawalerach składających nam wizyty ktoś mógłby pomyśleć, że w rodzinie zanoszą się na ślub.

Edma zalewa się uroczym, delikatnym rumieńcem. Nie odpowiada, ale jej milczenie i marzycki uśmiech sprawiają, że zatrzymuję się w pół kroku.

- Czyżbyś chciała mi o czymś powiedzieć? - pytam. Wzrusza ramionami. Jak gdyby nigdy nic.

- Czy Adolphe...?

- O nie, nie, nie. Jeszcze mnie nie poprosił.

A jednak po jej uśmiechu widzę, że coś ukrywa. Nie pamiętam, kiedy ostatnio szczerze ze sobą rozmawialiśmy. Brakuje mi tego. Czuję, że nasza więź się rozluźniła. Idziemy w milczeniu, ale jestem spokojna, że jeśli Edma chce mi jeszcze coś powiedzieć, zrobi to. Nie zachowuje wszystkiego dla siebie jak ja. U niej co w sercu, to na języku.

- *Maman* dała do zrozumienia, że ów tajemniczy kawaler przychodzi do ciebie? - przerywa milczenie.

Potakuję.

- A ty nie zaprzeczyłaś?

- Skądże. I tak już była na mnie wściekła. Gdybym poprawiła ją przy ludziach, jej furia zatrząsłaby ziemią i sięgnęła nieba. Nie patrz na mnie jak na odrażającego tchórza.

- Nie zastanawiałaś się, dlaczego to zrobiła? Widzę tylko jeden powód: chciała zdusić w zarodku wszelkie nieprzyzwoite myśli, jakie mogły przemknąć Édouardowi przez głowę.

Znów pojawia się to dziwne wrażenie spiral wirujących w żołądku - jak wcześniej, kiedy Édouard deklarował, że jest do mojej dyspozycji.

- Dobrze powiedziałaś „przemknąć”. Edmo. Nawet jeśli o mnie myślał, to jedynie przelotnie, przez krótką chwilę.

- Oczarował cię.

Parskam śmiechem, choć na policzek wypelza mi krwisty rumieniec. Otwieram wachlarz, by się ochłodzić.

- Przypuszczam, że już niedługo Adolphe poprosi papę o twoją rękę. Pewnie wczesną jesienią. A może nawet pod koniec lata?

- Nie zmieniaj tematu, Berthe. Nie rozmawiamy o Adolphe. Mówimy o monsieur Manecie. Widziałam, jak na ciebie patrzył wtedy, podczas kolacji. Nie ulega wątpliwości, że ty też go oczarowałaś. Wierz mi, ma względem ciebie pewne zamiary. Za wcześnie jednak, by ocenić, czy rzeczywiście są nieprzyzwoite.

Tętno bije mi jak szalone. Szybciej poruszam wachlarzem i głęboko oddycham, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Widzisz, puls cię zdradza. - Puszczam moją rękę. Odwracam głowę, by nie widziała mojego wyrazu twarzy, i przyspieszam kroku.

- Proszę, nie ukrywaj swoich uczuć. - Dotyka mojego ramienia. - Zwłaszcza przede mną. Wierz mi, nie będę cię oceniała. Gdyby nie Adolphe, ja też uległabym nieodpartemu urokowi Maneta. W ten sposób zresztą skazałabym się tylko na cierpienia, bo nawet ślepy by zobaczył, że dla niego liczy się tylko jedna kobieta. A jesteś nią ty.

Głośno wciągam powietrze - raczej z ulgi niż ze zgrozy - i patrzę na siostrę przez krótką woalkę.

- Podziel się ze mną tym, co czujesz - prosi. - Opowiedz mi wszystko. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna tak cię nie zuroczył.

Nie wiem, co powiedzieć, zwłaszcza że nie potrafię się uporać z kłębiącymi się we mnie uczuciami. Edma czeka cierpliwie. Podejrzewam, że byłaby gotowa czekać nawet cały dzień.

- Nigdy przedtem nie spotkałam mężczyzny o tak wyrazistej twarzy... Sprawia wrażenie uroczego i bardzo go lubię.

Przez chwilę idziemy w milczeniu.

- Myślę - wyrzucam z siebie wreszcie - że gdyby nie był żonaty, nazwałabym go atrakcyjnym. Niestety, Suzanne zagarnęła go dla siebie. Koniec.

- Od kiedy to takie przyziemne względy stają na przeszkodzie namiętności? Powiedz szczerze, Berthe, widziałas kiedyś gorzej dobraną parę? Nic dziwnego, że biedak na twój widok wprost drży z desperacji i, nie boję się tego słowa, pragnienia.

Jak powstrzymać ciepło, które rozlewa mi się po całym ciele, topi lód wokół serca?

- Nie ma szans, Edmo. A jeśli inni w podobny sposób interpretują jego zachowanie, nieodwracalnie stracę reputację. To zaś może nieprzyjemnie odbić się także na tobie.

- Nie martw się o mnie. Będzie, co ma być. Dla nas obu.

Jakże jej zazdrozczę tej pewności siebie. Ja czuję się, jakbym stała na szczycie dachu, przymierzając się do skoku. Przestałam być panią swoich uczuć - tak samo jak przestałabym być panią swego losu, gdybym poślizgnęła się na dachówce i runęła w dół.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - draży Edma.

- Doskonale wiesz, że nie mam wyboru.

- *Au contraire*, droga siostrzo. Wszystko zależy wyłącznie od ciebie. Aż ci tego zazdrozczę.

Staję jak wryta. Patrzę na nią zdumiona.

- Nie rozumiem. Parska śmiechem.

- Doskonale rozumiesz. Kto jak kto, ale ty nie powinnaś udawać szoku. Nie do twarzy ci z tym zdziwieniem. Sama wielokrotnie powtarzałaś, że to niesprawiedliwe, by mężczyźni mogli do woli korzystać z przyjemności życia, a cały ciężar odpowiedzialności spadał na kobiety. Skoro żonatemu męż-

czyżnie wolno wziąć kochankę, co złego w tym, że panna znajdzie sobie pana? Nigdy nie przyszło ci do głowy, by znaleźć sobie kochanka?

Idziemy dalej. Jej słowa przebijają się przez turkot przejeżdżających obok powozów. Rozglądam się dyskretnie. Mam nadzieję, że nikt tego nie usłyszał.

- Edmo, ciszej! Doskonale wiesz, że nie mogę postąpić wedle twojej rady.

- Jak to? Czemu? Boisz się nawet powiedzieć to słowo? Kochanek. Śmiało, powiedz to.

- Ciii!...

Przyspieszam kroku, ale siostra uparcie trzyma moje tempo.

- Dajże spokój, Berthe. Nigdy nie odczuwasz pewnych... pragnień?

- Naturalnie, że mam pragnienia. Nie bądź niemądra.

- Ale ja mówię o pragnieniach, które może zaspokoić jedynie dotyk mężczyzny. Wiesz, co mam na myśli... Masz zbyt płomienną duszę, by udawać całkowicie pozbawioną emocji. Byłoby zbrodnią, gdybyś nigdy nie odkryła namiętności tylko dlatego, że uważasz to za nieprzyzwoite. Coś takiego, moja droga, byłoby wegetacją, nie życiem.

Nie przeczę, w jej słowach można znaleźć okruchy prawdy, ale nie zapominajmy, że znajduje się w zupełnie innej sytuacji. Jest zakochana, zapewne wkrótce wyjdzie za mąż. Z jej perspektywy moja decyzja o wzięciu kochanka byłaby romantycznym, grzesznie podniecającym porywem serca.

Nie odpowiadam, tylko patrzę przed siebie, modląc się, by twarz nie zdradzała tego, co dzieje się w moim sercu. Równocześnie zaś zdaję sobie sprawę, że sam brak odpowiedzi najlepiej to zdradza.

- Berthe, nie wstydź się swojej siły. Podziwiam cię, że nie rezygnujesz ze sztuki, by złożyć daninę konwenansom. Trudną drogę obrałaś. Gdybym była silniejsza, też chętnie poświęciłabym życie sztuce i...

- I czemu jeszcze? Szukaniu kochanków? Co komu po mężu?

Potakuje. Wybuchamy śmiechem.

Jestem szczęśliwa, a zarazem przerażona; pełna entuzjazmu, a zarazem spłoszona. Moje myśli biegną z ciekawością - a zaraz potem trwożliwie uciekają - ku nowym perspektywom, jakie się przede mną otworzyły. Od dawna nie rozsadzała mnie taka energia i wola życia. Od dnia, gdy zobaczyłam Édouarda po raz pierwszy.

Edma wsuwa ramię pod mój łokieć i delikatnie mnie ściska. W milczeniu spacerujemy nad Sekwaną.

Kochanek... Hmm...

Słońce świeci nad Paryżem. Jego promienie odbijają się w szerokich bulwarach i nowych fasadach, zupełnie jakby miasto zrzuciło szary kokon i odziało się w nowy barwny płaszcz. Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie widzę coś lśniącego nowością. A przecież wiem, że od mojej ostatniej przechadzki nic się nie zmieniło. Ten sam bruk, te same drzewa pokryte ciemnozielonymi liśćmi i pooraną korą, ten

sam Pont des Arts łączący prawobrzeżny Paryż z lewobrzeżnym. Tyle że dopiero dziś naprawdę patrzę.

Przechylałam głowę i chłonę wzrokiem wysokie kamienice, niemal wyrastające z wody. Wiatr muska mi twarz, woda pluszcze o barki przycumowane do brzegu, jakby wszystko - i to, co naturalne, i to, co stworzone przez człowieka - postanowiło mnie powitać w tym nowym cudownym świecie. Z promiennym uśmiechem głęboko nabieram powietrza. Czuję słodką woń perfum Edmy i cierpki zapach nabrzeża.

Po raz pierwszy od dawna oddycham z łatwością.

- Jutro piątek, dzień, gdy *maman* podejmuje gości - odzywa się Edma. - Pójdę z tobą do Édouarda, żeby mogła zostać w domu. Może to trochę poprawi jej nastrój. A kiedy ty nie będziesz czuła na sobie jej ciężkiego spojrzenia, może się odprężysz. Szkoda by było, gdyby miał cię namalować z taką miną. - Wykrzywia się. Parskamy śmiechem. - Poza tym nie będziemy psuć Tibruce'owi powrotu do domu waszymi swarami - ciągnie. - Jeśli jutro pójdę z tobą, ty i *maman* nie będziecie miały powodu do kłótni. Zdać się na mnie. Wszystko załatwię.

\*

W progu wita nas spłoszona Amélie.

- Mam bardzo ważną wiadomość dla mademoiselle Berthe.

- O co chodzi? - pytam.

- *Pardon-moi, mademoiselle.* - Ogląda się przez ramię, upewniając się, czy jesteśmy same. - Możemy przejść do pracowni? Tam nikt nam nie przeszkodzi.

Edma patrzy na mnie znacząco i we trzy idziemy przez ogród do pracowni.

- Wejdz - zapraszam.

Amélie otwiera drzwi i błyskawicznie je za nami zamyka. Z kieszeni wyjmuję książeczkę w skórzanej oprawie.

- Miała pani gościa, mademoiselle.

- Kogo? - pyta Edma. - Adolphe ma się zjawić dopiero za godzinę. Nie mów, że się z nim minęłam.

Pokojówka kręci głową.

- Monsieur Manet zostawił to dla panienki.

Na sam dźwięk jego nazwiska krew tężeje mi w żyłach. A kiedy widzę tytuł książki - zamienia się w lód. To „Kwiaty zła”, które przeglądałam w jego atelier.

- Wciąż tu jest? - dopuszczam do głosu niemądrą nadzieję.

- Nie mógł czekać. Tylko dał mi książkę i polecił przekazać panience do rąk własnych. Prosił też, bym powiedziała, że wsunął do środka liścik.

Otwieram tomik i widzę kremowy kartonik zapieczętowany czerwonym woskiem z inicjałem M.

- *Maman* wie o jego wizycie?

- Nie. Proszę wybaczyć, że nie poinformowałam madame, ale...

- Nie musisz przeproszać, Amélie. Postąpiłaś słusznie.

Na twarzy dziewczyny pojawia się ulga.

- Jeśli nie jestem panią potrzebna, wrócę do swoich obowiązków w kuchni.

Dyga.

- *Merci*, Amélie.

Otwieram bilecik i odczytuję na głos.

Szanowna Pani, wyszła Pani w takim pośpiechu, że zapomniała Pani o książce. Pozwalam sobie zatem ją Pani dostarczyć. Może ją Pani zatrzymać, jak długo zechce.

Z poważaniem

E. Manet

- Po cóż by ją przynosił, skoro i tak jutro spotkacie się w pracowni?

Po minie Edmy widzę, że nie jest to pytanie. Raczej kolejny argument potwierdzający jej racje. Odpowiadam wzruszeniem ramion. Edma się śmieje.

- Chyba że chciał wpaść na twojego „gościa”. Uparty. Najwyraźniej typ mężczyzny, który wie, czego chce. Szkoda, że ma złe wycucie czasu. - Cmoka, kręcąc głową. Podchodzi do okna. - O, biedny, nieszczęśliwy Édouard, jeszcze w kolebce naznaczony złym wycuciem czasu, przyczyną upadku niejednego wielkiego kochanka.

Kochanek. Na sam dźwięk tego słowa w żołądku zaczyna mi kipieć. Obronnym gestem przykładam rękę do brzucha.

- Edmo, przestańże już! Jeśli *maman* usłyszy, wpadnie w szal.

Moja siostra bawi się kompozycją żółtych złocieni na parapecie.

- Musisz przyznać, że upór to wyjątkowo cenna zaleta.

Nie przeczę, ale to nie znaczy, że muszę głośno to potwierdzać. I tak za dużo wyznań dziś ze mnie wyciągnęła. Milczę.

- Co to za książka? - pyta moja siostra.

Kiedy nie odpowiadam, podchodzi i wyrywa mi ją z rąk. Zachłystuje się, zszokowana. Szeroko otwiera oczy.

- Jest zakazana, prawda? Jakim cudem ją zdobył?

Szybko przerzuca strony, zatrzymując się od czasu do czasu, by przeczytać jakiś fragment.

*Nocy, jakbyś ty była bez gwiazd twoich cudna -  
Owych gwiazd, których jasność nazbyt znana - nudna!  
Bowiem ja szukam próżni, pustki - nagiej, ciemnej!...  
Ale nawet ciemności - to płótna rozpięte,  
Na których oczom wstają, zdało się pośnięte  
Istnienia ongi bliskie wśród ohydy ziemnej!\**

\* Przeł. Bohdan Wydzga.

- Och, Edmo, i co z tego, że książka trafiła na indeks? Jest nieszkodliwa. Zwykły tomik poezji. Jakiś zadufany świętoszek nie będzie dbał o zbawienie mojej duszy, dyktując mi, co jest dobre, a co złe.

- Powinnaś mu ją oddać. Odnieś jutro i powiedz, że ta lektura cię nie interesuje.

- Nie chcę jej oddawać. Edma unosi brew.

- A jeszcze przed chwilą tak się obawiałaś, by nie wywołać gniewu *maman*. Jeśli zobaczy tę książkę, niewątpliwie wpadnie we wściekłość.

- W takim razie nie może jej zobaczyć. I nie zobaczy, jeśli ktoś nie wygada.

Oburzona Edma oddaje mi tomik.

- Ja nigdy bym jej nie powiedziała. Zarzucasz mi, że nie potrafię dochować tajemnicy?

- Ależ skąd, za nic bym w ciebie nie zwątpiła.

Siostra jest moją jedyną ostoją w świecie nieustannej gry światłocienia, którego niewolnicą się stałam.

Tak, Edmie mogę ufać. Czy jednak mogę ufać sobie? To już zupełnie inna sprawa.

\*

Podśluchuję pod drzwiami bawialni, jak Edma porusza z *maman* kwestię mojego jutrzejszego wyjścia do Édouarda.

- Jeśli ja z nią pójdę, będziesz mogła zostać w domu z Tiburce'em i podejmować gości.

Tak jak przypuszczałam, *maman* nie jest zachwycona propozycją.

- Spodziewałam się, że ty również chcesz spędzić trochę czasu z bratem.

- A kto będzie towarzyszył Berthe?

- Ona ma dwadzieścia siedem lat. Nie jest już dzieckiem. Najwyraźniej uznała, że wie, co robi, więc nie pozostaje mi nic innego, jak pogodzić się z losem. Dla mnie może nawet iść sama.

- *Maman*, chyba tak nie myślisz!

Nie, tak nie myśli. Zmierza do tego, że ja także powinnam zostać w domu.

- Edmo, jestem u kresu sił. Doprawdy, sama już nie wiem, co robić z tą upartą dziewczyną. Rozmawiałam z waszym ojcem, ale on twierdzi, że powinnam zostawić ją w spokoju. Najwyraźniej malarstwo jest dla niej najważniejsze. Do tego stopnia, że zaczynam się obawiać o stan jej umysłu. Wasz ojciec oczywiście uważa, że przesadzam. Jeśli tak nadzwyczajnie zależy ci, by towarzyszyć siostrze, rób, co chcesz.

W ten sposób *maman* umywa ręce od sytuacji i umacnia mur kamiennego milczenia, jakim się ode mnie odgradziła. Potem jeszcze narzeka, jakich kłopotów przysporzy jej nasza nieobecność, bo będzie mogła liczyć tylko na Amélie, gdy pojawią się jej przyjaciółki. Zwykle Edma i ja odpowiadamy za częstowanie gości herbatą i ciastem, podczas gdy ona zabawia ich rozmową. Nie musi się natomiast obawiać, że przyjaciółki odkryją, gdzie się udałyśmy, ponieważ obracają się w innych kręgach; nie mają nic wspólnego z awangardą, z którą są związani Manetowie.

Madame Manet mama wyraźnie polubiła. Odmawia towarzyszenia mi tylko po to, by mnie ukarać. Uświadamiam sobie, że kiedy zegnała się ze wszystkimi, doskonale wiedziała, że następnego dnia się nie zjawi. Zrobiła to specjalnie, by zmusić mnie do wyboru.

*Maman* albo sztuka.

Nie dam się wystawić na próbę.

Kiedy później Edma przebiera się przed wizytą Adolphe'a, jak zauroczona czytam książkę Édouarda. Toż to kwintesencja nowoczesności! Z zachwytem czytam wiersz zatytułowany „Balkon”.

*Matko upojnych wspomnień, kochanek królowo, -  
Skarbnico wszech radości, wzorze szczytny wzorów,  
Pamiętać będziesz pieśczęt piękność wiecznie nową,  
Cichą słodycz ogniska, czar złoty wieczorów -  
Matko upojnych wspomnień, kochanek królowo!\**

\* Przeł. Bohdan Wydzga.

Prostuję się jak struna, nie wierząc własnym oczom. Wiersz zatytułowany „Balkon” w tomiku dostarczonym przez mężczyznę, który maluje mnie na obrazie pod takim samym tytułem.

Matko upojnych wspomnień, kochanek królowo...

- A może przyprowadzę jutro madame Manet w porze, gdy mama podejmuje gości?

Edma przykłada do siebie ładną ciemnoniebieską suknię, a potem białą, obszywaną różowymi pączkami.

- Nie bądź niemądra - odpowiadam, podnosząc wzrok znad książki. - Mama nigdy by ci nie wybaczyła, gdybyś zostawiła mnie bez przyzwoitki.



- Masz rację. Twierdzi, że jej to nie obchodzi, ale to nieprawda.

Decyduje się na niebieską i zaczyna się przebierać.

- Co będę tam robiła przez cały dzień? Oszaleję, jeśli będę musiała tylko siedzieć i rozmawiać z przyzwoitkami. Przecież nic mnie z nimi nie łączy.

- Na tym polega zadanie przyzwoitki: ma siedzieć. A ty sama się zgłosiłaś, że będziesz mi towarzyszyć. *N'est-ce pas?*

Łypie na mnie nadąsana.

- Mogę chociaż przeczytać książkę, którą ci pożyczył?

Zatrząskuję tomik i zasłaniam go dłońmi.

- Naprawdę zamierzasz siedzieć z madame Manet i spółką, czytając „Kwiaty zła”? Nie wątpię, że Édouard ma inne książki, które możesz czytać. - Mocniej zaciskam rękę na okładce. - Ale nie tę.

TLR

# Rozdział 8

*O kobiety! Czy ze mną porówna się ona?  
Bardziej od kopalń złota twoją miłość cenię  
I na żadne bogactwa Wschodu jej nie zmienię.  
Nawet rzeki nie zgaszą tej miłości mojej  
I nic jej prócz miłości twej nie zaspokoi\*.*

Anne Bradstreet

\* Przeł. Ludmiła Marjańska.

Następnego ranka budzę się z poczuciem, że odzyskałam młodość. Nie jest to zasługa dobrze przespanej nocy. Źródeł należy szukać głębiej. Ocknęła się we mnie jakaś nowa siła, zaostrzona świadomość wydobyta z głębin jestestwa, gdzie zbyt długo spoczywała niewykorzystana.

Wszystko widzę z niezwykłą klarownością. Odkrywam w sobie nowe siły. Rozsadza mnie energia, czuję, że mogę pokonać świat... a w każdym razie rozterki i niepewność, które prześladowały mnie od tygodnia, kiedy to poznałam Édouarda Maneta.

Jestem już gotowa od półgodziny, tymczasem Edma - wciąż jeszcze w szlafroku - grzebie się niemilosiernie. Jeśli się nie pospieszy, nie będę czekała, pójdę sama. Białą suknię przerzucam przez ramię starannie, żeby nie ciągnęła się po podłodze. W jej fałdy wsuwam książkę Édouarda.

- Pospiesz się, zaraz musimy wychodzić. Co tak długo?

- Berthe, litości! Ledwo dochodzi wpół do dziewiątej. Mamy tam być dopiero o dziesiątej. Czemu tak ci się spieszy?

- Chcę przyjść, nim zjawi się reszta.

Jeszcze przez dziesięć minut sterczę w przedpokoju, zanim łaskawie raczy się pojawić moja siostra. Wygląda świeżo, ale kiedy pomagam jej zawiązać czepek, robi minę cierpięcicy. Wykrzykujemy pożegnania i zbiegamy po schodach, a tu w drzwiach pojawia się *maman*.

- Na miłość boską, jest wpół do dziewiątej! Po co wychodzicie tak wcześnie?

- Chcemy jak najwcześniej się zjawić, żeby monsieur Manet mógł szybciej zabrać się do pracy - tłumaczę.

- Nie zjadłyście śniadania.

- To prawda, nie zjadłyśmy - mruczy Edma.

W obawie, by mama nas nie zatrzymała albo - gorzej - w ogóle nie zabroniła nam iść, łapię siostrę za łokieć i pociągam za sobą.

- Szkoda fatygować Amélie. Dość ma dziś pracy przy szykowaniu poczęstunku dla twoich gości. Manet na pewno poczęstuje nas herbatą albo kawą.

Kończę to zdanie już za bramą. *Maman* zniknęła mi z oczu. Puszczam łokieć Edmy, dopiero gdy obie siedzimy w powozie.

Ruszamy. Rześkie powietrze od razu mnie uspokaja. Układam obok siebie suknię z ukrytym w jej fałdach tomikiem. Moje popędzanie i szturchańce najwyraźniej nie zepsuły Edmie nastroju, bo zaraz do mnie zagaduje:

- Mamie chyba nie przeszkadza, że jednak pojechałyśmy. Gdyby miała do nas żal, nie byłaby dziś taka zgodna.

Zgodna? Wątpię. Co prawda, trzeba przyznać, że zachowywała się przyjaźniej niż wczoraj, kiedy to ostentacyjnie mnie ignorowała. Nadal jednak dawała odczuć, że nie jest ze mnie zadowolona.

- Źródłem jej dobrego nastroju była niewątpliwie wczorajsza wizyta Adolphe'a.

Kolejna.

Na samą wzmiankę o ukochanym Edma uroczo kraśniej, po czym trajkocze o nim do końca drogi. Słuchając turkotu kół zbliżających nas do Édouarda, pozwalam siostrze rozważać każdy gest i wyraz twarzy Adolphe'a, najdrobniejsze dowody uczucia.

Edma pochyla się do mnie i zniża głos.

- Wczoraj pytałaś, czy spodziewam się oświadczyn. Nie zdziw się, jeśli przed jesienią Adolphe poprosi tatę o moją rękę.

Czułam, że na to się zanosi, ale nie potrafię sobie wyobrazić, że Edma mnie opuści.

Nie mam prawa żądać, by ze mną została. To obrzydliwie samolubne. Dwie stare panny spędzą resztę życia razem przy sztalugach? Nie mogę jej na to skazać. A jednak świadomość, że wyprowadzi się i zamieszka z Adolphe'em tam, gdzie rzuca go rozkazy zwierzchników, ja zaś nie będę już mogła co dzień jej widywać, boli ponad wszelkie wyobrażenie.

Przelykam łzy.

Cóż ja pocznę bez Edmy? Zawsze byłyśmy nierozłączne. Cieszyłyśmy się, gdy nasza starsza siostra, Yves, wyszła za mąż. Pragnęła tego. Nie interesowała się malarstwem. Szykowała się do małżeństwa z takim samym samozaparciem, z jakim Edma i ja dopracowujemy obrazy przeznaczone na Salon.

Kiedy Yves wyprowadziła się do męża, małżeństwo było dla nas jedynie dalekim ognikiem majacącym gdzieś na horyzoncie. Teraz wisiało nam nad głowami niczym groźna kometa nadciągająca nad Ziemię. Edma jest nie tylko moją siostrą, ale i najlepszą przyjaciółką. Serce mi pęka na myśl, że miałabym żyć bez niej.

- Powiedz, co o nim sądzisz, Berthe? - pyta. Oczy jej lśnią. - Spodobałby ci się taki szwagier?

Łzy szczypią mnie pod powiekami. Wyglądam przez okno, by się opanować.

W jej głosie słyszeć taką radość...

- Edmo, spodoba mi się każdy, kto sprawi, że będziesz szczęśliwa.

Uśmiecha się z zadowoleniem i spokojem kobiety zakochanej z wzajemnością. Jedziemy w milczeniu, ale po chwili pyta:

- Zastanawiałaś się nad tym, o czym wczoraj rozmawiałyśmy?

Z trudem powstrzymuję się od głośnego syknięcia. Kręcę głową.

- Czujesz treść? - dąży Edma.

- Jaką treść? Czemuż to miałabym czuć treść? Wzrusza ramionami.

- Sądziłam... No bo myślałam... Przykładam palec do ust.

- Bądźże rozsądna! Jesteś zakochana i patrzysz na świat przez różowe okulary, zapominając o prostych faktach: Adolphe jest kawalerem, Édouard - nie. Nie budź we mnie pragnień, do których nie mam prawa.

Wsuwam rękę między jedwabne fałdy sukienki. Sztywna, prostokątna okładka tomiku wierszy dodaje mi pewności siebie.

Edma uśmiecha się, ale jej oczy zasnuwa smutek, jakby oplakiwała wszystkie nieodwzajemnione i nieszczęśliwe miłości tego świata. Przez moment wydaje mi się, że dostrzegam w nich własne uczucia, więc szybko odwracam wzrok. W rytm końskich podków stukających o bruk dźwięczą mi w głowie moje ostatnie słowa. Nagle ulatnia się energia, która rozsadzała mnie po przebudzeniu.

- To płótno Édouarda... Kto pozuje oprócz ciebie? Opowiadam o stoickiej Fanny Claus - przyjaciółce

Suzanne, o wysokim, dowcipnym monsieur Guillemecie oraz o tym, jak narodził się pomysł obrazu i jakim entuzjazmem napełnił Édouarda.

Okazuje się, że nie tylko jego, bo w atelier zastajemy też Degasa. Ukrywam rozdrażnienie. Tak bardzo liczyłam, że zanim pojawią się pozostali, zdążę zamienić z Édouardem kilka słów, porozmawiać o tomiku Baudelaire'a.

Nie możesz wyjąć go przy ludziach - perswaduje wzór cnót.

A co mnie obchodzi ich zdanie? - upiera się Olimpia.

- Chcę tylko o tym porozmawiać.

Wykluczone - oświadcza cnotka. - Nie przy ludziach.

Édouard wita nas ciepło.

- *Bonjour, mesdemoiselles.* - Degas się kłania. - Przyszedłem przekonać się na własne oczy, o co tyle hałasu. Ocenić, czy zamieszanie, jakie Manet wywołał wokół swego najnowszego dzieła, jest tego rozgłosu warte.

- Rozgłosu? - powtarzam, uśmiechając się do Édouarda.

- O czym on mówi?

Degas uśmiecha się głupekowato i leniwie mi się przygląda, ocenia. Wolno wodzi wzrokiem po mojej twarzy i figurze.

- Mogę wziąć od pani suknię? - pyta Édouard. Zaciskam dłoń na ukrytej w fałdach książce.

- Niech pan tylko powie, gdzie ją odłożyć. Édouard wykonuje zapraszający gest. Idę za nim za parawan. Obcasy głośno stukają na drewnianej podłodze.

- Może ją pani powiesić tutaj.

Stoi tuż przy parawanie - zdecydowanie za blisko mnie - zasłaniając ciałem wyjście.

Wyjmuję z fałdów sukienki tomik.

Uśmiecha się.

- Zdażyła pani przeczytać?

Potakuję bez słowa. Ze zdenerwowania nie panuję nad ruchami i łokciem trącam parawan. Chwieje się, ale nie przewraca - *Dieu merci*. Uświadamiam sobie, że choć jesteśmy niewidoczni, Edma i Degas z pewnością słyszą każde nasze słowo.

Wciskam Édouardowi książkę do ręki. Przez moment patrzę mu w oczy, potem przerzucam suknię przez parawan.

Przypominają mi się wczorajsze muśnięcia jego dłoni. Krew szybciej krąży mi w żyłach. Głucha cisza w pracowni aż dudni w uszach.

Teraz już wiesz, dlaczego damy nigdzie nie powinny się ruszać bez przyzwoitki? - triumfuje cnotka. - A już zwłaszcza gdy w grę wchodzi przystojny mężczyzna, który nie uznaje czegoś takiego jak normy zachowania.

Édouard uśmiecha się do mnie czule, jakby rozumiał, że Baudelaire wyraził to wszystko, co mogliśmy sobie powiedzieć. Tym uśmiechem rozbija mur obronny, którym się otoczyłam. Wsuwa książkę do kieszeni i wraca do Edmy i Degasa.

Ja jeszcze zostaję chwilę za parawanem. Z przymkniętymi oczami słucham, jak z nimi rozmawia. Nie chłonę słów, tylko to opadającą, to znów podnoszącą się melodię głosów.

Wychodzę do nich.

- Kiedy tu jechałyśmy - mówi właśnie Edma - Berthe wspominała, że obraz nawiązuje do „Balconu” Goi. To prawda?

Édouard opowiada, jak w czasie spaceru zauważył scenę na balkonie.

- Była piękna.

Patrzy na mnie. Zastanawiam się, jak to możliwe, by tamci nie czuli, co między nami rozkwita.

- To było jak znak z nieba - ciągnie. - Natychmiast bez cienia wątpliwości poczułem, że muszę ją namalować, przetworzyć po swojemu.

Degas parska złośliwym śmiechem i rozbija nastrój. Jego uniesione brwi stanowią wyraźną granicę między płaskim czołem a równie płaskimi, nieco cofniętymi policzkami. Opuszczone kąćki ust

nadają twarzy wyraz wiecznego niezadowolenia. Okrągłe, wścibskie oczka nieustannie krążą po pomieszczeniu, nic im nie umknie.

- Pokaż nam płótno, Manet - mówi głosem w odcieniu szarości.

- O tak. Możemy zobaczyć? - zapala się Edma. Édouard skubie brodę.

- Nie nadaje się do pokazywania. Spędziłem nad nim zaledwie pół dnia. Przede mną jeszcze daleka droga.

Degas nie ustępuje. Wreszcie Édouard wyciąga sztalugi. Ustawia je tak, byśmy mogli zobaczyć, co wczoraj naszkicował.

Z zadowoleniem stwierdzam, że moja sylwetka jest najstaranniej narysowana.

Degas przysuwa się do płótna. Gładzi starannie ogolony podbródek i wydaje pomruki zainteresowania. Sądziłam, że już nie może unieść brwi wyżej. Myliłam się. Teraz przypominają dwie parasolki rozłożone nad małymi oczkami.

- *Oui, Manet. Très bien.* Jestem przekonany, że będziesz wyjątkowo sumiennie pracował nad tym dziełem. - Patrzy na mnie. - Nie wątpię bowiem, że mademoiselle Morisot okaże się nie lada wyzwaniem. Na szczęście ty lubisz wyzwania.

Przygryzam wargę na tę insynuację. Ignorujemy go, tak jak udaje się głuchotę, gdy niesforne dziecko powie coś nieprzyzwoitego. Jeśli będziemy puszczać mimo uszu jego niestosowne uwagi, może mu się znudzi.

Daremne nadzieje!

- Manet niezaprzeczalnie jest prawdziwym mistrzem - zwraca się do mnie. - Niech pani tylko nie dopuści, by sobie panią zawłaszczył. A robi to, jeśli mu na to pozwolić.

Zerkam na Édouarda. Ze zmarszczonym czołem wpatruje się w płótno.

- Nie wiem, co on wygaduje. To cynik i pesymista. Niech pani nie zwraca na niego uwagi.

- Prawda, przyjacielu. Wyznaję, jestem cynikiem i pesymistą. Ty za to jesteś żonaty. Nie wiem, który z nas dźwiga większy ciężar.

Édouard palcem rozciera kreskę na płótnie, potem bierze węgiel i zaczyna szkicować.

- Dzięki tobie, drogi przyjacielu, nas już nic nie przytłacza. Wszak ty jeden dźwigasz na swych barkach cały ciężar świata. - Édouard odsuwa się o krok i przygląda szkicowi. - Aczkolwiek przyznam, że często się zastanawiałem, czy dla ludzkości nie byłoby lepiej, gdybyś choć na jeden dzień porzucił troski i cieszył się towarzystwem kobiety. Uwierz, z radością byśmy powitali tę przyjemną odmianę.

Degas prychnął pogardliwie.

- Szkoda mi czasu na głupców obu płci. Jeśli zaś dobrze zgaduję, mademoiselle Berthe, jest pani do mnie podobna: wyczuwam w pani purystkę. Proszę mi wierzyć na słowo i mieć się na baczności przed tym pochlebcą.

Édouard wybuchł śmiechem, jakby Degas powiedział dowcip. Odstawia obraz pod ścianę.

- Zapomina pan o jednym drobiazgu, monsieur Degas - odpowiadam. - Nie jestem tak naiwna, by złapać się na lep *petite flatterie*\*. Zastanawiałam się, czy droga małżonka monsieur Maneta zaszczyca nas dzisiaj swoją obecnością. Gorąco pragnęłabym lepiej ją poznać.

\* (Franc.) pochlebstwa, komplementy.

To kłamstwo i nie wątpię, że Édouard zdaje sobie z tego sprawę, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie pałam gorącym pragnieniem poznania Suzanne dziś ani jutro. Muszę jednak przywołać tego nieprzyjemnego człowieka do porządku. Co za czelność, obrażać Édouarda w jego własnej pracowni! A do tego jeszcze insynuować, jakobym była słabą kobietką, która nie potrafi sobie sama poradzić.

Degas spogląda na czubek swojego niedużego, zadartego nosa.

- Zobaczymy dziś twoją uroczą żonkę?

Édouard całą uwagę skupia na układaniu przyborów.

- Nie wiem, Degas, ale skoro tak cię to ciekawi, nie krępuj się, odwiedź ją w Boulogne i zapytaj, jakie ma plany.

\*

Mijają tygodnie, a pozowania końca nie widać. *Maman* znudziło przesiadywanie w pracowni Édouarda. Po pierwszym tygodniu madame Manet wykręciła się, tłumacząc to innymi obowiązkami. Edma też miała ważniejsze zajęcia. Po poważnej rozmowie z paniami Manet i Chevalier mama uznaje, że śmiało mogą jeździć na sesje samotnie, jeśli tylko madame Chevalier będzie obecna w czasie pozowania.

W końcu Fanny Claus i jej przyzwoitka to wystarczająca opieka dla kobiety w moim wieku. Oczywiście *maman* nie mówi tego wprost, ale jasno daje do zrozumienia.

Równie zrozumiałe są znaczące westchnienia i humory Fanny Claus oraz monsieur Guillemeta. Z dnia na dzień coraz bardziej ostentacyjnie okazują niezadowolenie z przeciągających się sesji. Czuć ich narastające rozczarowanie, gdy głośno narzekają na tempo pracy Édouarda. Ich skargi spływają jednak po nim jak woda po ulicznym bruku.

Mnie zaś w ogóle to nie przeszkadza. Czas spędzony z Édouardem nie jest czasem straconym. Dużo rozmawiamy, śmiejemy się i poznajemy coraz bliżej.

Dyskutujemy o Baudelairze. Wcielone zło czy poeta nowoczesnej cywilizacji? Słucham anegdotek z czasów, gdy Baudelaire przychodził do Manetów na czwartkowe wieczorki.

- *Ma mère* początkowo nie wiedziała, co o nim sądzić. Potem nie mogła się doczekać, kiedy się zjawi.

- Jakże żałuję, że go nie poznałam.

Édouard przechyla głowę i patrzy na mnie zza płótna. Jego oczy przypominają gorący dym.

- Byłby panią zauroczony.

Jest przemiły, a zachowuje się nienagannie. Dżentelmen w każdym calu - ku memu rozczarowaniu. Tyle rozmawiamy o Baudelairze i nieprzyzwoitości, że marzę o czymś więcej. Tymczasem - *non*. Nic. Ani śladu niewłaściwego zachowania.

Jakież to frustrujące! Jednak muszę przyznać, że nie przeszkadzałoby mi, gdyby sesje trwały w nieskończoność. Minuty, które oddzielają nasze spotkania, ciągną się niemiłosiernie. Dni zaś spędzone z nim są o wiele za krótkie.

Madame Manet zawiesiła czwartkowe wieczorki, towarzyszy Suzanne i Léonowi w Boulogne. Właściwie to nawet lepiej. Zastanawiam się nad związkiem Suzanne i Édouarda. Podejrzewam, że żona malarza musi przywyknąć do modelek i godzin spędzanych przez męża poza domem. Zresztą Suzanne ma tu szpiega. Nieustannie czujemy na sobie baczne spojrzenie Fanny Claus. Jestem przekonana, że Suzanne otrzymuje szczegółowe meldunki.

Wreszcie, bodaj czterdziestego dnia pracy, podczas krótkiej przerwy w pozowaniu Fanny Claus - co za tupet! - podchodzi do obrazu i patrzy. Édouard odstawił go płótnem do ściany, a ona bezczelnie odsuwa sztalugi, jakby miała jego zgodę.

Mina jej rzednie.

- Nie będę dłużej pozować, monsieur Manet. - Ściąga rękawiczki i rzuca je na podłogę. - Nie ulega wątpliwości, że skupia się pan tylko na jednej modelce. Nie jestem tu potrzebna.

Édouard właśnie parzył herbatę. Zatrzymuje się w pół ruchu i patrzy na nią zdumiony.

- Mademoiselle Claus, przepraszam, jeśli panią uraziłem. Muszę jednak wyznać, że nie rozumiem pani oburzenia. Każde z was stanowi ważny element kompozycyjny. Może rzeczywiście zbyt długo zabierałem pani czas. Proszę o wybaczenie. Jeśli uważa pani, że powinna odejść, oczywiście nie będę zatrzymywał.

Fanny Claus wychodzi.

Kiedy później przyglądam się obrazowi, muszę jej przyznać rację. W porównaniu z moim - wykonanym z niezwykłym pietyzmem - wizerunkiem ich ledwo naszkicowane portrety wyglądają pospolicie, jakby miały tylko zapełnić pustą przestrzeń na płótnie.

Z pewnością Édouard później dopracuje ich postaci. Patrzył na nas ponad miesiąc, zdążył zapamiętać nasze twarze w najdrobniejszym szczególe. Jeśli mam być szczerą, w głębi duszy odczuwam satysfakcję, że tyle trudu włożył w namalowanie mnie.

Pomyśleć, że kiedyś się nie znaliśmy; że Édouard Manet był tylko podpisem na zachwycającym obrazie. Teraz przychodzę do jego pracowni jako przyjaciółka. Rozprawiamy o sztuce, Bogu, polityce i świecie, w którym żyjemy. Uważnie słucha moich opinii, a moje poglądy nie budzą w nim pogardy.

Dlaczego się nie spotkaliśmy, zanim ożenił się z Suzanne?



# Rozdział 9

*Wobec mych póż królewskich, od bogów przejętych,  
Tłum piewców i uczonych - oniemiałych Sławców -  
Strawi życie, szukając ich prawideł świętych;  
Bo, ażeby ujarzmić powolnych wyznawców,  
Mam zaklęte zwierciadła, lejące czar czysty:  
Moje oczy - praźródła światłości wieczystej!\**

Charles Baudelaire, „Piękność”

\* Przeł. Bohdan Wydzga.

Następnego ranka zjawiam się w jego pracowni sama, jak to czynię już od dwóch tygodni, ale nieco później niż zwykle. Okazuje się, że przyszłam pierwsza.

- Bałem się, że pani też mnie opuściła.

Édouard stoi na środku pracowni. Wygląda na zaniepokojonego, lecz ani trochę nie przejmuję się faktem, że jesteśmy zupełnie sami, bez przyzwoitki.

Odkładam torebkę, wytrącona z równowagi, ale i uradowana. Owszem, Fanny Claus była wczoraj wzburzona, lecz nie sądziłam, że tak nagle odejdzie.

- Skądże, przecież bym tego nie zrobiła - mówię z udawaną pewnością siebie. - Pozostali dziś się nie zjawią? Nie dotarła do mnie wiadomość, że odwołał pan seans.

- Zrezygnowali. - Pokręcił głową. - Czekaj mnie jeszcze wiele pracy, zanim obraz będzie się nadawał do oglądania. Niestety, zbyt długo nadużywałem państwa cierpliwości. Pani też może odejść, jeśli chce.

Słowa mnie uwalniają, oczy błagają, bym została.

Wiem, że powinnam iść. Wolę sobie nie wyobrażać, co by się stało, gdyby przyłapano nas sam na sam - choć nie robilibyśmy nic zdroźnego. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, a jednak mówię:

- Nie po to jechałam przez pół miasta, żeby teraz wrócić do domu.

Stoimy skrepowani, w niezręcznym milczeniu. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

Wreszcie Édouard się uśmiecha.

- Po cichu liczyłem, że właśnie to usłyszę. Śmiało, niech pani na chwilę usiądzie. Napijmy się herbaty, nim weźmiemy się do pracy.

Podchodzi do kuchenki, by jak co rano, od kiedy zaczął pracę nad obrazem, wstawić wodę. Przycupnęłam na brzegu otomany i rozglądałam się po atelier, jakbym widziała je po raz pierwszy. Prze-

rzucona przez parawan wisi moja samotna suknia - tak jak ją zostawiłam dzień wcześniej. Suknia Fanny Claus zniknęła.

Dziś jestem sama.

Wodzę wzrokiem od sztalug wepchniętych w kąt po pomiętą pościel na łóżku stojącym w drugim końcu pomieszczenia.

- Nocował pan tutaj?

- Tak. Pracowałem nad płótnem do późnego wieczora, a Suzanne, Léon i *maman* wciąż są w Boulogne. Nie chciało mi się wracać do pustego domu.

Boli mnie, gdy słyszę, jak z jego ust pada jej imię. Równocześnie jednak na samą myśl, że żona jest tak daleko i od tak dawna są rozłączeni, gdzieś w głębi mnie podnosi głowę niebezpieczna bestia. Rozważna Berthe ostrzega: Uważaj. Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, uciekaj stąd natychmiast!

Ten sprzeciw zostaje jednak natychmiast zagłuszony natrętnym wspomnieniem obietnic, jakie Édouard wyszeptał mi do ucha, gdy pierwszy raz przyszedł do pracowni. Obietnic pokusy grzeszniejszej i rozkoszniejszej od gęstej czekolady. Co zaplanował na dziś - oprócz herbaty?

A co ważniejsze, czy naprawdę chcę poznać odpowiedź?

Zrywam się z otomany.

- Pójdę się przebrać.

Krzywię się, słysząc własny ochrypły głos, i ukrywam się za parawanem. Zamykam oczy, głęboko nabieram powietrza i zmuszam się, by na chłodno przemyśleć konsekwencje decyzji o pozostaniu. A przecież wystarczy po prostu się pożegnać i wyjść.

Owszem, nieraz wyobrażałam sobie, że zostaję sam na sam z Édouardem - marzyłam o tym w skrytości ducha - ale nigdy, przenigdy nie spodziewałam się, że do tego dojdzie.

Wzruszenie i pragnienie zlewają się w jedno, wzbierają niczym fala gnana wiatrem. W brzuchu pojawiają się dziwne, kipiące wiry. Otwieram oczy. Jestem bezsilna wobec tych emocji. To tak jakbym próbowała zatrzymać morze wdzierające się do zatoki.

Zakładam ręce za kark i zaczynam rozpinąć guziczki sukni. Pierwszy - Édouard grzechocze czajnikiem. Drugi - nalewa wody. Trzeci - stawia czajnik na ogniu.

Rozpinam kolejne, podciągając tkaninę. Trudno sięgnąć dolnych guzików. Wreszcie wyswobadzam się z ubrania. Suknia spływa na podłogę.

Édouard przeciąga sztalugi na środek pracowni. Zamykam oczy. Przeszywa mnie dreszcz, więc rozcieram nagie ramiona.

Och, jakże nieprzyzwoicie wolna się czuję, stojąc w samej bieliźnie. Przerazona, a zarazem swobodna. Rozebrana, sama w towarzystwie Édouarda. Dotykam tkaniny parawanu. Tarcza, ukrywająca moją nagość przed jego oczami, ugina się pod moimi drżącymi palcami. Zaciśnięty żołądek powoli się rozluźnia.

Zdejmuję z wieszaka białą suknię. Krzątania Édouarda zamiera. W pomieszczeniu zapada pełna nabożeństwa cisza. Wtulam twarz w jedwabistą biel. Tkanina przeszła zapachem pracowni Édouarda. Przez chwilę wdycham ten afrodyzjak. Dotyk organdy przypomina pieśczętę kochanka, który przez tkaninę parawanu wodzi dłońmi po moim ciele. Wkładam suknię i wysuwam głowę zza parawanu.

- Pomoże mi pan zapiąć guziki?

Édouard odkłada paletę, wyciera ręce w ścierkę. Nie odzywa się ani słowem, tylko przygląda mi się, jakby doskonale wiedział, o co proszę.

Kiedy rusza w moją stronę, czuję to - niemal niezauważalne drgnięcie, gdy magnes Édouarda przyciąga igłę mojego serca i nagle wszystko jak w układance trafia na swoje miejsce.

Chwytam się ramy, ale on kładzie ręce na moich ramionach i obraca mnie, by sięgnąć do guzików. Odgarnia kosmyk włosów, który wysunął się z upięcia. Przyciąga palcami po moim karku. Przeszywa mnie prąd. Głośno wciągam haust powietrza. Nachylam głowę ku jego dłoni. Suknia zsuwa mi się z ramienia.

Zamieramy. On mnie nie dotyka, ja się nie ruszam. Nie podciągam sukni, nie zasłaniam piersi, która niczym dojrzały owoc wychyla się ze sztywnego gorsetu.

Édouard lekko kładzie dłonie na moich ramionach. Jedna spoczywa nieruchomo. Kciukiem drugiej wodzi po obnażonej skórze - delikatna pieśczęta-niepieśczęta, która pozwala w każdej chwili się odsunąć... albo nie...

Skłaniam policzek i muskam grzbiet jego dłoni ni to oddechem, ni to pocałunkiem. On zaś opuszką kciuka delikatnie obrysowuje owal mojej twarzy, policzek, dolną wargę... Drugą rękę wsuwa pod suknię. Wodzi nią po nagiej skórze pleców, przesuwa na brzuch. Tam rozpościera dłoń i mocno przyciąga mnie do siebie.

Cały się napręża.

Przesuwa palec od mojego obojczyka do krągłości piersi. Przyciska usta do mojego karku. Odycham szybko, głośno. Wyprężam się jak struna. On muska palcem brodawkę. Z trudem dławie krzyk.

Obraca mnie twarzą do siebie. Zanurza palce w moich włosach, pieści zagłębienia obojczyka, liże płatek ucha. Boję się, że eksploduję z pożądania, ale wtedy przesuwa wargi ku moim ustom. Drzę, zaskoczona szorstkością jego brody, kontrastującą z gładką wilgocą warg i języka.

Całuje mnie gorąco, namiętnie. Z jego gardła wyrywa się chrapliwy, niemal zwierzęcy jęk rozkoszy. Mięknę cała, całując go z równą namiętnością. Sycę się smakiem kawy i nutką mięty, które zostały na jego wargach. Nie mogę się nadziwić, jak bezpiecznie czuję się w jego twardych ramionach. Świat gdzieś zniknął.

Jakże pragnęłam tego pocałunku!

Ileż razy śniłam, że trzyma mnie w ramionach? Że czuję jego naprężone mięśnie i czekam z utęsknieniem na tę chwilę, gdy zajrzy mi w oczy, by zaraz potem po raz pierwszy dotknąć wargami moich ust?

Ściąga mi z ramienia drugi rękaw i odchyła się, by suknia mogła swobodnie się zsunąć. Kiedy niczym biały obłok spływa na podłogę za parawanem, Édouard delikatnie układa mnie na niej. Ani na moment nie odrywa ust od moich warg. Pieści mnie w najskrytszych miejscach, których żaden mężczyzna jeszcze nie dotykał.

Wydaje mi się, że gdzieś na obrzeżach świadomości słyszę kobiecy głos.

Édouard odrywa się ode mnie i jednym niemal kocim ruchem zrywa się na nogi.

- *Bonjour*, Édouardzie! Jesteś tu?! - woła Suzanne, a chwilę potem w pracowni rozlegają się jej kroki.

TLR

# Rozdział 10

*Ziemia cała, jej sztuka, poezja, muzyka niczym są w porównaniu z miłością,  
com ją znalazł, zdobył i zachował.*

Robert Browning

Stoję za parawanem, drżąc na całym ciele. Boję się poruszyć, boję oddychać. Potrafię myśleć tylko o tym, że ta scena jest kwintesencją mojego życia - zawsze pragnę tego, czego mieć nie mogę. Pożądám tego, co zakazane. Ignoruję głos rozsądku i próbuję schwytać nieuchwytnę, by zappełnić nim pustkę, która z dnia na dzień się powiększa.

Zwijam się ze wstydu. Jak mogłam?! Ja z żonatym mężczyzną?!

Po drugiej stronie parawanu Édouard mamrocze coś o przechadzce.

- Zjawiasz się w samą porę. Właśnie zamierzałem się przespacerować. Zechcesz mi towarzyszyć?

Pozostaje tylko żywić nadzieję, że wyraz twarzy ma bardziej naturalny niż głos. Ciekawe, czy Suzanne coś podejrzewa.

- Édouardzie, dopiero co przyjechałam. Usiądźmy na chwilę, niech odpocznę po podróży.

- Wszak siedziałas przez całą podróż z Boulogne. Wierz mi, siedzenie teraz jeszcze bardziej cię znuży.

Suknia, w której się zjawiłam, leży przewieszona przez parawan. Jeśli spróbuję ją ściągnąć, Suzanne z pewnością zauważy. To na nic.

Biała suknia z kolei leży na podłodze. Co gorsza, spory rąbek wystaje poza parawan. Przyciągnąć i próbować się ubrać czy tkwić dalej nieruchomo w bieliźnie i liczyć, że Édouard zdoła wyprowadzić żonę z pracowni i kamienicy, umożliwiając mi ucieczkę?

Atelier ma tylko jedno wejście. Serce wali mi tak mocno, że omal nie rozsadza piersi.

- Nie spodziewasz się Fanny Claus i pozostałych? Chętnie bym z nią porozmawiała. Między innymi dlatego tu wpadłam.

- Niestety, czeka cię zawód. Wczoraj twoja przyjaciółka zrezygnowała z pozwania. Znalazłem się w wyjątkowo trudnej sytuacji, bo skoro odeszła, nie mogłem zatrzymać tamtych dwojga. Zostałem sam jak palec i teraz muszę jakoś sobie radzić.

Całkiem przekonujące.

Zapewne Fanny Claus powiedziała Suzanne, że ona ani jej przyzwoitka nie będą już przychodziły do atelier. Czy w takiej sytuacji Suzanne uznała, że powinna osobiście się zjawić i skontrolować

sytuację? Rozsądek jednak podpowiada, że Fanny nie zdążyłaby tak szybko przekazać wiadomości do Boulogne. Przyjazd Suzanne nie ma z tym związku.

Nie, to zwykły zbieg okoliczności. Albo coś bardziej niepokojącego - kobieca intuicja.

Pozostaje tylko czekać i modlić się, by ta sama intuicja nie kazała Suzanne spytać, skąd na parawanie wzięła się niedbale przerzucona niebieska suknia, albo schylić się po białą, która leży na podłodze.

\*

- Amélie zapewniała, że panią tu zastanę.

- Édouardzie...

Jego głos niesie się echem po galerii Luwru. Działa na mnie jak ukłucie ostrogą, każe się prostować jak struna. Krzywię się, zła na siebie, że wypowiedziałam jego imię. Zbyt duża poufałość. Znowu tracę nad sobą kontrolę.

Zza swoich sztalug wychyla się Edma. Uśmiecha się.

- Monsieur Manet! Co za miła niespodzianka.

- *Bonjour, mademoiselle*. Nie wiedziałem, że to pani ukrywa się za tym płótnem. Jakże miło panią zobaczyć. - Brzemienna cisza. - Obie panie.

Muzeum wydaje się olbrzymie i puste, choć - jak na czwartek - przyszło sporo osób. Oprócz Edmy i mnie, Rubensa kopiuje jeszcze jeden malarz. Édouard pojawił się dosłownie przed chwilą, a jednak zdążyło już nas minąć dużo gapiów. Przystają, by popatrzeć na nasze prace. Wodzą wzrokiem od kopii do oryginałów i głośno komentują, jakbyśmy byli głusi albo zbyt głupi, by zrozumieć krytykę.

Po wczorajszym incydencie trudno będzie z nim rozmawiać, ale musimy koniecznie pomówić. Wiedział o tym i odszukał mnie. Nie chciał, bym dłużej się zadręczała, myśląc o skutkach niespodziewanej wizyty Suzanne.

Edma nas obserwuje. Patrzy to na mnie, to na Édouarda. Nie powiedziałam jej, co się wczoraj wydarzyło. Nie było takiej potrzeby - to i tak się nie powtórzy. Płonę ze wstydu. Płonę ze wstydu na wspomnienie wczorajszej ucieczki i o perwersyjnej rozkoszy, jaką sprawia mi rozpamiętywanie pieszczot Édouarda.

To haniebne.

Nie pozwolę, by to się powtórzyło. Bałam się już, że Suzanne nie zgodzi się iść z nim na przechadzkę, ale wreszcie, po jego naleganiach ustąpiła.

Édouard potrafi być niezwykle uparty.

- Co pana sprowadza do Luwru? - pyta Edma. - Sprawy osobiste czy zawodowe? - Chichocze.

Krzywię się w duchu. Ta kokieteria zadurzonej pensjonarki zupełnie do niej nie pasuje. Ściskam pędzel, aż bieleją mi palce.

- Bardziej osobiste niż zawodowe - odpowiada mojej siostrze, ale patrzy na mnie.

Edma odkłada paletę.

- Rozumiem. W takim razie nie przeszkadzam i wracam do pracy. - Wstaje. - Nagle odczułam silną potrzebę przyjrzenia się z bliska szatom Marii Medycejskiej. Państwo wybaczą.

- Ależ oczywiście. - W jego głosie brzmi ulga.

Czyżby tak samo jak ja nie mógł się doczekać, kiedy porozmawiamy bez świadków?

Za jego plecami Edma robi do mnie znaczącą minę, potem zasłania oczy i podchodzi do obrazu na przeciwległej ścianie, zupełnie innego niż ten, który właśnie kopiujemy.

- Musiałem się z panią zobaczyć - mówi Édouard. - Jak się pani czuje?

Nie radzę sobie z targającymi mną emocjami. Toczę wewnętrzną walkę.

Wierzyć się nie chce, że można być aż tak głupią - karci mnie cnotka. - Pragnąc go, ledwo się pojawił. A kto jeszcze kilka godzin temu czuł się zbrukany, wykorzystany? Omal nie zostaliście przyłapani na gorącym uczynku!

Tak, ale mimo wszystko - odpowiada Olimpia - gdzieś w głębi duszy liczyłaś, że przyjdzie. I przyszedł.

Już to wyzwoliło mnie z melancholii, podobnie jak kromka chleba wyzwala żebraka od śmierci głodowej.

Zerkam na *maman*, która siedzi na ławce w drugim końcu galerii. Przynęła nad książką.

Wczoraj przed południem - zaraz po ucieczce z pracowni Édouarda - przeprosiłam ją.

- Pora wreszcie zakończyć wojnę - powiedziałam. - Zachowałam się niemądrze. Chcę, by wszystko znowu było jak dawniej.

Darowała mi.

Ale dopiero kiedy zapewniłam, że skończyłam z pozwaniem u Édouarda Maneta.

Przyznała, że konflikt między nami przybrał groteskowe rozmiary, i chętnie ogłosiła rozejm. Powiedziała, że nie ma pretensji do Édouarda. Nie akceptuje jedynie moich decyzji, dróg życiowych, które wybieram.

Wolę nie myśleć, jak by zareagowała, gdyby zobaczyła, jakich wyborów już dokonałam.

- To się więcej nie powtórzy - mówię przyciszonym głosem, znacznie chłodniej niż przy powitaniu, po czym wracam do kopiowania tego samego Rubensa, nad którym pracowałam, gdy go poznałam.

- Akurat! - drwi Olimpia. - Nie pozwolisz mu odejść. Za bardzo go pragniesz. Po tym, jak bezmyślnie zgodziłaś się mu pozować - zrzędzi cnotka - skandalicznie zaniedbałaś własną pracę. Jeśli chcesz zostać malarką, musisz malować. Jeśli zaś naszła cię chęć na flirtowanie, powinnaś wybrać lepszego kandydata. Teraz skupiłaś się na malowaniu. Co z tego, skoro i tak już nie zdążysz przygotować obrazu na Salon? Może następnym razem zachowasz się mądrzej i nie zmitręzysz cennego czasu.

- Berthe... - Édouard przysuwa się z kapeluszem w rękę. - Wczoraj uciekłaś w takim popłochu. Szkoda, że nie zostałam. Wróciłem zaraz po wyjściu Suzanne.

Maluję, choć ręce mi się trzęsą.

- Zostać? Zdaje pan sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by nas odkryła? Jak mogłam tak głupio się zachować?

Kiedy wreszcie wypadłam z pracowni, byłam tak rozdygotana, że nawet nie zapięłam sukni. Owinęłam się tylko peleryną i uciekłam co sił w nogach. W domu poszłam prosto do pokoju i przebrałam się w koszulę nocną, oświadczając *maman* i Edmie, że źle się czuję.

Najgorsze jest to, że choć wczoraj cudem uniknęliśmy katastrofy, nie potrafię zapomnieć. Na ustach wciąż został mi jego pocałunek. Nawet teraz go czuję, gdy Édouard stoi przy mnie, a ja mówię:

- To się więcej nie powtórzy.

Odkładam pędzel, ale nie patrzę na Édouarda. Boję się, że jeśli zobaczę w jego oczach pożądanie, moje szczytne postanowienia wezmą w łeb i sama się pograżę. Tajemne spotkania, ucieczki, lęk przed odkryciem. Drzwi jego pracowni zawsze są otwarte. W każdej chwili ktoś może tam wejść. No i podstawowa przeszkoda: Édouard jest żonaty. Najwyraźniej coś jest ze mną nie w porządku, skoro to jedno mnie nie powstrzymało. To powinna być wystarczająca bariera. Wtedy w ogóle nie doszłoby do tej sytuacji. Nie musielibyśmy ukrywać naszej namiętności ani żyć w ciągłym lęku przed odkryciem - bo nie byłoby czego odkrywać.

- Nie powinnam była zostawać z panem sama w pracowni. Należało wyjść, gdy tylko się dowiedziałam, że mademoiselle Claus się nie zjawi. - Ukrywam twarz w dłoniach. Edma próbuje udawać, że nas nie podgląda. Odwraca wzrok, ilekroć widzi mojej spojrzenie. - Pańska żona z pewnością wszystkiego się dowiedziała.

- O niczym nie wie. I nigdy się nie dowie, co się między nami wydarzyło.

Przypomina mi się dotyk jego dłoni na moim ciele, warg na karku. Przeszywa mnie dreszcz.

- To w ogóle nie powinno było się wydarzyć. A teraz zechce pan się oddalić, monsieur? - syczę lodowatym szeptem, ale głos mi drży.

Édouard zerka na drzemiącą *maman*. Wiem, że panicznie się boi, by się nie obudziła. Ja też. Wystarczy, że moja siostra obserwuje to spotkanie. Dieu *merci*, nikt nie stoi na tyle blisko, by usłyszeć naszą wymianę zdań.

- Berthe, zmiłuj się. Muszę znowu się z tobą spotkać.

- By dokończyć to, co pan zaczął.

- Nie o to chodzi.

- A o co, monsieur?

Za nami rozlegają się kroki. Oglądam się. Widzę wchodzącego do sali Degasa. Milkniemy.

Cudownie. Wprost bosko. Ostatnia osoba, którą chcę zobaczyć.



- Manet? Tak, to ty. Nie jestem zaskoczony. Ostatnio ilekroć cię spotykam, jesteś w towarzystwie mademoiselle Morisot. Hmm... To pani dzieło, mademoiselle?

- Owszem, moje.

W moim głosie brzmi ostrzeżenie. Niech tylko spróbuje skrytykować. Nie jestem w nastroju do wysłuchiwania jego kąśliwych uwag.

Degas podchodzi do sztalug, pochyla się nad płótnem. Po raz pierwszy widzę u niego taki wyraz twarzy. Dałabym głowę, że na widok mojej pracy jego ostre rysy miękną i łagodnieją.

- *Bon. Très bon.* Znakomity. Lepszy niż to, co produkuje większość mężczyzn malarzy. Manet wspominał, że ma pani talent, ale nie spodziewałem się, że aż taki.

- Widzisz? - triumfuje Édouard. - A nie mówiłem?

Ściągam brwi. Wietrzę w tym podstęp. Manet namówił Degasa, żeby przyszedł do galerii i ugłaskał mnie pochlebstwami, w razie gdybym wciąż się dąsała po wczorajszym poranku. Zbiera mi się na mdłości, gdy myślę, że mógł opowiedzieć monsieur Degasowi o naszym rendez-vous, które omal nie zakończyło się wpadką.

- Czy monsieur Manet umówił się tu z panem na dzisiaj? - pytam.

W oczach Degasa znika coś, co można by nazwać szacunkiem, i znów pojawia się drwina.

- Co takiego, mademoiselle? Zerkam na Édouarda. Głaszcz brodę.

- Poprosił pana, żeby?...

Degas nie patrzy na mnie, tylko na moje płótno.

- Jeśli pyta pani, czy chwalilem przy nim pani nadzwyczajny talent malarski, to owszem, robiłem to - mówi Édouard. - Ale wbrew temu, co pani zdaje się sugerować, nie przekupiłem go, by pochwalił pani pracę. On po prostu potrafi docenić talent.

W galerii rozlega się głośnie chrapnięcie. To *maman*. Porusza się, ale się nie budzi.

- Zgłasza pani swoje obrazy do Salonu? - pyta Degas.

- Zgłaszałam już kilkakrotnie, ale w tym roku nie zdążę niczego przygotować.

Powstrzymuję się od spojrzenia na Édouarda, bo to stwierdzenie mi przypomina, ile czasu spędziłam ostatnio w jego pracowni. I jak to się skończyło - że stałam przed nim bez sukni, gotowa na wszystko.

- Cóż, tym gorzej dla jurorów, bo dla pani to żadna strata. Akademia ma zbyt sztywne kryteria oceny. Świat sztuki potrzebuje czegoś więcej niż Salon. Musimy znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy swobodnie wystawiać swoje dzieła, wolni od skostniałych ocen akademików.

- Przecież nie ma alternatywy dla Salonu - mówi Manet.

Degas z namysłem gładzi brodę.

- To samo niektórzy mówili kiedyś o studiowaniu malarstwa. Ale ty, Manet, jesteś najlepszym dowodem, że można być znakomitym malarzem, choć nie pobierało się nauk w szacownych murach École des Beaux-Arts. Wkrótce Salon również będzie niepotrzebny.

Manet parska śmiechem.

- Co? Wierzysz, że zdołasz zmienić oblicze sztuki Paryża?

Degas wygląda, jakby zamierzał splunąć.

- Nie oblicze sztuki, ale podejście do niej. Mielibyście ochotę bardziej szczegółowo o tym porozmawiać?

Manet kręci głową.

- Wystarczająco już podpadłem Akademii, nie zamierzam się na nich porywać.

- Manet, jesteś tchórzem. Mademoiselle, jest pani zainteresowana?

- Chętnie posłucham więcej na ten temat.

Gdyby Degas potrafił się uśmiechać, zapewne teraz by to zrobił. Tymczasem jedynie unosi swoje brwi w kształcie parasolek i kłania mi się.

- Zorganizuję u siebie obiad i przyślę pani zaproszenie. Na razie zaś *au revoir*.

Zostawia nas samych.

- Przyjdzie pani? - pyta Édouard. - Jeśli tak, ja też się zjawię.

- Monsieur Manet, *s'il vous plaît*. - Wstaje. - Wciąż pan nie rozumie? Nie możemy tego kontynuować. Ja nie mogę...

- *Non*, Berthe, *s'il vous plaît*. To pani nie rozumie. Proszę mi wierzyć, nie traktuję lekko tego, co się wczoraj między nami wydarzyło. I w żaden sposób nie umniejszyło to mojego szacunku do pani. Uważam panią za niezwykle utalentowaną artystkę, która - tak się składa - jest również niezwykle piękną kobietą. Nawet jeśli nie połączy nas związek zmysłowy, gorąco pragnąłbym zachować pani przyjaźń jako artystki. Oczywiście jeśli pani się na to zgodzi. Jeśli nie, jeśli gardzi mną pani po wczorajszym spotkaniu, proszę się zastanowić, co pani poczułaby na moim miejscu. Chyba nie żądam wiele. Proszę pamiętać, że zawsze będzie pani mile widziana w moim domu i w pracowni. Życzę miłego dnia, mademoiselle.

\*

Trzy dni później razem z *maman* pojawiają się na obiedzie u Degasa. Znowu stają twarzą w twarz z Édouardem. Nie spodziewałam się, że przyjdzie. A jednak stawił się i to mnie cieszy.

Degas skrzyknął przyjaciół, z którymi regularnie dyskutuje na te tematy w Café Guerbois. Tym razem, ze względu na mnie, spotkali się w domu. Nie wypada bowiem, żeby dama zjawiała się w kawiarni. I tak musiałam się napocić, zanim udało mi się przekonać *maman*, że nie ma nic zdrożnego w obiedzie w towarzystwie sześciu dżentelmenów.

Właściwie nie rozumiem tej troski o moją kobiecą wrażliwość. Przecież u Degasa będziemy rozmawiać dokładnie o tym samym, o czym rozprawiają w Café Guerbois. Co miałyby mnie urazić? Chyba pewnego dnia wybiorę się do kawiarni - dla samej przyjemności wkroczenia tam.

Albo nie. Kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, uświadamiam sobie, że wcale mnie do kawiarni nie ciągnie. Tak czy owak, zebraliśmy się u Degasa - siedmioro malarzy i biedna, nieco zagubiona *maman* - by rwać włosy nad oplakany stanem artystycznej *communauté*\* Paryża i zastanawiać się, jak my, grupka kompletnie nieznanych twórców razem z jednym zdeklarowanym buntownikiem, możemy zmienić świat.

\* (Franc.) społeczności.

Nie jestem dobrej myśli.

Oprócz Édouarda i Degasa przy stole siedzą Camille Pissarro, Frédéric Bazille, Auguste Renoir, których zupełnie nie znam, oraz Claude Monet, które nazwisko zapamiętałam, gdy kilka lat temu na Salonie omyłkowo wzięto go za Édouarda.

- Manetowi nie pochlebiało, że niedorostek próbował pozbawić go sławy awangardzisty - opowiada Degas, gdy siedzimy przy stole, racząc się parującą zupą z porów i ziemniaków. - A najbardziej się odał, kiedy o jakichś tam pejzażach Moneta zrobiło się głośniejsze niż o jego kolejnym skandalizującym dziele.

Monet burczy pod nosem na „jakieś tam pejzażyki”, ale potem przyłącza się do ogólnej wesołości. Édouard tylko wznosi oczy ku niebu. Ciekawe, czy nie poczuł się urażony, że został uznany za starca, skoro jest tylko o dziesięć lat starszy od Moneta.

- Serce rośnie, gdy się na was patrzy - odzywa się po chwili. - Wykorzystujecie moje stare zagrywki, by pokonać system jego własną bronią. Jestem z was dumny.

- A my jesteśmy dumni, że zmieniłeś zdanie i dzisiaj do nas przybyłeś - odpowiada Pissarro. - Kiedy Degas powiedział, że odrzuciłeś zaproszenie, pomyślałem, że z buntownika zmieniłeś się w oportunistę. Ale jednak przyszedłeś. To znak, że nigdy nie wolno tracić nadziei.

Édouard zerka na mnie ukradkiem. W żołądku mi wiruje. Nadzieja? Być może.

Rozmowa toczy się dalej. Prawie nie jem. Jego obecność sprawia, że mój brzuch zamienia się w twardego kłębek nerwów.

Édouard zachowuje się bardzo sympatycznie. Przysiada się do mnie, zagaduje, wciąga do rozmowy. To silniejsze ode mnie - naprawdę wierzę, że nie kłamał, gdy oferował swoją przyjaźń, choć ja wtedy potrafiłam myśleć tylko o tym, że nie może zostać moim kochankiem. Teraz nabieram pewności, że pragnie być moim przyjacielem. Gdyby chciał się pochwalić podbojem, dawno by to zrobił i

mężczyźni, z którymi siedzę teraz przy stole, nie traktowaliby mnie z szacunkiem należnym koleżance po fachu.

To, co się między nami wydarzyło, pozostanie naszą tajemnicą. Przez co - przynajmniej w moich oczach - nabiera jeszcze większej wartości.

- Sztukę, którą przedstawiają w Salonie, tworzą wytresowane małpy - mówi Monet, kiedy Zoë, gosposia Degasa, podaje tartę jabłkową. - Jeden naśladuje drugiego, każdy boi się namalować coś nowego.

- To prawda - przytakuje Renoir. - Nawet krytycy przyznają, że lepsze obrazy są wystawiane przez Salon Odrzuconych niż właściwy Salon. Kiedy ostatni raz widzieliście tam prawdziwie oryginalne dzieło?

Édouard odchrząka.

- Salon w 1863 roku, płótno zatytułowane „Śniadanie na trawie”.

Uśmiecha się do mnie i odchyła się w krześle, kładąc na kamizelce otwarte dłonie.

- Tak, to przynajmniej było coś nowego, nowoczesnego, choć krytycy potępili cię w czambuł - przyznaje Degas. - Od czasów Delacroix i Ingresa nie wystawiono tam niczego wartego zainteresowania. Musimy potrząsnąć środowiskiem. Malować inaczej.

- Inność dla samej inności? To takie wydumane - wtrącam się i od razu żałuję tych słów.

- Niezwykle celna uwaga - chwali Édouard. - Musicie być wierni sobie. Jeśli malujesz packi jak małpa tylko po to, by się odróżnić, jesteś niewiele lepszy od małpy, która maluje pod dyktando akademików.

- Moim zdaniem wszystko sprowadza się do kwestii nowoczesności. - Jak na milczka Bazille ma zaskakująco donośny głos. - Najwyższy czas zerwać okowy przeszłości i wprowadzić nowoczesną sztukę godną nowoczesnego świata. Musimy iść naprzód, zamiast żyć przeszłością.

# Rozdział 11

*Chcę tobą oddychać nie chodzi o woń perfum ani nawet siodła  
zapach twojej skóry ale o samo powietrze chcę dzielić się twoim powietrzem  
wdychać to co ty wydychasz właśnie o taką bliskość  
mi chodzi my dwoje oddychający sobą jak jedno ciało*

James Laughlin

**Styczeń 1869**

Wiedziona impulsem kieruję się do pracowni Édouarda. Nie widziałam go od dwóch tygodni, od spotkania w domu Degasa. Dotrzymał obietnicy, decyzję o spotkaniu pozostawił mnie. Od kiedy przestaliśmy się widywać, czuję w sobie pustkę. Ponad miesiąc widywałam go niemal codziennie. Nic dziwnego, że tęsknię.

Postępuję dość nierozważnie, zjawiając się sama, niezapowiedziana. Niewykluczone, że go nie zastanę albo będzie miał gości. Decyduję się jednak na to ryzyko, bo nie znam spokoju, póki go nie zobaczę. Jeśli go zastanę, będzie to znaczyło, że los chciał, by doszło do tego spotkania. Jeśli nie - cóż, odwrócę się i pójdę.

Stawiam kołnierz płaszcz, głębiej wsuwam dłonie w mufkę. Powóz toczy się bulwarem Mallesherbes. Zdaje się, że gdzieś w pobliżu jest Café Guerbois. Kusi mnie, by kazać fiakrowi obok niej przejechać, lecz przenikliwe zimno i płatki śniegu, które pojawiają się za szybą, zniechęcają mnie do tego pomysłu. Chętnie zajrzałabym do tej męskiej enklawy, ale muszę to odłożyć na inną okazję. *Maman* choruje. Wzięłam powóz, żeby przywieźć dla niej lekarstwo z miasta. Nie miał mi kto towarzyszyć, więc pojechałam sama.

Apteka znajduje się tuż obok pracowni Édouarda. Pokusa okazuje się zbyt silna. Zajrzę dosłownie na chwilę, by udowodnić, że nie mam do niego pretensji o to, co się wydarzyło przed dwoma tygodniami.

Na samo wspomnienie żar zalewa mi kark. A przecież kiedy wysiadam z powozu, z moich ust dobywają się białe obłoczki pary.

Nie daję sobie czasu na namysł - i otrzeźwienie - tylko szybko pokonuję czterdzieści osiem stopni i staję u drzwi atelier.

Stukam i chowam zmarzniętą rękę w mufce. Zaczynam żałować swojej impulsywności, ale jest już za późno. Drzwi otwierają się błyskawicznie, jakby się kogoś spodziewał albo wychodził - ale, och... Ten wyraz twarzy, gdy dociera do niego, że to ja stukłam.

- *Bonjour* - witam go. - Właśnie pan wychodzi? Wstąpię innym razem.

Rękawy białej koszuli ma podwinięte do łokci, a na przedramieniu widać smugę karmazynowej farby. Dziwię się, jak można ubrać się tak lekko w tak chłodny dzień. Ale do twarzy mu w tym. Nawet w tym swobodnym, roboczym stroju wygląda *magnifique*\*.

\* (Franc.) wspaniale.

- Choćbym miał audiencję u samego Napoleona, teraz już bym nie poszedł. Zapraszam, mademoiselle. Proszę do środka. Och, jakże się cieszę, że panią widzę. Da pani wiarę, że dosłownie przed chwilą o pani myślałem?

- Zwykle pochlebstwo.

- Bynajmniej. Szczera prawda. Od kiedy zobaczyłem panią przy stole u Degasa, piękniejszą od róż, które tam stały, nie mogę przestać o pani myśleć.

Uśmiecham się i walczę ze sobą, by nie dać się porwać jego pochlebstwom. Czy jednak można obojętnie przyjmować takie deklaracje?

Kłania się i wyciąga rękę, zapraszając do wejścia. Wchodzę i w tej samej chwili czuję, jakby wreszcie zabiłniała się dawno zadana rana.

W pracowni panuje przenikliwy chłód. Wzdrygam się, nie wyjmuję dłoni z muffki.

- Dlaczego nie napali pan w piecu? Przeziębi się pan. *Maman* jest bardzo chora. Dlatego dziś wzięłam powóz i przyjechałam po leki dla niej.

Stoi z niedowierzającym uśmiechem, wreszcie mruga powiekami, jakby zbierał myśli.

- Przykro mi z powodu choroby pani matki. Jeśli jest pani zimno, rozpalę ogień.

- Och, nie. Proszę nie robić sobie kłopotu.

- To żaden kłopot, zapewniam. Zwykle o tej porze od dawna jest już rozpalone, ale dopiero co wróciłem.

- Wyjeżdżał pan?

- Do Boulogne. Rodzina wciąż tam przebywa.

- Rozumiem. Serce mi dudni.

- Wróciłem, bo mam mnóstwo pracy.

W duchu triumfuję, bo pamiętam o cichym zakładzie, jaki przed chwilą zawarłam z przeznaczeniem. Zastałam Édouarda, więc los nam sprzyja. Tak niewiele brakowało, byśmy się minęli. Gdybym przyszła wczoraj albo jutro, mogłabym go nie zastać. Pochyla się nad *poêle*\*, ja zaś wodzę wzrokiem po pracowni, szukając znajomych elementów.

\* (Franc.) piecyk.

Atrapa balkonu nadal stoi. To mnie cieszy, bo mogę sobie wmawiać, że Édouard nie potrafił się z nią rozstać. Choć z drugiej strony nie minęło wiele czasu, od kiedy pracował nad obrazem. Od kiedy ostatni raz tu byłam. Wzrok sam wędruje ku parawanowi i żołądek mi się ściska na wspomnienie tego, co się za nim wydarzyło. Odwracam oczy.

- Jak postępują prace nad obrazem z balkonem? Pewnie jest już gotowy?

- Prawie. Chciałaby pani go zobaczyć? Potakująco kiwam głową.

Nie przestając rozpalać ognia, wskazuje obraz stojący na sztalugach w głębi pracowni.

Z tej odległości nie dostrzegam większych zmian w tym, jak przedstawił Fanny Claus i monsieur Guillemeta. Natomiast moje rysy i postać zostały z pietyzmem wyczyszczane.

Cóż, dobrze tak tym dwojgu. Mają za swoje. Trzeba było nie zostawiać Édouarda w połowie pracy nad obrazem. Krew szybciej mi pulsuje, gdy uświadamiam sobie, ile czasu musiał spędzić na doskonaleniu mojego wizerunku. Nie potrafię też powstrzymać się od zgadywania, o czym myślał, kiedy mnie malował.

Twarz staje mi w ogniu na samo wspomnienie.

I oto znów tu jestem. Wróciłam.

Odkładam mufkę na otomanę i zaczynam rozwiązywać czepek, kiedy dostrzegam coś kątem oka.

Ustawiony dołem do góry, oparty o ścianę portret... Przekrzywiam głowę. Suzanne i...?

Mrużę oczy, podnoszę nieduży obraz. Ma najwyżej siedemdziesiąt centymetrów szerokości, wysokości jeszcze mniej. To rzeczywiście Suzanne. Okropnie przedstawiona - z profilu, przy fortepianie, szersza niż dłuższa, wszystkie trzy podbródki. Kwintesencja zapuszczonej, nieatrakcyjnej kury domowej.

Jeszcze bardziej szokująca jest postać namalowana tuż za nią. Ustawiam obraz właściwie, żeby dokładniej się przyjrzeć. To Édouard. Siedzi na otomanie wyraźnie znudzony, z pustym wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

Obraz jest naprawdę dziwny, a ja czuję się co najmniej niezręcznie. Zupełnie jakbym wpakowała się w sam środek kłótni.

- Robota Degasa - mówi Édouard.

Nie ukrywa niezadowolenia. Nie wiem tylko, co je wywołało: niepoehlebny wizerunek czy moje wścibstwo.

- Jegomość ma tupet - mruczy, zatraskując drzwiczki piecyka.

Zastanawiam się, jak zakwalifikować obraz. Czy Degas - zgodnie z postulatami, jakie on i jego towarzysze głosili niedawno przy stole - próbuje ukazać nowoczesność i walczy z idealizowaniem życia w sztuce? A może po prostu tak postrzega małżeństwo Manetów?

Podejrzewam, że to drugie. Tylko to tłumaczy gwałtowną reakcję Édouarda. Zwłaszcza że obraz był prezentem.

Już chcę się skupić na pierwszej interpretacji i zacząć dyskusję o marzeniu Degasa i Moneta, by wystawiać poza Salonem, kiedy Édouard wyrywa mi obraz z rąk. Chwyta pędzel i z furią zamalowuje ochrą prawy górny róg obrazu. Pod farbą znika fortepian i twarz Suzanne. Co zaskakujące, zostawia sylwetkę żony i siebie rozpartego ze znudzoną miną na otomanie. Skrupulatnie omija też podpis Degasa w dolnym prawym rogu.

- Gotowe - oznajmia, skończywszy. - To go oduczy.

Milczę wstrząśnięta. Édouard zdejmuje ze ściany martwą naturę ze szparagami i wiesza na tym miejscu portret Degasa. Przypatruję się temu oszołomiona, nękana wyrzutami sumienia. Zjawiłam się tu, kusząc los, choć wiedziałam, że nie powinnam była.

- Pójdę już.

Zabieram mufkę i ruszam do drzwi.

- Niech pani zostanie jeszcze chwilę. Proszę.

Waham się. Pierwszy raz widzę go w takim stanie: nieprzewidywalnego, rozwścieczonego. Jestem przerażona. Boję się zostać.

Musi czytać w moich myślach, bo mówi:

- Przepraszam. Degas doprowadza mnie do furii. Czasem przekracza granice dobrego smaku.

Czar prysnął. Jego gniewna tyrada odpędziła wszelkie nieskromne myśli i pragnienia. Stoję więc w czepku i płaszczu, trzymając mufkę, podczas gdy on nalewa herbatę.

- Niech pani usiądzie. Wiem, że nie ma pani wiele czasu, bo spieszy się do chorej *maman*, ale proszę poświęcić mi jeden kwadransik.

Zdejmuję czepkę i płaszcz, przysiadam na czerwonej otomanie. Spódnica układa się wokół mnie niczym biała chmura. Obracam się ku niemu, by kontynuować rozmowę.

- Niech się pani nie rusza - zatrzymuje mnie, sięgając po szkicownik.

Szybko robi parę kresek, potem zrywa się, szpera w szufladzie biurka i wyjmuje czerwony wachlarz - ten sam, który trzymałam, pozując do „Balkonu”. Podaje mi go. Odsuwa się, potem przykłęka i układa spódnicę tak, by odsłonić czarny pantofel.

- Co pan wyprawia?

Próbuję schować nogę, ale chwyta ją i trzyma w pozycji, w której wcześniej ją ustawił.

- Proszę się nie ruszać. Chcę panią namalować właśnie tak.

- Édouardzie, muszę wracać do...

- Wiem. Dosłownie parę chwil. Tylko żebym zdążył naszkicować.

Nie potrafię mu odmówić. Szkicuje, a ja próbuję zmienić ton rozmowy na lżejszy i zabawiam go towarzyską konwersacją.



- Zapomniałabym się pochwalić. Moja siostra, Edma, się zaręczyła.

Uśmiecha się.

- Naprawdę?

- Zdaje się, że zna pan jej narzeczonego. To Adolphe Pontillon.

- Pontillon? Żartuje pani? Toż to mój stary towarzysz z marynarki!

- Oświadczył się tydzień temu. Spodziewaliśmy się, że zrobi to wcześniej, ale jego statek na miesiąc wyszedł w morze. Teraz w domu nie mówi się o niczym innym jak o ślubie.

- Na kiedy zaplanowano tę wielką chwilę?

- Na koniec lutego albo początek marca. Jeszcze nie ustalili daty. Przypuszczam, że z chwilą zamążpójścia Edma wycofa się z nurtu sztuki nowoczesnej. Degas i jego przyjaciele będą musieli się z tym pogodzić.

Wypowiedziawszy zakazane nazwisko, nieruchomieję z przerażenia. Oby tylko Édouard znowu nie wpadł w furję.

- Dlaczego się wycofa? - pyta spokojnie.

- Po ślubie zrezygnuje z malarstwa.

- Jak to? Dlaczego chce zmarnować tak wybitny talent?

Niezliczone razy zadawałam sobie to samo pytanie i cieszę się, że Édouard myśli dokładnie tak samo jak ja.

- To znaczy, że pozwoliliby pan żonie malować?

- Moja żona nie jest malarką, więc nie potrafię odpowiedzieć. Gdyby jednak malowała, uznałbym za swój obowiązek stać się dla niej największym źródłem inspiracji. - Unosi brwi. - Źle by to świadczyło o mnie jako mężu, gdybym jej nie zachęcał.

Ta deklaracja to tylko przygrywka - ostrzega Olimpia. Cnotka ją ignoruje.

Édouard zatrzymuje wzrok na mojej twarzy. Nieruchomieję z węglem w dłoni.

- Wygląda pani tak... tak pięknie... w tej białej sukni przewiązanej czarną tasiemką... z zaróżowionymi policzkami i potarganymi włosami. Właśnie taką chcę panią zapamiętać.

Widzisz? Widzisz? - mówi Olimpia.

Krew dudni mi w żyłach. Świat znika i zostajemy tylko my dwoje. Rozkoszuję się tą chwilą, nasyconą zmysłowością.

- Teraz, gdy już pani nie zawłaszczam, wróciła pani do malowania?

- *Oui*. Cały czas poświęcam kopiowaniu mistrzów w Luwrze, ponieważ i tak nie zdążę przygotować niczego na Salon.

- Nonsens. Jeśli weźmie się pani do pracy, na pewno zdąży przygotować dla jurorów prawdziwe cacko.

- Wątpię. W domu wszystko kręci się wokół ślubu Edmy.

Marszczy czoło.

- Nikt nie powinien odciągać pani od malarstwa.

Unoszę brwi i powstrzymuję się od uwagi, że w moim życiu wszystko kręci się wokół niego. Wybucha śmiechem.

- Zauważyłem tę minę. Przyganiał kocioł garnkowi, tak? Oburzam się, że inni odrywają panią od malowania, a równocześnie sam to robię. Wiem, że ma pani mało czasu na pracę i liczy się dla pani każda chwila. Rzadko jednak się zdarza, by kobieta aż tak mnie oczarowała, że cały świat przestaje się liczyć.

A nie mówiłam? - triumfuje Olimpia.

W żołądku czuję jakby trzepotanie ptasich skrzydeł.

- Nie musi pan robić sobie wyrzutów. Gdyby wzywało mnie malowanie, nie siedziałabym tu teraz.

Uśmiecha się.

- Zatem pani siostra wychodzi za mąż - odzywa się, jakby myślami błądził gdzie indziej. - A pani?

Mówi to tak niewyraźnie, że w pierwszej chwili nie rozumiem.

- *Pardon?*

- Ma pani na horyzoncie jakiegoś narzeczonego?

- *Moi?* Czy wychodzę za mąż? Ależ skąd!

- Ogromnie mnie to cieszy.

Nie podoba mi się jego uwodzicielski uśmiech. To nie w porządku. Nie powinien tego robić. Budzi we mnie uczucia, o których musimy zapomnieć, jeśli mamy rzeczywiście pozostać przyjaciółmi.

- Czemuż to tak cieszy pana świadomość, że nie oddam ręki innemu, Édouardzie?

Nie odpowiada. Nie podoba mi się bieg, jaki przybrała ta rozmowa.

- Pójdę już.

- Jeszcze moment. Proszę,

Nie potrafię zostać i udawać, że to zwykła, kurtuazyjna wizyta, ale nie potrafię też po prostu wstać i wyjść. Siedzę więc w milczeniu, podczas gdy on spogląda to na mnie, to na kartkę. Nagle jego spojrzenie zatrzymuje się na mnie na dłużej.

- Wiesz, że oni wszyscy za tobą szaleją - odzywa się po chwili.

- *Pardon?*

- Zwłaszcza Degas. Czulem, co naprawdę go tu sprowadziło, kiedy przyszedł oglądać szkic „Balkonu”. I potem, kiedy przyniósł tamto paskudztwo. - Ruchem głowy wskazuje zamalowany obraz na ścianie. - Miej się przed nim na baczności, Berthe.

Ciekawe. Dokładnie to samo Degas powiedział o nim - odzywa się cnotka.

- Wciąż jesteś zły na niego za ten obraz, Édouardzie. To nie ma nic wspólnego z moją przyjaźnią z Degasem. Proszę, nie doszukuj się w tym Bóg wie czego.

- Zgadzam się, że obraz nie powinien mieć z tobą nic wspólnego, a jednak ma. Namalował mnie z Suzanne, żeby przywołać mnie do porządku, przypomnieć, gdzie moje miejsce.

- I słusznie. Ty masz żonę, Degas i ja jesteśmy wolni. Przyjaźnimy się. Nawet jeśli sprawia wrażenie gburowatego, jest uroczy jak kociątko.

Édouard z trzaskiem rzuca szkicownik.

- To największy mizogin pod słońcem i choć się w tobie kocha, nie potrafi tego właściwie okazać, a tym bardziej kochać cię tak, jak na to zasługujesz.

- Doprawdy, Édouardzie? Zechcesz wyjaśnić, na jaką miłość zasługuję?

Chwyta mnie za rękę i ciągnie w górę. Stajemy twarzą w twarz. Przez chwilę wydaje mi się, że mnie pocałuje, ale tego nie robi. Zamiast ulgi czuję zawód, bo obudził we mnie coś, co nie chce już zasnąć, co domaga się czegoś więcej, coś, czego nie zadowolą schadzki, gdy wygłodzeni będziemy padać sobie w ramiona, równocześnie bojąc się, czy ktoś nie odkryje naszego sekretu.

- Nie wolno nam - mówię cicho. On jednak ani mnie nie wypuszcza, ani sam się nie odsuwa. - Nie chcesz mnie, a zarazem nie zgadzasz się, bym była z kimś innym. To nieludzkie i okrutne, Édouardzie, bo ja naprawdę zasługuję na miłość.

# Rozdział 12

*Wszystko, co było, nie jest;  
wszystko, co będzie, jeszcze nie jest.*

Alfred de Musset

**Luty 1869**

Najdroższa Berthe!

Nigdy przedtem nie musiałam pisać do Ciebie listu. Nic zatem dziwnego, że bardzo boleśnie przeżyłam nasze pierwsze rozstanie. Powoli wracam do siebie. Mam tylko nadzieję, że mój mąż się nie domyśla, jaką pustkę odczuwam bez Ciebie. Jest bardzo kochany. Pełen uwagi, niezwykle troskliwy. Proszę, ciesz się moim szczęściem.

Twoja kochająca

Edma

Najdroższa Edmo!

Jeśli tak dalej pójdzie, obie zmarniejemy. Ty płaczesz nad moimi listami, ja dziś popłakałam się nad Twoim. Piszesz z wielką czułością, ale i melancholią. To nie jest zdrowe. W ten sposób jedynie tracimy resztki młodości. Dla mnie to bez znaczenia, ale nie dla Ciebie.

Ten obraz, praca, nad którą tak płaczesz, wszystkim przyniosła tylko kłopoty i cierpienie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Głowa do góry, mogłaś gorzej trafić. Darzysz męża przywiązaniem, a on poza Tobą świata nie widzi. Nie złorzecz swemu losowi. Pamiętaj, samotność zawsze rodzi smutek. Wbrew temu, co się mówi, kobieta odczuwa olbrzymią potrzebę czułości. Nie potrafi zamknąć się w sobie, to nie leży w jej naturze.

Och, znów wygłaszam Ci kazanie! Nie chciałam. Mówię tylko, co czuję; co wydaje mi się prawdziwe.

Ściskam cię mocno

Twoja siostra Berthe

## Marzec 1869

Próbuję sobie wmawiać, że Edma tylko wyjechała na wakacje, ale to nie skutkuje. Wciąż jestem przygnębiona.

Édouarda nie widziałam od tamtego chłodnego styczniowego dnia, gdy odwiedziłam go w pracowni. Nie szukał mnie, by zapewnić o swojej przyjaźni. Ja tym bardziej nie zamierzałam szukać go tylko po to, by powiedzieć, że nasz związek nie ma przyszłości. Zresztą bałabym się zostać z nim sam na sam. Poza tym nie będę się przecież narzucała mężczyźnie, który mnie nie pragnie. Może to i lepiej, że mam miliony spraw do załatwienia, ważne obowiązki, które zaniedbałam, pomagając siostrze w przygotowaniach do ślubu z Adolphe'em.

Po uroczystościach weselnych nie mam siły ani ochoty na kolejny wieczorek. Zwłaszcza jeśli mam u boku *maman* podejmować Édouarda, jego rodzinę oraz trzydziestkę pozostałych gości.

Niestety, *maman*, której udało się szczęśliwie wydać za mąż drugą córkę, tryska entuzjazmem. Najwyraźniej nie zamierza spocząć na laurach, póki nie wyda i trzeciej. Aby zwiększyć moje szanse, postanowiła otoczyć mnie wianuszkami odpowiednich jej zdaniem kandydatów. Dlatego zaprosiła każdego kawalera, o którym choć raz wspomniałam - w tym także Eugène'a Maneta. A rozszerzyła zaproszenie na Édouarda, Suzanne i madame Manet. Zjawili się wszyscy czworo.

A także Degas, Pierre Puvis de Chavannes, Fantin (który wciąż leczy złamane serce po utracie Edmy) i wielu nieżonatych kolegów papy z ministerstwa.

Trzeba mamie przyznać, że gra uczciwie. Zaprosiła dokładnie tyle samo interesujących przedstawicieli artystycznej braci, co nieciekawych urzędników i przedsiębiorców, którzy potrafią mówić wyłącznie o przemyśle oraz finansach, nieodmiennie wywołując u mnie nagły napad senności. Te tematy ani trochę mnie nie pociągają.

Bez mojej kochanej siostry nie wiem, co ze sobą począć, więc zaszywam się w kuchni i pomagam Amélie.

*Maman* zaplanowała nieformalne przyjęcie. Napoje i zakąski, przy których przygotowaniu Amélie urobiła się po łokcie. Jedyna pocięcha, że nie jest to oficjalna kolacja. Wciąż jednak nie potrafię zrozumieć, dlaczego *maman* po prostu nie odpuści.

Wchodzi do kuchni, odstawia dwie puste karafki i zaczyna wydawać rozkazy.

- Amélie, kończą się kanapki. Trzeba też dolać do karafek. Bądźże czujniejsza, to skandal, żeby były opróżnione do dna i żeby goście musieli prosić o jedzenie i picie!

Nieszczęsna dziewczyna wsuwa blachę do piekarnika, grzbietem dłoni ociera pot z czoła i zaczyna nakładać na talerz przekąski.

- Berthe, dlaczego siedzisz w kuchni, zamiast podejmować gości?

Przelewam wino do karafki.

- Bo wolę towarzystwo Amélie od trzydziestu najbliższych przyjaciół, których na dziś zaprosiłaś. *Maman*, po szaleństwie przygotowań do ślubu Edmy mam po dziurki w nosie przyjąć!

- Ten wieczorek zorganizowałam wyłącznie z myślą o tobie - ucina. - Bądź łaskawa wrócić do bawialni i podejmować gości. Może ty też zdobędziesz męża. Zaprosiłam mnóstwo odpowiednich kandydatów. Na pewno znajdzie się wśród nich ktoś, kto zdobędzie twoje serce.

O, gdybyś wiedziała, mamo! Z trudem się powstrzymuję, by nie powiedzieć tego na głos.

- Nie szukam męża, *maman* - odpowiadam tylko. - Nie będę nawet myślała o ślubie, dopóki się nie zakocham.

Amélie z trzaskiem zamyka piekarnik.

- Wierz mi, roztropniej wybrać kompromis i małżeństwo niż niezależność i upokarzające staropanieństwo - odparowuje *maman*. - Za kilka lat stracisz urodę i ani się obejrzysz, jak grono twoich przyjaciół się skurczy. Dziś wciąż jeszcze możesz wybierać, żaden z tych mężczyzn ci się nie oprze.

Innymi słowy, róża powoli przekwita. Powinam dać się zerwać, póki jeszcze nie opadły wszystkie płatki.

- Idź - ponagla mnie. - Nie przywitałaś się z Manetami. Proszę, zdobądź się na ten wysiłek.

Kiedy wchodzę do bawialni, oczy moje i Édouarda natychmiast się spotykają. Mama miała rację. Nawet się do niego nie odezwałam. Nie tak zachowuje się przykładna pani domu.

Jakiś nieznany mi młody mężczyzna - prawdopodobnie ktoś z biura papy - energicznie gra na fortepianie koncert Mozarta. Ruszam w stronę Manetów, gdy zauważam Degasa.

Świetnie. Porozmawiam z nim zamiast z nimi. Przykładna pani domu nie koncentruje się na jednej osobie, dopóki nie zamieni przynajmniej kilku słów ze wszystkimi. Ale podejmowanie gości - tak jak polowanie na męża - nie jest moją najmocniejszą stroną. Nie mam siły ani ochoty podchodzić do każdego i zabawiać kurtuazyjną rozmową. Wybiorę dłuższą rozmowę z Degasem, którego cięte poczucie humoru coraz bardziej cenię. On przynajmniej dostrzeże ironię w żalonych próbach *maman*, która robi wszystko, by wydać mnie za pierwszego kawalera, jaki się nawinie.

Zerkam ukradkiem na Édouarda, który wciąż stoi przy drzwiach, rozmawiając z Fantinem. A więc uważa, że Degas za mną szaleje?

Dawno nie słyszałam większej bzdury.

- *Bonsoir, monsieur*.

Degas wstaje.

- *Bonsoir, mademoiselle*. Jakże się cieszę, że dziś panią widzę. Tuszę, że zdrowie pani dopisuje?

Rozmawiamy o pracy, ślubie Edmy oraz o postępach, jakie on i Monet czynią w organizowaniu wystawy niezależnej od Salonu.

- Największym problemem okazuje się znalezienie galerii, która zgodzi się użyczyć nam gości-ny. Na razie wszyscy odmawiają.

- Teraz, gdy już uspokoiło się zamieszanie po ślubie siostry, może będę mogła jakoś was wesprzeć.

- Bylibyśmy niezwykle wdzięczni.

Z kieszeni wyjmuje długi, wąski przedmiot. Wachlarz.

- Przyniosłem pani upominek.

Rozkładam. Okazuje się, że nie jest to zwyczajny wachlarz. Akwarelami i brązowym atramentem z pietyzmem namalowano na nim grupę hiszpańskich tancerek i muzyków.

- Pan to malował?

- Tak. - Przysuwa się do mnie, w czym nie ma nic nieprzyzwoitego, i pokazuje konkretną postać. Czuję, że Édouard bacznie się nam przygląda. - Tutaj przedstawiłem romantycznego poetę, Alfreda de Musseta. Słyszała pani o nim, prawda?

- Pisarz. Łączył go ognisty romans z George Sand.

- Zgadza się. To ona.

Wskazuje sylwetkę naprzeciwko de Musseta.

Upominek od Degasa mnie zaskakuje. Dlaczego namalował akurat tych dwoje? Oczywiście, odpowiedzi nasuwa się mnóstwo. To aluzja do moich uczuć... Ale skąd by o nich wiedział? A może chodzi o jego uczucia. Zastanawiające, jak bardzo on i Manet dziś się omijają.

- Rozmawiał pan już z monsieur Manetem i Suzanne?

- Nie. - Nadyma się jak ropucha. - Nie uważam go już za przyjaciela.

- Jak to? Co się stało?

- To barbarzyńca, niewdzięcznik! *Quelle horreur!*\* Dałem mu prezent, a on go zbezczescił! Podarowałem mu portret jego rodziny, który własnoręcznie wykonałem. Idę do jego atelier i co widzę? Zamalował go!

\* (Franc.) Co za potworność!

Nie przyznaję się, że widziałam, jak Édouard to robił. Boję się też zapytać o ukryte znaczenie portretu na wachlarzu. Och, Degas, cóż takiego próbujesz dać mi do zrozumienia? Uderzam wachlarzem o rękę.

- Niech pani na niego uważa - ostrzega Degas. - Manet to zdrajca. Jest niestały, zmienny jak wiatr. Nie można mu ufać.

Stawia mnie w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Nawet jeśli unikam Édouarda, obu ich uważam za przyjaciół.

- Monsieur Manet jest dżentelmenem.

- Niechże pani się wreszcie obudzi, mademoiselle. Jego gra jest przejrzysta jak ten kryształowy żyrandol. Biedakowi wydaje się, że nikt nie przejrzy jego planów. Myli się.

- *Bonsoir*, Degas. Czyżbyś wzywał imienia mego nadaremno?

Obok nas staje uśmiechnięty Édouard. Oddycham z ulgą - teraz może bronić się sam, jeśli Degas nadal będzie się na nim wyżywał. To zadanie nie spadnie już na mnie.

Degas ciągnie, jakby Édouard w ogóle się nie odezwał.

- Twierdzi pani, że Manet jest dżentelmenem? Od kiedy? Czyżby niespodziewanie pojawił się u niego kręgosłup moralny? - Odwraca się, udając zaskoczenie. - A, Manet, to ty. - Jest wściekły, a po wybuchu, którego świadkiem byłam w pracowni, boję się, że dojdzie do bójki. - Gratuluję intuicji, monsieur. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

- Doprawdy? - Édouard ujmuje moją dłoń i patrząc mi w oczy, unosi do ust. - Mademoiselle, jakże się cieszę. Tak dawno się nie widzieliśmy.

- Monsieur - odpowiadam oficjalnie. Wypuszcza moją rękę i stuka w wachlarz.

- Uroczy. Prezent od wielbiciela?

- Gorącego wielbiciela. - Degas mruczy jak kot. - Ręcznie malowany specjalnie dla panienki.

Tembr jego głosu sprawia, że po plecach przebiegają mi zgoła nieromantyczne ciarki. Szeroko otwieram oczy i odwracam się od Degasa.

- Jak się pan miewa? - pytam Édouarda.

Jego oczy ciemnieją, gdy mierzy wzrokiem Degasa, na którego twarzy zagościł denerwujący triumfalny uśmiezek.

- Doskonale, *merci*. Mam mnóstwo pracy, ale nie mogę narzekać.

- Nie wątpię - wtrąca się Degas. - Ja też bym nie narzekał, gdybym co dzień gościł w pracowni śliczną mademoiselle Gonzalès. Jak idzie praca nad jej portretem?

Édouard sztywnieje.

- Dobrze.

- Nowe zamówienie? - pytam.

- Nie - odpowiada Degas. - Nowa uczennica. Do tego śliczna i młoda.

Robi mi się słabo.

- Sądziłam, że jest pan zbyt zajęty, by uczyć. Édouard wzrusza ramionami.

- Bo tak zwykle jest.

- Chyba że jest się młodą panną obdarzoną temperamentem i eteryczną urodą - dorzuca Degas.

Édouard traci rezon.

- Po raz pierwszy zgodziłem się przyjąć uczennicę. Jest córką Emmanuela Gonzalès, dramaturga. Znamy się dobrze i poprosił mnie jako przyjaciela, bym udzielał jej lekcji. Dziewczyna ma za datki na malarkę.



Degas śmieje się ironicznie.

- Zapomniałeś wspomnieć, że ma też dwadzieścia lat i nadzwyczajną urodę. Zwłaszcza te wielkie... - zaczyna rysować w powietrzu jej piersi, ale przypomina sobie, że obok stoi kobieta, i przenosi rękę na wysokość oczu - ...olbrzymie brązowe oczy, w których po prostu zatonałeś. Och, i do tego taście królewska wyniosłość. Właściwie trudno się dziwić. Przywykła, że wszyscy padają jej do stóp. Zgadza się, Manet?

Édouard się nie uśmiecha. Wygląda, jakby się z trudem powstrzymywał, by nie rzucić się na Degasa.

Teraz przy fortepianie siedzi tłusta Suzanne. Z przymkniętymi oczami, jakby zapomniała o całym świecie, gra Chopina. Nie potrafię zdecydować - jest głupia czy ślepa? A może tak wygodnie się umościła w swoim świątku, że postanowiła nie reagować na to, co robi mąż.

Degas i Édouard zaczynają mnie nużyć. Może im ta wymiana ciosów sprawia przyjemność. Niestety, każde uderzenie odbija się od tarczy i trafia mnie prosto w serce. Mam dość roli idiotki. Przebrała się miarka!

- *Excusez-moi, messieurs\**.

\* (Franc.) Panowie wybaczą.

Wymykam się na taras i uciekam do pracowni. A więc eteryczna panna Gonzalès zajmuje czas i myśli Édouarda? Zastąpił mnie inną - młodą, piękną, bardziej podniecającą.

Oczywiście wiem, że nie mam do Édouarda żadnych praw. Czy jednak nie miałam podstaw wierzyć mu, gdy tak niedawno mnie czarował, na wszelkie sposoby okazywał oddanie? Na tym jednak się skończyło. Czyż to nie najlepszy dowód, że chciał jedynie zawrócić mi w głowie?

Ja zaś jestem głupia, bo uwierzyłam, że w jego oczach widzę coś więcej. Słowa Degasa, który nazwał Maneta niestałym i niegodnym zaufania, uderzają mnie jak obuch. Wreszcie dociera do mnie, co naprawdę miał na myśli.

Jaka byłam głupia!

Niech mademoiselle Gonzalès bierze sobie Édouarda. Dla mnie zaś będzie najlepiej, jeśli będę go unikała jak ognia.

\*

W pracowni nie jest tak duszno jak w bawialni. Nie zapalam lampy, stoję w mroku. Światła w domu płoną niczym luna. Podchodzę do okna, by popatrzeć na noc.

W tej chwili samotności z bolesną jasnością uświadamiam sobie, że poniosłam klęskę na każdym polu. Zawiodłam mamę, bo nie chcę iść na kompromis; nawet nie próbuję znaleźć męża i porzucić - wedle jej słów - „niemądrego kaprysu” dla szacownego życia, jak przystało prawdziwej damie.

Zawiodłam siebie, bo żywię uczucie do mężczyzny, który należy do innej. Co gorsze, od kiedy go poznałam, nie dokończyłam ani jednego obrazu. Błąkam się w pustce, snuję bez celu.

Skoro i tak będę nieszczęśliwa, czemu nie wybrać losu, który przynajmniej uszczęśliwi *maman*? Czemu nie wrócić do gości, podejść do pierwszego lepszego i pozwolić, by stał się tym jedynym?

Patrzę przez okno na towarzystwo bawiące się w złocistym blasku świec. Goście jedzą, piją, śmieją się, rozmawiają.

Moją uwagę przykuwa Eugène Manet. Trzyma się z boku. Wokół panuje gwar ożywionych rozmów, a on stoi w milczeniu, zamknięty w sobie.

Pod powiekami wzbierają mi łzy. Przecież nie mogę wejść tam i wybrać przypadkowego mężczyzny na męża. Nie zdołam uciec od swej beznadziejnej egzystencji, jakbym przeskoczyła przez mur i zaczęła wszystko od nowa.

Powiem mamie, że dostałam migreny i muszę się położyć. Oczywiście będzie wściekła, że zrzucam na nią zabawianie gości.

Wycieram oczy czystą bawełnianą szmatką, którą Amélie zarzuciła na mój obraz. Patrzę na puste sztalugi Edmy. Stoją porzucone, jakby czekały, że lada chwila wróci. Ból rozdziera mi serce.

Edma poszła własną ścieżką. Ja również. Nigdy nie wybieram prostej, wygodnej drogi. Nie powinnam się dziwić. Zawsze tak było.

Z zadumy wrywa mnie ciche pukanie. Drzwi się uchylają i do pracowni wchodzi Édouard.

- Aaa, tu się schowałeś. Szuka...

- Monsieur, bardzo proszę. To naprawdę zbędne - mówię, wciąż patrząc przez okno.

- Degas odmalował wyjątkowo fałszywy obraz moich stosunków z mademoiselle Gonzalès.

Uznałem, że muszę...

- Traci pan czas. Jeśli przed kimś musi się pan tłumaczyć, to przed sumieniem i żoną.

- Ona nic dla mnie nie znaczy.

- Która? Suzanne czy Eva?

Kiedy nie odpowiada, obracam się z furkotem. Stoi tak blisko, że ramieniem ocieram o jego tors. Nie cofa się. Parapet wrzyna mi się w pośladki. W złocistej łunie bijącej z okien bawialni jego oczy wydają się ciemne jak wzburzone morze.

Nie wiem, dlaczego to robię - z pożądania czy ze złości i poczucia krzywdy. Z całej siły przyciskam usta do jego warg.

Czuję jego dłonie na talii. Pocałunek trwa długo. Édouard przesuwając ręce po moich plecach coraz wyżej, aż wreszcie zanurza palce w moich włosach.

Smak jego ust. Kiedyś obcy, teraz dziwnie znajomy. Smak, który sprawia, że zapominam o swoich postanowieniach, o całym świecie. Właśnie dlatego nie powinnam go całować.

Odpycham go i nie oglądając się, wybiegam do ogrodu, wpadając prosto na Eugène'a Maneta.

- Przepraszam, mademoiselle.

Chwyta mnie, żebyśmy oboje się nie przewrócili. Otoczona silnymi ramionami Eugène'a, wciąż czuję na ustach pocałunek Édouarda, a na twarzy łaskotanie jego brody. Wyrrywam się Eugène'owi, przestraszona, że z pracowni zaraz wypadnie Édouard.

Naturalnie, nic takiego się nie wydarza.

Ma zbyt duże doświadczenie, by popełnić tak podstawowy - i kosztowny - błąd.

Eugène przytrzymuje mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. Nawet w półmroku widzę, że się zaczerwienił.

- Nic pani nie jest, mademoiselle?

- Nie, nic, monsieur. Proszę wybaczyć, nie patrzyłam, dokąd idę.

- Ależ skąd, to ja powinienem był uważać. Stoimy w niezręcznym milczeniu.

- Urocze przyjęcie - odzywa się wreszcie. - Bardzo się cieszę, że znów panią widzę. Często zamierzałem złożyć pani wizytę, ale...

Milknę ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mimowolnie porównuję jego nieśmiałość z tupetem brata. Serce przepęnia mi taki smutek, że przez chwilę boję się, czy nie wybuchnę płaczem.

Nie, nie dam Édouardowi tej satysfakcji.

Wolę skupić się na różnicach między braćmi. Eugène jest wyższy. Sprawia wrażenie człowieka wycofanego do własnego wnętrza. Cóż, chyba tylko to zapewnia przetrwanie w domu, w którym dominują dwie silne osobowości.

- Odprowadzić panią do bawialni?

Podaje mi ramię. Przypominam sobie, jak prowadził mnie do stołu tamtego pamiętnego wieczoru u madame Manet. Och, jakże inaczej wtedy wszystko wyglądało! Czuję wyrzuty sumienia.

Gdybym mogła cofnąć czas i jeszcze raz przeżyć tamte tygodnie - czy coś bym zmieniła?

Wreszcie czuję chłód wieczornego powietrza i przeszywa mnie dreszcz.

Na co takie gdybanie?

- Bardzo proszę, monsieur. *Merci*.

Wsuwam rękę w zgięte ramię i w pełnym skrzępowaniu milczeniu wracamy do towarzystwa.

# Rozdział 13

*Wiem, że cię dławia grzechów dzieje -*

*Starych miłości echo jęczy;*

*Że nieraz duszę war zaleje -*

*Że pod popiołem w sercu tleje*

*Zarzewie pychy potępieńczej\*.*

Charles Baudelaire

\* Przeł. Bohdan Wydzga.

## Kwiecień 1869

Kochana Edmo!

Z Twojego listu wnioskuję, że do Was też przyszła wiosna i że potrafisz korzystać ze słonecznej pogody. Wiosna to przeurocza pora roku. Zachwyca, nawet najsmutniejsze zakątki przemieniając w cudny ogród. Bzy już kwitną, pąki na kasztanowcach też lada moment się otworzą. Niedawno głośno się nimi zachwycałam. Papa wysłuchał moich peanów, po czym zgasił mój entuzjazm, zapowiadając rychły koniec tych cudów.

Zastanawiam się, jak spędzić lato. Chętnie przyjechałabym do Ciebie. Pod dwoma warunkami: po pierwsze, że nie będę Ci przeszkadzała; po drugie, że będę mogła pracować. Bezczynność coraz bardziej mi ciąży. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie namaluję coś w miarę znośnego.

Spodziewam się, że trudno przywyknąć do życia na prowincji, w zaciszu domowego ogniska. Trzeba mieć jakiś cel, do którego się dąży. Wiem, że Adolphe'owi nie spodobałyby się te słowa. Mężczyźni często wyobrażają sobie, że całkowicie wypełniają nasze życie. Ja natomiast uważam, że kobiecie - nawet jeśli darzy męża głębokim uczuciem - niełatwo zrezygnować z pracy. Przywiązanie to piękna rzecz, pod warunkiem że ma się czym wypełnić dzień. Przypuszczam, że tym czymś stanie się dla Ciebie macierzyństwo. Nie żałuj, że zrezygnowałaś z malowania. Nie jest warte jednej łzy. Przy najmniej pozbyłaś się jednego utrapienia. Ja na przykład od miesiąca nie widziałam ani jednego malarza. Wkrótce otwarcie Salonu. Zastanawiałam się, czyby nie napisać do Maneta z prośbą o zaproszenie. Wciąż jednak nie zdobyłam się na odwagę.

Często wyobrażam sobie, że odwiedzam Cię w Twoim małym domku, i zastanawiam się, czy jesteś szczęśliwa czy smutna. Zapewne jedno i drugie. Dobrze zgaduję?

Twoja kochająca

Berthe

Dziś złożył nam wizytę Édouard, ale mnie nie zastał. Los aż nadto wyraźnie daje do zrozumienia, że nie ma dla nas nadziei. Nie możemy udawać, że łączy nas tylko przyjaźń. A jednak - nawet mimo Evy Gonzalès - nie potrafię wyrzucić go z myśli.

Przyjaźń mamy z madame Manet się zacieśnia, co niezwykle utrudnia dalsze unikanie Édouarda. Wiem, że nie mogę w nieskończoność wykręcać się od spotkań. *Maman* i tak już się obawia, że jestem niezdrowa. Nalega, bym udała się do lekarza.

Jedna wiadomość podniosła mnie na duchu. Zjawił się Degas. Mówił, że Édouardowi kompletnie nie idzie praca nad portretem mademoiselle Gonzalès. Podobno nie potrafi namalować jej twarzy. Męczy się od miesiąca i wciąż mu nie wychodzi.

Ta ploteczka ma też drugie dno - oznacza, że najwyraźniej Édouard i Degas pogodzili się po incydencie z zamalowanym portretem rodzinnym. Nie pytałam, nie chciałam otwierać starej rany.

### **Kwiecień 1869**

Masz całkowitą rację, kochana Berthe. To zasmucające, do jakiego stopnia nie można polegać na artystach. Możesz nazwać mnie niemądrą, ale kiedy sobie ich przypominam, mówię sobie, że kwadrans rozmowy z nimi jest wart tyle, ile ich nadzwyczajne zalety.

Dziel się ze mną dalej tymi, jak to nazywasz, ploteczkami. I tak nie mam nic do roboty, wypełnię czas odcyfrowywaniem Twoich bazgrołów.

Ściskam Cię czule

Edma

### **Maj 1869**

Po raz pierwszy od sześciu lat nie zgłosiłam na Salon swojego obrazu. Łatwo sobie wyobrazić, co czułam na myśl o pojawieniu się na wystawie. W pewnym momencie zamierzałam w ogóle zrezygnować, ale Édouard - istny Machiavelli - przysłał *maman* zaproszenie dla nas obu na odsłonięcie „Balkonu”, po którym miało nastąpić „przyjęcie w domu państwa Manetów”.

*Maman* była podekscytowana, jakby chodziło o jej portret.

- Spędziłam tyle czasu, patrząc, jak go maluje, że czuję, jakbym zostawiła tam również część siebie.

W cudowny sposób zdążyła wymazać z pamięci okoliczności towarzyszące pozowaniu. Uznałam, że w takiej sytuacji lepiej skorzystać z zaproszenia, niż je odrzucić.

Nie widziałam Édouarda od dwóch miesięcy. Wielokrotnie składał nam wizytę, ale zawsze unikałam spotkania w nadziei, że z czasem moje uczucia do niego przygasną. Wątpię, czy jestem gotowa stanąć z nim twarzą w twarz, lecz - jak przystało na posłuszną córkę - towarzyszę *maman* na wystawie.

W Luwrze kierujemy się prosto do sali M. Moją uwagę przykuwa obraz przyjaciela, Pierre'a Puvisa de Chavannes, wiszący nad schodami. Zatrzymuję się, pełna podziwu.

- Berthe, monsieur Puvis de Chavannes to taki uroczy mężczyzna. Nie pojmuję, dlaczego odrzucasz jego awanse.

- *Maman* podnosi lorgnon i patrzy na płótno. - Nie ma szczególnego talentu malarskiego, ale jest przystojny i bogaty. Bez dwóch zdań, to znakomita partia dla ciebie.

Nie odpowiadam. Co z tego, że bogaty i przystojny - zdaniem mamy - skoro jest ode mnie grubo starszy. Może arystokratyczna poza tak go postarza? Zaraz, zaraz... Dzieli nas prawie dwadzieścia lat. Fuj! Jest rówieśnikiem *maman*. Nic dziwnego, że jej się tak podoba.

Nie jestem w nastroju do kłótni, więc pomijam tę uwagę milczeniem. Dzięki Bogu, podchodzą Carlos Duran z żoną i odwracają jej uwagę.

Wreszcie docieramy do sali M, gdzie stajemy przed „Balkonem” Édouarda. Autora nie widać w pobliżu.

*Maman* przysuwa się tak, że prawie wodzi lorgnon po płótnie.

- Cóż, nie dostrzegam większej różnicy w porównaniu z tym, co widziałam w pracowni. Mógł jednak zadać sobie nieco trudu i go dokończyć.

- *Maman!* - Rozglądam się przerażona, modląc się, by nikt jej nie usłyszał. - Skoro go wystawia, to znaczy, że obraz jest ukończony.

- Mam prawo do własnego zdania, a ono brzmi: obraz jest niedokończony.

Wpatruję się w obraz w pełnym podziwu zdumieniu. Na honorowym miejscu galerii wydaje się większy niż w pracowni. Édouard namalował mnie z pietyzmem, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Fanny wygląda byle jak, monsieur Guillemet - jak nadęty bufon, a... w głębi Édouard dorzucił jeszcze jedną postać. Chłopiec z tacą. Przypomina zjawę, jest prawie niewidoczny na ciemnym tle.

- *Bonjour, madame, mademoiselle.*

U mego boku staje Degas.

- *Bonjour, monsieur.* Właśnie rozmawialiśmy z Berthe o obrazie Maneta. Prawda, że wygląda, jakby był niedokończony? O, widzę madame Arneau. Koniecznie muszę z nią porozmawiać. Babette! Babette!

*Maman* zdołała zwrócić uwagę znajomej, do której chce się udać.

- Mogę powierzyć Berthe w pańskie ręce?

- Naturalnie.

- *Merci*. Pozwolicie, że się oddalę.

Odchodzi pospiesznie, a po chwili znika w tłumie. Degas zaplata ręce na piersi i kontempluje obraz.

- Moim zdaniem jest dokończony. Do tego stopnia, że widzowie najczęściej opisują go dwoma słowami: *femme fatale*.

- *Pardon?*

Degas patrzy na mnie z tą swoją znudzoną, pogardliwą miną. Kiedy ją widzę, zawsze obawiam się, że za chwilę usłyszę: *Imbécile!*

- Została pani ochrzczona *femme fatale*.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Odwracam wzrok od Degasa i wbijam go w obraz.

- Uwodzicielka. - Degas wypluwa to słowo, jakby zostawiało mu w ustach goryczkę.

- Wiem, co znaczy *femme fatale*, *monsieur*. Osobiście jednak uważam, że wyglądam tu nie tyle uwodzicielsko, ile... dziwnie.

Degas łagodnieje.

- Nikt nie odważyłby się nazwać pani dziwną. Wygląda pani nad wyraz powabnie. Za to Léon... ten naprawdę wygląda dziwnie.

Rozglądam się za synem Suzanne. Nigdzie jednak go nie widzę. Degas nie odrywa wzroku od płótna. Marszczy czoło z niesmakiem. Dopiero wtedy uświadamiam sobie...

- Ten chłopiec w tle to Léon? Degas unosi brew.

- A któż by inny?

Baczniej przyglądam się obrazowi.

- Rzeczywiście - mówię, choć nadal nie dostrzegam podobieństwa. Nie przyznam się jednak do tego. - Monsieur Manet przedstawił go w interesujący sposób. Jakby nie chciał, żeby rzucał się w oczy.

- Nie chciał, żeby rzucał się w oczy. - Degas parska pogardliwie. - Dobrze powiedziane. Podejrzewam, że wszyscy Manetowie życzą sobie, by chłopiec jak najmniej rzucał się w oczy. Albo w ogóle zniknął.

Czuję się skrupowana. Nie spodziewałam się takiego tematu rozmowy. Przypominam sobie rewelację Edmy - jakoby Léon był synem Édouarda. Choć Degas zapewne mógłby to potwierdzić lub zanegować, nie chcę pytać wprost, bo wyjdę na plotkare. Muszę rozegrać to subtelnie.

- Monsieur Manet nie lubi swojego chrześniaka?

- Chrześniaka? Ha! Kto pani powiedział, że Léon jest jego chrześniakiem?

- Madame Manet.

Prycha.

- Tak, nie wątpię, że taką wersję wołała pani podać. - Śmieje się sucho. - Léon jest tak samo chrześniakiem Maneta, jak Edma pani chrześnicą.

Co? Co on bredzi? Zaczyna mnie drażnić, że traktuje mnie jak dziecko, które o niczym nie ma pojęcia.

- Doskonale wiem, że Léon jest synem Maneta, monsieur. Ale chłopiec ma przecież... ile, czternaście lat? Dlaczego Manet tak długo zwlekał z poślubieniem Suzanne?

Degas wykrzywia usta w złośliwym uśmiešku.

- To pytanie, mademoiselle, zadają sobie wszyscy. Zwłaszcza że nie usynowił chłopca.

Podpiera łokieć dłonią, drapie się po brodzie.

- Oczywiście, wciąż pozostaje niewyjaśniona kwestia, który Manet jest ojcem chłopca. Aby uprościć sytuację, rodzina woli przedstawiać Léona jako chrześniaka Édouarda. To wytrąca broń plotkarzom. Rozumie pani?

Nie, nie rozumiem. Znów mówi zagadkami. Zdażyłam się przekonać, że Degas zwykle prowadzi słuchacza krętymi drogami, miesza mu w głowie i dopiero gdy go już kompletnie otumani, ujawnia prawdę.

Teraz przygląda mi się z sadystycznym rozbawieniem.

- Nie potrafi pani sama tego rozgryźć, mademoiselle? Niechże pani się skupi.

- Do czego pan zmierza? Niech pan powie otwarcie, *s'il vous plaît* - mówię zdesperowana.

Degas ma wiele zalet, ale drażni mnie jego zamiłowanie do zagadek, a dziś wyjątkowo nie jestem w nastroju do ich rozwiązywania. Nim jednak zdąży odpowiedzieć, z tłumu nagle wynurza się Édouard w towarzystwie matki, Léona i nieznaney mi młodej kobiety. Degas nachyla się ku mnie.

- Nie potrafię zrozumieć, co go opętało, żeby poślubić kochankę ojca. Wystarczyło zostać chrzestnym chłopca. Po co związał się z kobietą, której nie kocha?

Kochanka ojca?! Niewyobrażalne! Dzielili się nią? Podawali sobie z ust do ust jak manierkę?

Kiedy Édouard mnie zauważa, natychmiast rusza w moją stronę, ignorując gości pragnących mu pogratulować obrazu.

- Oto i bohaterka dnia. - Kłania się i całuje mnie w rękę. - Och, jakże miło wreszcie panią zobaczyć. Zbyt długo się pani przede mną ukrywała.

Myślami wracam do wieczoru w mojej pracowni. Żar zalewa mi szyję i pełza ku twarzy. W duchu modłę się, by nikt tego nie zauważył. Na szczęście Édouard właśnie wita się z Degasem.

Ja witam się z madame Manet i Léonem, który zaraz idzie oglądać obrazy. W uszach dźwięczą mi słowa Degasa: „Léon jest tak samo chrześniakiem Maneta, jak Edma pani chrześnicą”.

Co to, na litość, znaczy?

- Berthe najdroższa, wyglądasz uroczo - zagaduje madame Manet. - Wszyscy są oczarowani „Balkonem”. Édouard może być z ciebie dumny - chwali, ale jej uwagę rozpraszają tłumy rozgadanych wielbicieli malarstwa.



Dziwnie się czuję, zbierając pochwały za obraz. Przecież nic takiego nie zrobiłam. Siedziałam na krześle wpatrzona w przestrzeń. Moim zdaniem bierność nie zasługuje na komplementy.

- Mademoiselle Morisot przynosi mi szczęście - wtrąca się Édouard. - Już zgłosił się kupiec, choć przyznam, że ciężko mi będzie się rozstać z tym płótnem.

- Odpowiednio wysoka cena szybko zaleczy ranę - odzywa się młoda kobieta.

Jest piękna, a do tego patrzy na niego w sposób, który budzi mój niepokój.

Édouard uśmiecha się i potakuje, przyznając jej rację.

- Mademoiselle Berthe Morisot, pozwoli pani, że przedstawię: mademoiselle Eva Gonzalès.

Och!

- *Enchantée* - mówi ona. - Jest pani równie czarująca jak na obrazie.

Czyli to jest owa sławetna Eva Gonzalès. Niezwykle wyrobiona towarzysko jak na tak młodą osobkę. Ja w jej wieku nie miałam takiej pewności siebie. Czuję ukłucie zazdrości, że zjawiła się tu w towarzystwie Édouarda. Ciekawe, co Suzanne sądzi o tej młodej podopiecznej męża.

- *Merci* - odpowiadam. - Jeśli dobrze mi wiadomo, teraz monsieur Manet pracuje nad pani portretem?

Jej promienny uśmiech przygasa, ale zaraz potem znów się pojawia.

- Zdaje się, że chwilowo zeszedłam na drugi plan.

- Och, monsieur Manet, dlaczego?! - wołam z przesadną troską. Édouard z pewnością odczytuje ukrytą ironię.

- Powiedzmy, że prace nad portretem nie postępowaly tak dobrze, jak na to liczyłem.

Dziewczynie oczy ciemnieją. Ostentacyjnie całą uwagę skupia na Degasie. Tym lepiej dla mnie, bo Édouard podaje mi ramię i przechodzimy do innych obrazów.

- Dopiero co państwo przyszli? - pytam.

- Nie, zjawiliśmy się już na otwarciu. Szukaliśmy pani.

Brakuje mi tchu. Muszę uzbroić się przeciwko jego urokowi, który zakrada się jak złodziej i nieodmiennie mnie zaskakuje. Powtarzam więc sobie, że jestem dla Édouarda tylko igraszka, chwilową rozrywką. Najwyraźniej towarzystwo olśniewającej Evy Gonzalès straciło swój pierwotny blask. Doprawdy, czasem krótkotrwała nieobecność czyni cuda.

- Jak układają się stosunki mistrza i uczennicy? Jęczy.

- Ta dziewczyna doprowadza mnie do szału. Straszliwie absorbująca. Nieustannie trajkocze. W ubiegłym tygodniu musiałem uciec przed nią do Boulogne.

- Dlaczego po prostu jej pan nie powie, że ma za dużo pracy? Jeśli mnie pamięć nie myli, właśnie dlatego odmawiał pan innym uczniom.

- To nie takie proste. Na szczęście w przyszłym tygodniu wraca jej ojciec, wtedy porozmawiamy. Zmiana wyjdzie na dobre obu stronom. Podejrzewam, że ją też nuży towarzystwo takiego starca jak ja.

Odwracam się i patrzę na swoją twarz w głębi sali. Ładunek uczucia, widoczny na portrecie, sprawia, że po ciele przechodzą mi ciarki.

- Zauważyłam, że w tle domalował pan jeszcze jedną postać.

Odwraca się, idzie za moim wzrokiem. Prostuje ramiona.

- Owszem. Podoba się pani?

- Tak. Bardzo subtelne. To Léon, *non*?

- *Oui*. Doszedłem do wniosku, że trzeba wypełnić tło.

- Ładny chłopiec. To brat Suzanne?

Édouard potakuje z roztargnieniem. Odwrócił się od „Balkonu” i ogląda jakiś pejzaż.

- Dlaczego nie mieszka z rodzicami?

- Jego ojciec nie żyje, a nikt tak dobrze się nim nie zajmie jak Suzanne. Widziała pani akwafortę Fantina?

Kręcę głową. Nie widziałam.

„Jego ojciec nie żyje”? Hm, ktoś mija się z prawdą. Ciekawe kto.

- Nie dziwię się. Została zawieszona tak wysoko, że ci, którzy będą próbowali ją obejrzeć, nadwreżą sobie karki. Biedak, trafiło mu się wyjątkowo kiepskie miejsce.

- Gdzie jest pańska żona, Édouardzie?

- Została w domu. Nie lubi tłumów. Pewnie przyjdzie, gdy opadnie pierwsza fala zainteresowania.

Przez chwilę spacerujemy między obrazami, mrucząc pod nosem: „koszmarny” albo *quelle horreur*, gdy coś nam się nie podoba, choć ja robię to bez większego przekonania. Wciąż myślę o tym, co powiedział. „Jego ojciec nie żyje”. Hm...

- Kiedy pan poznał Suzanne?

- O, wiele lat temu. Zaraz po powrocie z Rio de Janeiro, kiedy zakończyłem swoją przygodę z marynarką. W zamian za wikt i opierunek uczyła mnie i moich braci gry na fortepianie.

- Chyba słyszałam od pańskiej matki, że przyjechała do Francji zachęcona przez Franza Liszta...

- To prawda, ale nie wiodło jej się tu najlepiej. - Zatrzymuje się i patrzy na mnie znacząco. - Mademoiselle, w życiu nie zawsze układa się tak, jak sobie zaplanujemy.

Ileż bym teraz dała, by umieć czytać w myślach!

- Wtedy poznała mojego ojca, który zlitował się nad nią i zaoferował jej dach nad głową.

- Kiedy się państwo pobrali?

Nie odpuszczę, póki nie wyciągnę z niego prawdy. Zmuszę go, by choć raz był ze mną szczery i zrozumiał, że ponosi odpowiedzialność za rodzinę.

Mruży oczy i patrzy podejrzliwie.

- W październiku, pięć lat temu. Co znaczy to przesłuchanie?

Wzruszam ramionami.

- Nic, po prostu...

Szybko obliczam w pamięci. Czyli Léon miał osiem lat, kiedy się pobrali. Dlaczego Édouard zwlekał tak długo?

- Kocha ją pan?

Édouard mruga zaskoczony. Zaciska usta.

- Mademoiselle, Suzanne jest moją żoną.

- Wiem, że jest pańską żoną. Ale czy ją pan kocha, Édouardzie?

Doskonale zdaję sobie sprawę, że mówię zagadkami jak Degas. Ciekawe, czy Édouard odszyfruje, do czego zmierzam.

Przegarnia palcami włosy.

- Miłość ma wiele postaci, nosi wiele przebrań. Ot, chociażby ciemnowłosa piękność z „Balkonu”. Już krążą domysły na jej temat. Proszę stanąć przy płótnie, a usłyszysz pani komentarze. Wielu twierdzi, że ta piękność jest miłością Maneta.

Dech mi zaparło. Wtem na ramieniu czuję czyjaś dłoń. Nie! Nie teraz! - chcę wrzasnąć.

Odwracam się. Za mną stoi zachmurzona, surowa *maman*.

- Berthe, zbyt długo już absorbujesz monsieur Maneta. Z pewnością mnóstwo osób nie może się doczekać, kiedy z nimi porozmawia. Chodźmy, obejrzymy pozostałe płótna.

Édouard lekko się jej kłania.

- Znakomity pomysł, madame Morisot. - Obu nam podaje ramiona. - Możemy?

# Rozdział 14

*Niechaj do prawych umysłów złączenia  
Żadne warunki nie będą przydane,  
Miłością nie jest miłość, co się zmienia  
Lub jako rzeczy jest wyginane.  
Nie. Miłość znak to we wieczności stały,  
Co nie wstrząśnięty jest nawet przez burze\*.*

Szekspir

\* Przeł. Aleksander Mierzejewski.

Po wystawie nie idziemy na wieczorek u Manetów. *Maman* wymawia się bólem głowy. Ledwo jednak wsiadamy do powozu, jej gniew wylewa się na mnie niczym spieniona czerwona farba.

- Widzę, co się dzieje, Berthe. - Marszczy czoło. - Nie jestem głupia. Podobnie jak plotkarze, którzy odmieniają przez wszystkie przypadki „femme fatale” i „kochankowie”. „Kochankowie”, Berthe? Czy właśnie to chciałaś potwierdzić, paradując z nim po wystawie?

Nie obchodzi mnie, co myślą ludzie! - chce wykrzyknąć Olimpia.

- Nie waż się powiedzieć tego mamie! - powstrzymuje ją cnotka. - Powinnaś się wstydzić! Wzór cnót zwycięża.

Milczę.

- Ogromnie cię zachęcam, żebyś, dopóki sprawa nie przycichnie, odwiedziła Edmę w Lorient. Wyjazd dobrze ci zrobi. Może też, czego gorąco ci życzę, zmądrzejesz i przestaniesz zachęcać monsieur Maneta do niestosownych awansów.

Nawet nie próbuję się z nią spierać. Zresztą bardzo tęsknię za siostrą i chcę się z nią spotkać. Adolphe wyjechał. Obie chętnie spędzimy ze sobą trochę czasu. Świeże powietrze i słońce pomogą mi odzyskać spokój ducha. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zacznę pracować, tworzyć. Nie zamierzam dłużej użalać się nad sobą, że w tym roku niczego nie wystawiłam. Przeciwnie, postanawiam namalować coś wartościowego.

\*

Lorient to zwykła miejscina, którą łatwo byłoby przeoczyć, gdyby nie port. W porównaniu z Paryżem wydaje się martwa. Adolphe został tam skierowany przez dowództwo, a Edma - promienna, szczęśliwa panna młoda - bez namysłu ruszyła za nim.

Wysiadam z pociągu - jako jedyna pasażerka - i od razu widzę źródło przygnębienia Edmy. Wszędzie tylko brzozy i szarości. Co za obrzydliwe, ponure miejsce. Nieliczne drzewa, kwiatów jak na

lekarstwo. Stoję na peronie, wdychając ostre powietrze o słonawym smaku, i przez moment zastanawiam się, czy jestem tu jedyną żywą osobą.

Wreszcie zza budynku wybiega Edma. Zdążam zauważyć ciemne włosy, żółtą plamę sukienki i furkoczącą spódnicę, gdy bez tchu rzuca mi się na szyję.

- Berthe, przyjechałaś! Och, wreszcie jesteś! - Ścisną mnie z całej siły, jakby ze mnie czerpała wolę życia, którą wysączyły z niej dwa miesiące pobytu w Lorient. - Pociąg przyjechał przed czasem. Chciałam być na peronie, kiedy wjedzie.

- Dopiero co dotarłam. - Odsuwam ją, by baczniej jej się przyjrzeć. - Och, jakże mi ciebie brakowało!

- A mnie ciebie.

W oczach wzbierają mi łzy. Mrugam szybko, by je powstrzymać, nim spłyną po policzkach. Odjeżdżający pociąg sapie, jakby on też miał już dość tego niewyobrażalnie ponurego miasta.

Wiosna jest wyjątkowo ciepła i sucha. Słońce wypaliło na ulicy mozaikę szczelin. Dorożka turkocze na twardej, zbitej ziemi, gdy toczymy się przez centrum miasta. Szara, nieruchoma zatoka przypomina szklaną szybę. Odbijają się w niej łodzie bure jak całe miasto i niski, wijący się murek z piaskowca, przypominający martwego węża. W oddali morze ryczy jak niezadowolona bestia.

Edma mieszka blisko stacji, ale wynajęła fiakra, żeby zabrać moje kufry i walizkę. Opuszczałam Paryż, nie wiedząc, jak długo tu zagoszczę, więc spakowałam się na dłuższy pobyt. Czas wizyty będzie zależał od tego, ile czasu Adolphe zostanie na morzu oraz jak dużo uda mi się namalować. Widok ukochanej siostry tak mnie cieszy, że kiedy dorożka staje przed skromnym piętrowym budynkiem, przez głowę nawet mi nie przemyka myśl o wyjeździe.

- To tu.

W głosie Edmy można usłyszeć nutkę wstydu. Waha się, stając przed drzwiami budynku, który nazywa domem. Zrywa przekwitłą pelargonie z skrzynki na parapecie. Zwiędłe płatki spadają na ziemię.

- Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie.

- Edmo, z tobą byłoby mi wygodnie nawet w głuszy. Nieważne gdzie, grunt byśmy byli razem.

Podnosi kąciuki ust, ale w oczach nie widać uśmiechu. Otwiera drzwi. Wchodzimy do środka. Staję w progu i mrugam, by oswoić się z mrokiem. Z ciekawością rozglądam się po nowym świecie mojej siostry: przedpokój w odcieniu spłowiałego błękitu, zdarty parkiet i najbardziej zaskakujące...

- Edmo, na ścianach nie ma ani jednego obrazu. Jak to możliwe?

Marszczy czoło i rozgląda się, jakby dopiero teraz to dostrzegła.

- Za jakiś czas na pewno każę przysłać niektóre płótna, ale muszę jeszcze się zastanowić, co najlepiej będzie tu wyglądało. - Odbiera ode mnie kapelusz i rękawiczki. Kładzie je na stoliku przy

drzwiach. - Można powiedzieć, że dom i ja dopiero się poznajemy - mówi ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Nie tylko zrezygnowała z malarstwa, ale na dobre wzięła rozbrat ze sztuką.

Za nami pojawia się fiakier z moim kufrem na ramieniu.

- Gdzie mam to odstawić, madame?

- Proszę zanieść na górę - dysponuje Edma. - Pierwsza sypialnia po prawej.

- Edmo, dlaczego nie powiedziałaś? Przywiozłabym twoje płótna.

Zarzuca mi ręce na szyję i szlocha.

- Och, Berthe, jestem taka nieszczęśliwa. Adolphe ciągle na morzu. Jeśli tak ma wyglądać małżeństwo, to...

Wtula mi głowę w ramię i płacze. Poklepuję ją po plecach.

- Już cicho. - Odsuwam ją i przyglądam się uważnie. - Jestem przy tobie. Po prostu doskwiera ci samotność, to wszystko. Od tej pory wszystko będzie dobrze.

Wyciera oczy, ale łzy wciąż płyną jej po policzkach.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przepraszam. Przyjechałaś, a ja mażę się jak dziecko.

- Ani słowa więcej. Dość tego zadręczania się.

Obejmuję ją i wprowadzam do bawialni. Na schodach słychać kroki. Zatrzymują się przy drzwiach frontowych. Dorożkarz odchrząkuje i woła donośnie:

- Miłego dnia, madame, mademoiselle!

Edma próbuje wytrzeć oczy. Chwytam torebkę i rozliczam się z fiakrem. Kiedy wracam, moja siostra jest już opanowana.

- Pewnie zgłodniałaś - odzywa się. - Poproszę Dominique, żeby coś ci przyrządziła.

- Nie, Edmo. Wiesz, że zawsze po podróży mój żołądek potrzebuje czasu, zanim dojdzie do siebie. Wystarczy mi filiżanka herbaty.

Uśmiecha się i oddycha z ulgą.

- Ja całkiem nie mam apetytu. Na sam widok jedzenia zbiera mi się na mdłości, więc jeśli będziesz głodna, śmiało proś Dominique, żeby coś dla ciebie przygotowała.

- Edmo, nie kłopotz się o mnie. Dla mnie liczy się tylko, że jestem z tobą. Wszystko będzie dobrze. A jedyne, o czym teraz marzę, to usiąść z tobą i nadrobić zaległości w ploteczkach.

\*

Nabrzeże to jedyne miejsce jako tako nadające się do namalowania. Siedzam Edmę na murku z piaskowca. Jej różowy szal i niebieskozielona parasolka wnoszą odrobinę koloru i łagodzą surowość krajobrazu, a przy tym przydają życia ponuremu otoczeniu.

- Oprzyj prawą rękę na murku - instruuję.

Robi, co każe. Nawet lekko się uśmiecha. Wystarczyła doba, by jej nastrój znacznie się poprawił. Wciąż jednak nie chce wziąć do ręki pędzla.

- To już nie jest moje życie - tłumaczy. - Tylko byś pogłębiła moją frustrację.

Próbuję przekonywać, ale ona ucina w pół słowa.

- Wkrótce i tak będę miała aż nadto zajęć.

- Sądziłam, że Adolphe wraca dopiero za trzy miesiące.

- Zgadza się. A dwa tygodnie potem znów wyrusza w rejs. Mam na myśli późniejsze obowiązki.

Przed którymi czeka mnie jeszcze wiele przygotowań.

Delikatnie klepie się po brzuchu. W kącikach ust pojawia się wąty uśmiech.

- To znaczy?... Potakuje.

Upuszczam węgiel, podbiegam, przytulam ją mocno. Nic dziwnego, że tak jej doskwierała samotność.

- Spodziewasz się dziecka?

- Nie mam pewności, ale wszystko na to wskazuje.

- Dlaczego nie przyznałaś się wczoraj?

- Postanowiłam sobie, że będę milczała, dopóki nie nabiorę pewności. Nie powiedziałam jeszcze Adolphe'owi. Ani *maman*. Tobie też właściwie nie powinnam była mówić, póki się nie upewnię. -  
Znów kładzie rękę na brzuchu. - Ale sercem czuję, że się nie mylę.

- A ja ciężko bym się obraziła, gdybyś to ukryła przede mną.

Śmiejemy się.

- Proszę, nie rozmawiajmy o tym, dopóki nie zawiadomię *maman*. Znasz ją. Wpadłaby w furję.

Znowu ją przytulam.

- Zostanę ciotką. Och, wciąż nie mieści mi się w głowie. *Tante Berthe*. Pięknie to brzmi.

Znów biorę węgiel, a Edma przyjmuje pozę, w której ją usadziłam. Kiedy patrzę na nią, tę piękną różową różę na tle szarej, nieruchomej wody i pustych łodzi, serce ścisną mi się ze smutku i wzruszenia. Zerkam na jej brzuch. W tym łonie rośnie dziecko - tak samo jak syn Édouarda rósł w łonie Suzanne.

Ziarno posiane przez miłość.

Wciąż nie potrafię uporządkować uczuć, które wywołuje we mnie Édouard. Jednym z nich jest niewysłowiona tęsknota za dzieckiem. Póki nie pojawił się w moim życiu, nawet nie wiedziałam, że pragnę macierzyństwa.

Patrząc na moją siostrę, uświadamiam sobie, że dokonała wyboru i nie żałuje. Tak postanawiam ją namalować: odwróconą plecami do zimnego, brzydkiego, okrutnego świata. Rozkwitła róża, która cieszy się pełnią życia.

\*

*Mon bijou\*!*

\* (Franc.) Mój skarbie.

Papa wyglądał na niezwykle wzruszonego Twoim listem. Zdaje się, że odkrył w Tobie nadzwyczajne zalety ducha i pokłady czułości, których na co dzień nie okazujesz.

Skutek jest taki, że często powtarza, jak bardzo mu Ciebie brakuje. Zastanawiam się dlaczego. Wszak rzadko się do siebie odzywacie. W ogóle nie spędzacie razem czasu. Czy zatem brakuje mu Ciebie jak mebla albo kanarka w klatce? Perswaduję mu, że tak jest lepiej. Gdybyś została, musielibyśmy oglądać Twoją twarzyczkę wykrzywioną smutkiem, a w żaden sposób nie moglibyśmy Ci pomóc. Dobrze, że wyjechałaś. Tak uważamy i dochodzimy do wniosku, że pobyt u Edmy wyjdzie Ci tylko na zdrowie. Dlatego nie powinnaś spieszyć się do domu.

Odwiedziłam Maneta. Zastałam go przy sztalugach, gdy z entuzjazmem i nieskrywanym zachwytem malował pannę Gonzalès. Nawet się nie ruszył z taboretu. Zapytał, jak się miewasz, ale przypuszczam, że na dobre o Tobie zapomniał. Mademoiselle Gonzalès całkowicie go zawojowała. Ma same zalety, olbrzymi talent, nadzwyczajny wdzięk. Jednym słowem, kobieta idealna.

W ubiegłą środę u Stevensa ze znajomych był tylko Degas, który przesyła pozdrowienia.

To chwilowo wszystko

Mama

Mnę list od *maman*. Nie wystarczy jej, że od Édouarda oddziela mnie czterysta kilometrów? Naprawdę aż tak się boi, co może się wydarzyć, że musi rozdrapywać świeżą ranę? Podkreślać, jak bardzo jest zauroczony Evą Gonzalès i z jaką łatwością o mnie zapomniał?

Stoję w oknie i wyglądam na zatokę. Samotne łodzie na szklistej, nieruchomej wodzie. Kiedyś czytałam, że woda jest symbolem życia. Tu jednak wydaje się martwa. Czy to znak? Śmierć marzeń, obumieranie życia.

W Paryżu nawet kiedy chcesz się poddać, miasto za ciebie oddycha. Nie daje ci wyboru, musisz żyć.

Może pozwolę, by ogarnęła mnie tutejsza martwota, i na zawsze zostanę z Edmą w Lorient.

\*

Po czterech dniach wytężonej pracy obraz zaczyna nabierać życia. Edma też wydaje się podekscytowana tym, co robię. Jej towarzystwo sprawia mi przyjemność. Pogoda jest znakomita, więc co dzień chodzimy na nabrzeże, gdzie mi pozuje.



- Berthe, to prawie tak przyjemne jak spotkania z przyjaciółmi. Nie masz pojęcia, jak mi brakowało Salonu.

- Wspominałam, że pierwszego dnia wystawy rozmawiałam z Puvisem?

Edma kręci głową.

- Większość wieczoru spędziłam z Édouardem - mówię dalej. - Był w znakomitym nastroju, niezwykle podekscytowany tym, jak publiczność przyjęła „Balkon”. Prawie przez godzinę oprowadzał mnie i *maman* po wystawie, kiedy wpadliśmy na Puvisa. Wyglądał na niezwykle uradowanego tym spotkaniem. Próbował mnie namówić, żebym przyszła też następnego dnia, bo tego wieczoru nie mógł zostać; wpadł tylko na chwilę i właśnie wychodził. Kiedy gawędziłam z Puvisem, Édouard gdzieś sobie poszedł. Myślałam, że się zapadnę pod ziemię ze wstydu. Puvis wyszedł. Édouard się oddalił. Nagle zostałam zupełnie sama w tłumie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było krępujące, samotnie kręcić się po sali. Kiedy wreszcie znalazłam Édouarda, zaczęłam mu wyrzucać, że mnie opuścił.

- Nie!

- O tak.

- Co on na to?

- Chyba poczuł się urażony. Powiedział, że mogę zawsze być pewna jego oddania, ale nigdy, przenigdy nie będzie odgrywał roli mojej niańki.

- Żartujesz!

Edma wybucha głośnym, zaraźliwym śmiechem. Och, jakże cieszy mnie jej radość. Ogrzewa mnie bardziej niż słońce.

- Zdaje się, że monsieur Manet nie był zachwycony spotkaniem z Puvisem. Rozmawiali ze sobą? - pyta.

Uśmiecham się. Wiem, do czego zmierza. Odrywam wzrok od sztalug.

- Odnosili się do siebie grzecznie, prawie serdecznie. Wymienili kilka uprzejmych zdań, ale ani się obejrzałam, jak Édouard zniknął.

- Poczul się dotknięty. - Edma bawi się parasolką. - Proszę, proszę, jak się obrażamy, gdy nie jesteśmy w centrum uwagi.

- Och, chyba nie o to chodziło.

Milkniemy. Edma tęsknie patrzy w przestrzeń.

- Mogłabym słuchać tych opowieści cały dzień. Możesz nazwać mnie niemądrą, ale kiedy sobie przypominam naszych artystów, myślę, że kwadrans rozmowy z nimi jest wart sztabkę złota.

- Może i tak. - Mieszam zieleń z niebieskim, by namalować cień w tle. - Na ogół mają do powiedzenia coś ciekawego. Zazwyczaj coś, co pachnie skandalem.

Powtarzam, co Degas powiedział o Léonie. Edma szeroko otwiera oczy i prostuje się jak struna.

- Przypuszczam więc, że się z nią ożenił, by dać chłopcu dom - kończę.

- Ale nie nazwisko? Wzruszam ramionami.

- Jest człowiekiem honoru - odpowiadam.

Chcę dorzucić, że chociaż ożenił się z Suzanne, wcale nie musi kochać jej, jak mąż kocha żonę, ale się rozmyślałam.

Edma siedzi zadumana, wystawiając twarz na podmuchy ciepłego wiatru. Wreszcie mówi:

- To wciąż nie wyjaśnia, dlaczego poślubił ją tyle lat po narodzinach chłopca. Co o tym sądzisz?

Przecież madame Manet mówiła, że są małżeństwem od pięciu lat. A chłopiec ma lat kilkanaście.

Potakująco kiwam głową i mieszam biel z czerwienią na jej szal. Zbliżam pędzel do płótna.

- To znaczy, że w chwili ich ślubu musiał mieć dziesięć, może nawet jedenaście lat. I dlaczego podaje go za chrześniaka? Coś się tu nie zgadza, Berthe.

Przygryzam koniec pędzla, ważąc każde słowo. Owiewa nas chłodny podmuch od zatoki. Nad tym samym głowię się od pamiętnego otwarcia Salonu. Wciąż jednak znajduję tylko jedno logiczne wytłumaczenie: tak Édouardowi nakazywał honor. A ponieważ rozwiązanie zagadki nie równa się rozwiązaniu problemu, że monsieur Manet jest żonaty, postanawiam dłużej się nią nie zajmować. Zwłaszcza gdy przypominam sobie spojrzenia Édouarda, albo - gorzej - pocałunki, które sprawiały, że zapomniałam o całym świecie. Nie, tak się nie zachowuje człowiek honoru, gdy ślubował wierność innej kobiecie.

Tak, łatwiej uznać, że wybrał honorowe wyjście, i na tym poprzestać.

Patrzę na owoc czterech dni wyteżonej pracy. Pierwszy raz jestem tak zadowolona ze swojego dzieła. Zupełnie jakby eksplodowała energia magazynowana przez miesiące paraliżującej beczynności.

- Cudownie się czuję, odzyskawszy twórczą wenę - mówię. - Wolę namalować jeden porządny obraz, niż zapełnić Salon żalonymi bohomazami.

- Świetnie. To możemy skończyć na dziś? - Edma się przeciąga. - Od siedzenia na tym twardym murku bolą mnie plecy.

- Oczywiście, chodźmy. I tak długo tu siedziałyśmy.

Ogarniają mnie wyrzuty sumienia, że chwalę się swoim powrotem do malarstwa, gdy ona cierpi z powodu jego porzucenia. Ale zaraz przychodzi myśl: Dlaczego mam czuć się winna? Ona za to spodziewa się dziecka. Nieruchomieję, zdumiona swoją reakcją.

Choćby Edma nie zamierzała już nigdy sięgnąć po pędzel, mam nadzieję, że przynajmniej ze chęci ozdobić ściany kilkoma obrazami. Przed powrotem do Paryża coś dla niej namaluję. Nawet zastanawiam się, czyby nie zostawić tego płótna, ale wolę go zatrzymać i zgłosić na przyszłoroczny Salon. Wciąż mam do siebie pretensje, że w tym roku niczego nie zgłosiłam. Co innego spotkać się z odrzuceniem, a co innego nawet nie spróbować.

Bierność - najgorsza z chorób.

Idziemy piaszczystą drogą. Jeszcze raz zerkam na obraz. W pewnym sensie jest symboliczny. Tak było nam pisane - Edma ma dziecko, ja mam obraz.

- Kto to? - odzywa się moja siostra.

- Gdzie?

Dłonią ocieniam oczy. Na schodkach przed domem siedzi mężczyzna. W pierwszym momencie nie widzę wyraźnie, bo razi mnie słońce. O szóstej wieczorem wyraźnie już chyli się ku zachodowi, ale promienie nadal są ostre. W pobliżu nie ma drzew, które by je przesiewały, więc rażą niemiłosiernie. Oślepią dostrzegam tylko zarys męskiej sylwetki, więc w pierwszej chwili myślę, że to Adolphe wrócił przed czasem do domu.

Na moment serce zatrzymuje mi się w piersi. Nie, to nie może być...

- Édouard? - szepczę.

Toż to niemożliwe! W żołądku zaczyna mi kipieć, w głowie szumi. Z pewnością wzrok mnie myli.

- Rzeczywiście, to on - mówi Edma. - Berthe, przyjechał do ciebie.

Przyspieszam kroku na tyle, na ile to możliwe z obrazem i sztalugami. Edma niesie tylko skrzynkę z farbami. Z łatwością mnie wyprzedza. Kiedy się zbliżamy, Édouard wstaje i zdejmuje kapelusz.

- *Bonjour*, madame Pontillon. *Et mademoiselle...* Tak się cieszę, że panie spotykam. Już się bałem, że przyjechałem na próżno.

Podchodzi do mnie i wyjmuję mi z rąk sztalugi. Nagle z niepokojem myślę o obrazie, który jeszcze przed chwilą sprawiał mi taką radość. Przesuwam go tak, by Édouard nie zobaczył, co namalowałam.

- Mam nadzieję, że nie czekał pan długo. - Edma odstawia na stopnie skrzynkę. - Korzystając z pięknej pogody, wybrałyśmy się nad zatokę.

- Dobrze pani wygląda, madame. - Édouard uśmiecha się do niej. - Dopiero co przyszedłem. Mademoiselle, jakże się cieszę, że znów pani pracuje. Czy wolno zobaczyć, co pani namalowała?

Skąd się tu wziął?

Waham się. Obiema rękami ściskam ramę, uważając, by nie rozmazać świeżej farby. Wiatr przynosi zapach oleju. Przypomina mi się ostatnia wizyta w pracowni Édouarda. Właściwie dlaczego? Przecież to ten sam ostry zapach, który otacza mnie co dzień.

Édouard wyciąga rękę i delikatnie obraca obraz. Przez chwilę ogląda go w milczeniu.

- To arcydzieło.

Przypomina mi się, jak Degas opowiadał kiedyś, że Édouard często zachwyca się pracami kolegów, a zaraz potem - jak *maman* ostrzegała, bym nauczyła się odróżniać komplement od oceny pracy. Mimo to serce mi frunie niczym liść unoszony przez wiatr.

- Ma pani niewiarygodny talent - ciągnie Édouard. - Jestem pełen podziwu. Chętnie dodałbym ten obraz do swoich prywatnych zbiorów. Niech pani poda cenę.

Edma śmieje się głośno i klaszcze jak uradowane dziecko. Cofam się, bo nagle mam wrażenie, jakby stał zbyt blisko.

- Niechże pan nie żartuje. Nie mogę go sprzedać. Farba jeszcze nie wyschła.

Zacinam się i jestem na siebie wściekła. Przychodzi mi z odsieczą Edma.

- Co pana sprowadza do Lorient?

- Co mnie sprowadza? To chyba oczywiste. Mademoiselle Berthe.

Czuję gęsią skórkę. Edma wydaje jakiś nieartykułowany odgłos.

- Cóż, państwo darują, pójdę do domu - mówi. Drzwi zamykają się za nią, ale zaraz znów otwierają.

Wysuwa głowę.

- Pomyślałam, że teraz będzie pan miał ochotę na przechadzkę, ale poza tym serdecznie zapraszam. O każdej porze.

Znika w środku, zostawiając mnie sam na sam z Édouardem.

# Rozdział 15

*Gwiazdy, rzeki i fale przywołują cię z powrotem.*

Pindar

W promieniach zachodzącego słońca samotne drzewo na podwórku mojej siostry mieni się odzieniami bursztynu. Tam gdzie promienie przenikają przez liście, pieszcząc gałęzie i pień, nabiera barwy palonej umbry. Zmierzch zwykle budzi we mnie nieokreśloną tęsknotę za czymś nienazwanym, czego nie potrafię opisać.

Tego wieczoru, gdy stoimy na ganku przed domem Edmy, Édouard podaje mi ramię.

- Wybrałaby się pani na przechadzkę?

- Z rozkoszą.

Kiedy wsuwam rękę pod jego zgięty łokieć, czuję się jak zalewająca nas słoneczna patoka: miękka, gorąca, promienna.

Tego wieczoru wreszcie czuję, że znalazłam to, o czym całe życie marzyłam.

Długo idziemy w milczeniu, wreszcie pytam:

- Dlaczego pan przyjechał?

- Mademoiselle, zniknęła pani. Czekałem, aż pani napisze. Daremnie. Wreszcie musiałem wysłać Fantina na przeszpiegi. Podpytał pani *maman* i oto jestem.

Przykrywa dłonią moją rękę spoczywającą na jego ramieniu. Nie mieści mi się w głowie, że zadał sobie tyle trudu, by mnie odszukać. Jeśli *maman* w liście nie kłamała, pozostaje mi tylko się dziwić, jakim cudem wyrwał się ze szponów czarującej Ewy.

- *Maman* wspomniała w liście, że pańską uwagę pochłania mademoiselle Gonzalès. Nie pisałam, bo odniosłam wrażenie, że nie ma pan czasu na nic innego.

Édouard mruży oczy i ściąga brwi. Wygląda na autentycznie zaskoczonego.

- Nieprawda. Czy pani siostra poczuje się dotknięta, jeśli udamy się na dłuższą przechadzkę aż do końca portu?

Potrząsam głową.

- W promieniu czterystu kilometrów nie ma nikogo, kogo by to oburzyło.

Znów spacerujemy w milczeniu. W głowie wirują mi setki myśli. Zastanawiam się, jak wytłumaczył Suzanne wyjazd do Lorient. Jeśli wytłumaczył. I na jak długo planuje zostać. Czy zamierza poprosić Edmę o przenocowanie? Zagłuszają je jednak aluzje *maman* do mademoiselle Gonzalès. Postrawiam chwycić byka za rogi. Édouard spacerem nie wyłga się od wyjaśnień.

- Jak stosunki z mademoiselle Gonzalès? Poprawne?

Wzrusza ramionami. Przez chwilę się waha, wreszcie kręci głową.

- Nie. Jak wspominałem podczas naszej ostatniej rozmowy, jest bardzo młoda i domaga się nieustannej uwagi. - Marszczy czoło. - Ja zaś nie mam na to czasu ani cierpliwości.

- Doprawdy? *Maman* pisała, że... Zaraz, jak brzmiały jej słowa?... Że z entuzjazmem i nieskrywanym zachwytem maluje pan tę śliczną dziewczynę.

- Nie zamierzam podważać słów pani rodzicielki, ale było *au contraire*. Kiedy złożyła mi wizytę, pracowałem jak szalony, żeby wreszcie ukończyć portret tej panny.

- Z lekceważeniem macha ręką. - Dłużej nie zamierzam się z tym mordować. Wczoraj poinformowałem jej ojca, że nie będę z nią więcej pracował.

Próbuję powściągnąć uśmiech. Staram się iść normalnie, jakbyśmy gawędzili o pogodzie czy innych błahostkach, ale z trudem panuję nad dziwną błogością. Rozkoszne uczucie - mogę być blisko niego w miejscu publicznym bez obawy, że wpadniemy na znajomego, który z rozkoszą ogłosi to potem całemu światu.

Édouard wciąż przykrywa dłonią moją rękę. Przechodnie patrzą na nas jak na małżonków zażywających ruchu w ten cudowny wiosenny wieczór. Nie mijamy wielu osób, ale ci, których spotykamy, uśmiechają się do nas i uchylają kapeluszy. Édouard idzie wyprostowany, jakby szczycił się moim towarzystwem.

Mam wrażenie, że wiem, co czułabym jako jego żona. Właśnie tak wyglądałoby nasze małżeństwo.

Przestaję się zastanawiać, co go sprowadziło do Lorient. Przysuwam się bliżej, by poczuć znajomy zapach Édouarda - woń oleju lnianego, wełny i mięty. Przez kilka cudownych, zatrzymanych w czasie chwil tulę się do jego ramienia. Poddaję się błogiemu złudzeniu, że mam do tego prawo.

Kierujemy się w stronę portu. Patrząc na popękaną ziemię, przypominam sobie pierwszą wizytę w pracowni Édouarda, kiedy powietrze pachniało świeżością, a świat wydawał się nowy, pełen nieograniczonych możliwości.

Nie dochodzimy do brzegu, bo Édouard skręca z ulicy i prowadzi mnie ku porośniętemu trawą pagórkowi, którego wcześniej nie zauważyłam. Zatrzymujemy się na szczycie, pod rozłożystą wierzbą płaczącą.

Drobinki pyłu tańczą w promieniach słońcach, które przeświecają przez gałęzie, podkreślając świeżą zieleń młodych listków.

Édouard siada na trawie i przyciąga mnie do siebie. Przez chwilę wydaje mi się, że mnie pocałuje. On tymczasem przygląda mi się spod przymkniętych powiek. Nogą dotyka mojej nogi.

Gram na zwłokę, z przesadną uwagą układając fałdy spódnicy. Kiedy podnoszę wzrok, nie mam wątpliwości, że Édouardowi podoba się to, co widzi. Czuję się jednak skrepowana intensywnością jego

spojrzenia. Mam wrażenie, jakby porównywał mnie ze wszystkimi kobietami, które do tej pory obejmował.

Nie przeszkadza mi, gdy jestem porównywana - dopóki dotyczy to sfer, nad którymi mam kontrolę, na przykład pracy. Nie lubię jednak, gdy dotyka to sfery osobistej, bo zbyt często towarzyszy temu odrzucenie. Obraz mogę naprawić, zmienić kolorystykę czy kompozycję. Siebie jednak nie zmienię. I dobrze, bo nigdy nie chciałam być inna. Także teraz. Zwłaszcza teraz.

Zawsze odchodziłam, zanim uwielbienie adoratora opadło. Tak jest łatwiej. Wtedy nie trzeba patrzeć, jak jego zainteresowanie gaśnie. Nie rodzi się zaangażowanie. Wszystko kończy się, zanim się zacznie. I dobrze. Bo przecież związek i tak w końcu by się rozpadł.

Ale oto pojawił się Édouard. Wytrwały i uparty. Idzie za mną krok w krok. Choćbym uciekała co sił w nogach, ilekroć się obejrzę - wciąż za mną jest.

Po niebie przelatuje stadko skrzeczących ptaków.

- Lubię na ciebie patrzeć. - Édouard głos ma matowy. Przysuwa się bliżej. - Lubię z tobą być.

Euforia walczy we mnie z paniką.

Jak by zareagował, gdybym odrzuciła konwenanse i wzięła to, czego chcę, jak zwyczajna dziewczyna? Tak złowiła go Suzanne - choć nie potrafię sobie wyobrazić u niej takiej zuchwałości.

Édouarda i mnie łączy to samo szaleństwo, te same aspiracje i taka sama pogarda wobec samozwańców twierdzących, że malują prawdę. To nas związało - prawda i piękno, a nie igraszki w łóżku. Nie zostaliśmy schwytani w pułapkę małżeństwa dla dobra dziecka.

- Dlaczego nazywasz Léona chrześniakiem, skoro jest twoim synem?

Prostuje się, ale unika mojego wzroku.

- Nie jest moim synem.

Wzbiera we mnie rozdrażnienie, które lada moment może przerodzić się w pogardę.

- Nie musisz przede mną udawać, Édouardzie. Przecież wiem, że ożeniłeś się z Suzanne ze względu na niego. Czyż nie tak?

Palcem biorę go pod brodę, zmuszając, by spojrzał mi prosto w oczy. Blednie.

- Nie, nie dlatego ożeniłem się z Suzanne.

- Więc z jakiego powodu?

- To skomplikowane. Nie chcę psuć tej chwili rozmową na ten temat.

- Czy to znaczy, że ją kochasz? Zakrywa twarz dłońmi.

Nie potrafi odpowiedzieć, a ty wciąż tu z nim siedzisz? - pyta cnotka. - Zacznijmy od tego, że w ogóle nie powinnaś zostawać z nim sam na sam.

Wstaję i odchodzę.

- Czekaj. Proszę, nie idź. Zatrzymuję się, ale nie odwracam.

- Nie zamierzam psuć sobie reputacji. Zwłaszcza dla mężczyzny, który kocha inną.

Robię kilka kroków.

- To nie tak. Proszę, zostań, wszystko ci wyjaśnię.

Wracam na miejsce obok niego, ale tym razem siadam nieco dalej. Moszczę się wygodnie. Édouard wzdycha. Wydaje mi się, czy w oczach kręci mu się łza?

- Nigdy nie rozmawiałem o tym z nikim spoza rodziny. - Zrywa źdźbło trawy i bawi się nim. - Léon jest moim bratem.

Zachłystuję się. Przypominają mi się słowa Degasa, którym nie chciałam dać wiary.

- Nie rozumiem.

- Kiedy służyłem w marynarce, ojciec zakochał się w pewnej dziewczynie. - Wahanie. Znow skubie trawę. - Tą dziewczyną była Suzanne.

Podnosi głowę i patrzy mi prosto w oczy.

- Był żonaty z moją matką, która urodziła mu trzech synów. Nie mógł jej porzucić. Dlatego sprowadził Suzanne pod nasz dach, podając ją za nauczycielkę muzyki. Matka nie była zachwycona, ale nie mogła sprzeciwić się decyzji męża. Jakies osiem lat przed śmiercią ojca Suzanne urodziła syna. Oczywiście sprawę zatuszowano. Suzanne wróciła do Holandii, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć jej odmienny stan, a potem wróciła z małym „braciszkiem”. Mama była wściekła. Nie życzyła sobie powrotu Suzanne, ale ojciec nie potrafił bez niej żyć. Zamierzał nawet odejść, by zamieszkać z Suzanne. Dopiero wtedy matka ustąpiła i zgodziła się na jej powrót. Gdyby rozwiódł się z matką i usynowił Léona, wybuchłby skandal, więc zgodziliśmy się na tę maskaradę i wszystkim mówiliśmy, że Léon to brat Suzanne.

Urywa. Głęboko nabiera powietrza.

- Potem ojciec zmarł. To było sześć lat temu. Matka nie tolerowała Suzanne. Była gotowa wyrzucić ją i chłopca na bruk. Próbowałem przemówić jej do rozumu. Na próżno. Zupełnie jakby gniew, który dusiła w sobie przez te wszystkie lata, przerwał wszelkie tamy. Suzanne nie miała się gdzie podziać. Nie miała pieniędzy ani przyjaciół. To naprawdę dobra kobieta. Nawet gdybym dał jej pieniądze, jaki los mogłaby zapewnić synowi? Dlatego się z nią ożeniłem.

Siedzę jak ogłuszona, raz za razem wygładzając fałdy spódnicy. Édouard wyciąga rękę i przeciąga palcem po moim policzku.

- Miałem trzydzieści dwa lata. Pomyślałem, że mogę jej oszczędzić strasznego losu. Bo nigdy nie byłem zakochany... aż do dziś.

Z trudem chwytam oddech. Édouard przesuwa dłoń z policzka na szyję, obojczyk, potem ramię, delikatnie muskając moją pierś. Wreszcie zatrzymuje rękę na moim udzie.

- Kocham cię, Berthe. Od pierwszego wejrzenia, od dnia, gdy zobaczyłem cię w Luwrze. Czasem boję się, że postradam rozum, tak bardzo cię pragnę.



Patrzę na jego dłoń. Palce szerokie i krótkie, czyste paznokcie. To nie byle co, bo większość malarzy ma szorstkie i brudne ręce.

On ma czyste.

W oczach wzbierają mi łzy. Serce podchodzi do gardła. Nie mogę oddychać.

On też, jak ja, do tej pory jeszcze nikogo nie kochał.

Kładę rękę na jego dłoni. On rozsuwa palce, przeplata z moimi, a potem zaciska nasze połączone dłonie.

Gdyby ktoś spytał, dlaczego pokochałam Édouarda, odpowiedziałabym pytaniem. A dlaczego niebo jest niebieskie? Dlaczego miód ma słodki smak? Moje uczucie jest naturalne jak wierzba nad nami, silne i głębokie jak jej korzenie.

Teraz zaś nabrałam pewności, że on czuje to samo do mnie.

Pochyla się i całuje mnie czule, gorąco. Językiem rozchyła moje wargi i wsuwa go głęboko, z pieścizotliwym naleganiem, które sprawia, że świat wokół mnie się rozplywa. Smakuje namiętnością i miętą, tak jak zapamiętałam.

Delikatnie popycha mnie, kładzie na trawie. Wiem, że za chwilę moje życie nieodwracalnie się zmieni.

Moje ciało nie zna dotyku innych męskich dłoni - prócz jego. Nigdy też nie miałam kochanka. Leżymy obok siebie. W kompletnym ubraniu. Słońce zachodzi nad portem, zapada zmrok i otula nas indygowa noc.

Édouard kładzie się na mnie. Boję się, że jeśli mnie nie weźmie, eksploduję z czystej żądz.

Jednak on się waha, wycofuje. Głęboko zagląda mi w oczy.

- Jesteś pewna, Berthe? Nie chcę, byś robiła coś, czego nie jesteś...

Kładę mu palec na ustach.

- Ciii... Niczego bardziej nie pragnę.

Przyciągam go mocniej do siebie. Z jego ust wrywa się jęk. Całuje mnie, potem zsuwa się na bok, zadziera czerwoną spódnicę i halki, odsłaniając moje gołe nogi. Dopiero wtedy zauważam, że już jestem bez butów. Sama nie wiem, kiedy jej zrzuciłam. Natychmiast jednak o nich zapominam. Leżę bezwstydnie obnażona i patrzę, jak Édouard uwalnia się ze spodni.

Gładzi mój brzuch, potem przesuwając dłoń między uda i pieści moją kobiecość, póki nie znika moja nieodłączna towarzysząca, chmurność. Uwolniona bańka radości wzbiera we mnie i pęka.

Krzyczę.

- Jesteś taka piękna - szepcze.

Potem ustami rozgniata mi wargi i wchodzi we mnie.

# Rozdział 16

*Kocham w tobie to coś, co tylko ja odkryłem - ciebie.  
Prawdziwą, stokroć cenniejszą niż ta, którą podziwiają inni.*

Guy de Maupassant

Okragły księżyc świeci wysoko, gdy Édouard odprowadza mnie do Edmy. Długo leżeliśmy pod wierzbą. Patrzyłam, jak zmierzch ustępuje miejsca kurtynie nocy. Czas wydawał się równie nieistotny jak liczba gwiazd mrugających na pięknym indygowym sklepieniu. Mogłabym tak leżeć w nieskończoność - naga, wtulona w jego ramiona - rozmawiając, śmiejąc się i kochając raz za razem. Niestety w końcu wstajemy, on pomaga mi włożyć suknię i schodzimy ze wzgórza otuleni ciepłym kokonem miłości.

Obraz i skrzynka z farbami wciąż stoją na ganku. Odstawiam obraz blokujący przejście.

- Wejdz - zapraszam Édouarda. - Edma pozwoli ci przenocować.

Kręci głową.

- Nie chcę się narzucać twojej siostrze. - Ujmuje moje dłonie. - Zresztą nie potrafiłbym spać samotnie w zimnym łóżku, gdy ty leżysz tuż za ścianą. Przenocuję w gospodzie, a jutro wrócę pociągiem do Paryża.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie mogę pójść z nim do gospody. Opadają mnie setki kosztownych pytań. Dlaczego musi wracać? Czy spotkamy się jutro, zanim opuści Lorient? A jeśli nie, to kiedy znowu go zobaczę?

Co potem, Édouardzie?

Panika przeszywa mnie niczym lodowate noże. Zastanawiam się, jak Édouard może zachowywać spokój, podczas gdy ja ledwo panuję nad rozpaczą?

- Przypomina mi ciebie. - Ruchem głowy wskazuje mój widok portu. - Ilekroć na niego popatrzę, będę wspominał ten dzień.

- O, to pachnie pożegnaniem.

Brzydzę się sobą za te słowa. Za dużo w nich przygnębienia, zaborczości.

- Nie, Berthe, to dopiero początek. - Przyciąga mnie i całuje. Pragnę go równie gorąco jak wtedy, gdy posiadał mnie pierwszy raz. - Lepiej już idź. Siostra pewnie się zamartwia o ciebie.

Schodzi po stopniach. Na dole zatrzymuje się, odwraca i posyła mi całusa.

Wzrokiem odprowadzam jego sylwetkę znikającą w słonym mroku nocy. Wiem doskonale, że związując się z nim, narażam swoją przyszłość. Kusi mnie, by pobiec za nim, kochać się aż do rana. Niech wschodzące słońce pobłogosławi naszą miłość.

A jednak zostaję.

Przez chwilę stoję w chłodnym mroku. Serce pęka mi na tysiące kawałeczków. Nie rozsypuje się tylko dzięki klejowi obietnicy, że to zaledwie początek.

\*

Kiedy wchodzę, w domu panuje nieprzenikniony mrok. Widocznie Edma się położyła. Jestem zawiedziona, bo chcę z nią porozmawiać. Pragnę ze szczegółami przekazać jej cudowne nowiny tego wieczoru: prawdziwy powód małżeństwa Édouarda z Suzanne, to że się kochaliśmy, że jesteśmy zakochani.

Jestem odmieniona. Stałam się w pełni kobietą, a rzeczywistość dorównała moim najskrytszym marzeniom. Teraz potrzebuję tylko wsparcia Edmy, jej potwierdzenia, że przyszłość maluje się w jasnych barwach - Édouard rozwiedzie się z Suzanne i ożeni ze mną.

Staję na szczycie schodów i nasłuchuję. Cisza śpiącego domu aż dźwięczy w uszach. Jeśli Edma spodziewa się dziecka, potrzebuje odpoczynku. Postanawiam jej nie budzić. Zabiorę obraz i skrzynkę do swojego pokoju, gdzie będę marzyć o małżeństwie i dzieciach.

Tak, może dam Édouardowi dziecko. Kładę rękę na brzuchu. Cała jestem obolała, ale to przyjemny ból. Żałuję tylko, że nie ma teraz przy mnie Édouarda, że nie może mnie przytulić.

Zasypiam z myślą, że gdyby posiał dziś we mnie swoje nasienie, moje życie byłoby naprawdę pełne...

Kiedy wreszcie świt budzi dzień, szybko się ubieram - może Édouard złoży szybką wizytę przed wyjazdem? - i zbiegam na dół. Nie mogę się doczekać, by o wszystkim opowiedzieć Edmie.

Ona jednak wita mnie lodowatym spojrzeniem.

- Gdzie się włóczyłaś nocą? - syczy.

Staję w progu pokoju, zaskoczona tym tonem.

- Jeśli pytasz o ubiegły wieczór, spacerowałam z Édouardem, przecież wiesz.

- Ty zaś doskonale wiesz, że właśnie to mnie niepokoi. Zamartwiałam się o ciebie. Zniknęłaś na wiele godzin. Zrobiło się ciemno. Panicznie się bałam, czy coś się nie stało.

Coś rzeczywiście się stało i było precudowne. Szkoda, że Édouard nie będzie mógł usłyszeć, jak dzielę się tym z siostrą.

- Och, nie bądźże niemądra, Edmo. Nic złego się nie wydarzyło. Byłam z nim i...

- W tym rzecz. Co pomyślą mieszkańcy Lorient? Moja siostra włóczy się z żonatym mężczyzną, robiąc Bóg jeden wie co.

- Daruj, ale mieszkańcy Lorient nie znają mnie ani nie mają pojęcia, że Édouard jest żonaty. Zresztą od kiedy to się dla ciebie liczy? Jeśli dobrze sobie przypominam pewną rozmowę w czasie spaceru nad Sekwaną, sama radziłaś, bym związała się z nim, nie zważając na oburzenie cnotek. Czyżbyś nie mówiła szczerze?

Jakbym ją spoliczkowała. Otwiera usta. Zamyka je, nic nie mówiąc. Czuję przeblysk uczucia dziwnie przypominającego niechęć.

- Odpowiedz, Edmo, po co zachęcałaś, bym szukała rozkoszy, skoro nie mówiłaś z przekonaniem?

Na jej twarzy pojawia się zdumienie.

- Więc tego wczoraj szukałaś? Rozkoszy?

- Żebyś wiedziała! - wyrzucam z siebie. Słowa dźwięczą w lodowatej przestrzeni między nami.

Przymyka powieki. Przez chwilę wydaje mi się, że zemdleje. Kiedy jednak otwiera oczy, widzę w nich nieskrywane obrzydzenie.

- Jak mogłaś, Berthe? To wprawdzie nie jest Paryż, ale nie zapominaj, że muszę tu mieszkać.

- Skąd ta nagła przemiana, Edmo? Po co zachęcałaś, bym wyznała Édouardowi, co czuję, skoro teraz się gorszysz?! - wrzeszczę. Nie panuję nad głosem.

To nie moja siostra tam siedzi. To jakaś obca kobieta. Moja siostra jest pełna ciepła, wyrozumiała, zawsze mnie akceptuje. Nic mnie nie łączy z tą hipokrytką z obrączką na palcu. Nie chcę jej znać.

- Drażniłaś się ze mną, wodziłaś na pokuszenie, bo sądziłaś, że zabraknie mi odwagi, bym szukać szczęścia, którym ty cieszysz się z Adolphe'em? Nie chcesz, bym go doświadczyła?

Kątem oka zauważam ruch za drzwiami. Dominique kuli się, przyglądając się nam z ukosa.

- Nie przejmuj się, Dominique - uspokaja Edma. - Wszystko jest w porządku.

Czekam, aż służąca zniknie.

- Nie, nic nie jest w porządku. Wyjadę jeszcze dziś, przedpołudniowym pociągiem.

- Berthe...

Ale ja już odwróciłam się plecami.

\*

Jeśli się pospieszę, złapię pociąg o jedenastej do Paryża. Ależ Édouard się zdziwi na mój widok!

Nie udźwignę kufra, więc staram się załadować jak najwięcej do walizki. Łapię obraz i pieszo ruszam na dworzec.

Edma próbuje mnie zatrzymać, ale całuję ją i mówię:

- Tak będzie lepiej. Teraz nie powinnaś się denerwować. Później przyślę po rzeczy.

Przestaje nalegać. Na nasze stosunki padł cień. Przykro mi, że rozstajemy się bez zwykłej serdeczności, ale nie pozwolę, by mnie osądzała. Właściwie powinnam była się tego spodziewać. Edma to grzeczna córeczka, która zawsze robi, czego się od niej oczekuje, i tylko mnie zachęca, bym poszła tam, gdzie sama się nie odważy. A ja zawsze dawałam się namówić, bo... cóż, ja nie byłam grzeczną córeczką.

Podczas krótkiej wędrówki do dworca rozwiewa się smutek i rozżalenie po kłótni z Edmą. Skupiam się na tym, co powiem Édouardowi. A powiem, że go kocham. Że to, co wczoraj nas połączyło, było najcudowniejszym darem losu. Że nigdy nie chcę się z nim rozstawać.

Wchodzę na stację, czując w brzuchu przyjemne łaskotanie na wspomnienie jego pocałunku. Jestem przekonana, że zobaczę go na peronie, jakby tam na mnie czekał.

Ale Édouarda nie ma.

Pewnie dojada śniadanie i wkrótce się pojawi. Kupuję bilet i siadam na ławce. Czekam.

Bileter rozmawia z kimś w środku. To nie jest głos Édouarda. Od razu bym go rozpoznała. Wiatr podrywa z ziemi jakąś kartkę. Papier przefruwa nad torami i ląduje w pobliskich krzakach.

Słońce pnie się coraz wyżej po błękitnym niebie. Wreszcie odległy turkot pociągu ogłasza nadejście jedenastej.

Édouarda wciąż ani śladu.

Kiedy pociąg z piskiem hamuje na stacji, wślizguję się do poczekalni i podchodzę do kasy.

- Przepraszam - zwracam się do biletera. - Czy to jedyny dzisiaj pociąg do Paryża?

- To ostatni dzisiaj, mademoiselle. Wcześniejszy odjechał o szóstej rano.

Krew krzepnie mi w żyłach.

- Czy porannym pociągiem odjechał pewien dżentelmen?

- *Oui, mademoiselle.*

- Proszę wsiadać! - dobiega wołanie konduktora.

Przytłoczona wracam na peron i samotnie wsiadam do pociągu.

# Rozdział 17

*Co okropniejsze: pragnąć i nie posiadać, czy posiadać, a nie pragnąć?*

W.B. Yeats

Jestem w Paryżu już od dwóch dni, a Édouard mnie nie odnalazł. Tłumaczę sobie, że nie wie o moim powrocie, a zaraz potem jestem święcie przekonana, że żałuje tego, co się wydarzyło, i mnie unika.

Jeśli próbował skontaktować się ze mną w Lorient, a nie otrzymał odpowiedzi, mogą go opaść podobne wątpliwości. Nie mam pojęcia, co Edma mu powie - jeśli w ogóle coś powie - wciąż bowiem nie dała znaku życia. Nie wiem, czy nadal jest na mnie obrażona ani - co bardziej niepokojące - jaką relację z mojej wizyty zamierza złożyć mamie.

Kiedy zjawiłam się w domu, oświadczyłam tylko, że wyjechałam, ponieważ w Lorient brakuje interesujących pejzaży, a zabrakło mi czasu, by uprzedzić o powrocie. Właściwie można powiedzieć, że nie skłamałam. Paryż jest moją muzą. Wyjątek stanowi jedynie widok na port w Lorient i pewna wierzba płacząca. Bez wątplenia kiedyś to drzewo namaluję, ale na razie wolę oglądać je we wspomnieniach, nie na płótnie.

*Maman* przyjmuje te tłumaczenia. W ogóle humor jej dopisuje. Tę poprawę nastroju przypisuję zadowoleniu ze szpili, jaką mi wbiła, pisząc o zauroczeniu Édouarda Evą Gonzalès. Żadna z nas jednak o tym głośno nie wspomina. Zresztą staram się skupić na tym, jak Édouard pozbył się ślicznej pannicy. Nie dopuszczam do siebie myśli, że Eva jakimś sposobem z powrotem wkupiła się w jego łaski i to go zatrzymuje.

Wieszam widoczek z Lorient w pracowni, żeby często nań spoglądać i przywoływać słowa Édouarda: „Ilekcroć na niego popatrzę, będę wspominał ten dzień”.

Zwykle spojrzenie na obraz pomaga. Bywa jednak, że płótno ze zdwojoną siłą przypomina, jak od tamtego dnia wszystko się skomplikowało. Samotna postać na zimnym kamiennym murku. Czeka... Im dłużej siedzę w domu - w więzieniu własnej samotności - tym trudniejsza staje się moja sytuacja.

Krażę po atelier, chodząc od swoich sztalug do opuszczonego miejsca, w którym zwykle stała Edma. Uświadamiam sobie, że źródłem niepokoju i przygnębienia jest nie tylko tęsknota za Édouardem. Dręczy mnie również to, jak rozstałam się z Edmą.

Jeśli chcę odzyskać spokój ducha, muszę się z nią pojednać. Nie przeszkadza mi, że to ja pierwsza wyciągnę rękę.

Wchodzę do bawialni. *Maman* czyta. Podnosi wzrok znad książki.

- *Bonjour, bijou.*

Nie zwracała się tak do mnie od niepamiętnych czasów.

- Widzę, *maman*, że humor ci dopisuje. Odkłada książkę na kolana.

- Dobrze mieć cię w domu. Dopiero kiedy wyjechałaś, uświadomiłam sobie, jak pusto robi się bez dzieci.

Dziwne. Przecież nie jestem gadatliwa. Moja nieobecność powinna właściwie przejść niezauważona. Siadam przy biurku i wyjmuję papier listowy.

*Maman* śledzi każdy mój ruch.

- Do kogo piszesz?

- Do Edmy.

- Tęsknisz za nią? Ach, trudno się dziwić. Wizyta musiała się bardzo udać, skoro już nie możesz się doczekać, by znów napisać do siostry. Kiedy nasycisz się malowaniem, koniecznie pojedź do niej znowu,

Potakuję, wyjmując z szufladki pióro.

- Ogromnie mi się podoba portret Edmy w porcie - ciągnie *maman*. - Choćby dla niego jednego warto było pojechać do Lorient. Skoro najwyraźniej nie zamierzasz szukać męża, dobrze, że przynajmniej wróciłaś do malowania.

Czy przestaniesz wreszcie trajkotać? Nie chcę się zapuszczać w niebezpieczne rewiry tematu moich potencjalnych kandydatów na męża. To mi przypomina, jak wiele spraw ja i Édouard musimy jeszcze zaplanować. Ciekawe, ile czasu będzie potrzebowała *maman*, by się pozbierać, gdy ja i Édouard ogłosimy swoje zamiary.

Rodzice się starzeją. Przykro mi, że będę musiała sprawić *maman* przykrość. Jednak się pocieszam, że z czasem zaakceptuje Édouarda i wybaczy mu pomyłkę, jaką był ślub z Suzanne.

Przykładam pióro do kartki w nadziei, że mama zrozumie aluzję i nie będzie mnie rozpraszała rozmową.

Najdroższa Edmo!

Proszę, nie gniewaj się na mnie. Serce mi się ściska, ilekroć sobie przypomnę, jak się rozstałyśmy. Zaklinam, spróbuj wybaczyć i zapomnieć. Nigdy jeszcze na niczym przebaczeniu tak mi nie zależało.

Twoja kochająca

Berthe

Przelanie uczuć na papier przyniosło odczuwalną ulgę. Powinnam napisać też do Édouarda, dać znać, że wróciłam. Wyciągam następną kartkę.

- Kiedy cię nie było, uświadomiłam sobie coś niezwykle ważnego, *bijou*.

Podnoszę wzrok na mamę, która patrzy na mnie znad okularów.

- Co takiego?

- Nie doceniałam cię, skarbie. To nie twoja wina, że publiczność opacznie zinterpretowała znaczenie „Balkonu” monsieur Maneta. Kiedy zobaczyłam, jak on zachowuje się wobec mademoiselle Gonzalès, wreszcie uwierzyłam w twoją niewinność. To zwykły uwodziciel, który nie potrzebuje zachęty. Traci rozum na widok każdej ładnej spódniczki. Teraz wiem, że go nie zachęcałaś. Niesłusznie cię oskarżałam.

Wewnątrz aż kipię ze złości. Ton matki doprowadza mnie do furii. Ta niezachwiana pewność, że tylko jej ocena sytuacji jest słuszna!

Z trudem się powstrzymuję, by nie wykrzyknąć jej prosto w twarz, że się myli. Że nie ma pojęcia, jakie naprawdę są zamiary Édouarda. Nie jest uwodzicielem! Nie traci rozumu na widok każdej spódniczki!

Kocha mnie.

A ja jego.

- Swym wyjazdem do Lorient przywołałaś go do porządku - ciągnie *maman*. - Niech wie, że ty nie dasz się złapać na takie plewy. Gdy widziałam w pracowni, jak w obecności żony umizgiwał się do tej dziewczyny, nie posiadałam się z oburzenia. Suzanne była wstrząśnięta jego zachowaniem. Madame Manet kazała mi dotknąć jej rąk, bo bała się, że Suzanne ma gorączkę. Przyczyny nie trzeba było daleko szukać.

Przeszywa mnie strach. Boję się, że nie uda mi się go ukryć. Dłużej nie wytrzymam *maman* i jej nieustannego trajkotania. Wstaję od biurka i z listem do Edmy oraz czystą kartką w ręku idę do drzwi.

- Dokąd idziesz?

- Przygotować list do wysłania.

- Zostaw, dopilnuję, by Amélie go wysłała. Jeśli to zrobię, przeczyta.

- Chcę jeszcze coś dopisać - zbywam ją. - Dam Amélie, kiedy skończę.

- Zaczekaj, nie spiesz się tak. Dochodzi dwunasta, zjemy razem.

- Nie jestem głodna. Wciąż nie wróciłam do siebie po podróży.

Naprawdę nie mam ochoty na jedzenie. Mięso, sery i chleb nie zaspokoją nękającego mnie głodu.

- Jak chcesz.

Zamykam się w pracowni i długo patrzę na czystą kartkę. Jeśli napiszę, istnieje obawa, że list wpadnie w niepowołane ręce. Nie mogę ryzykować. Zresztą to tylko przedłuży czekanie.



Po jedzeniu *maman* ucina sobie drzemkę. Wtedy wymknę się do Édouarda. Porozmawiamy i wszystko będzie dobrze.

\*

Obraz jest spory i niewygodny w transporcie. Muszę go jednak zawieźć do Édouarda. Dopóki nie połączymy się na zawsze, niech wisi u niego i przypomina, jak bardzo siebie potrzebujemy. I jak dobrze jest nam ze sobą.

To oczywiste i zupełnie logiczne.

Z chodnika widzę, że okna pracowni są otwarte. To dobry znak. Zastałam go. Zresztą ani przez chwilę nie wątpiłam, że będzie w atelier.

Na ulicy pachnie wiosną, z pobliskiego targu dopływa woń kwiatów. Wdycham aromat piezowego ciasta niosący się od cukierni po drugiej stronie bulwaru. Nic dziwnego, że przy tak pięknej pogodzie Édouard otworzył okna na oścież.

Konie rżą i parszczą nerwowo. Woźnica uspokaja je i proponuje, że wniesie obraz na górę, ale odmawiam. Wolę sama pokonać cztery piętra, taszcząc nieporęczny pakunek. Idę wolno, by nie stracić równowagi na stromych schodach.

Zatrzymuję się przed drzwiami i chwilę stoję na ciemnej pustej klatce schodowej, by odzyskać oddech, nim zapukam. Z pracowni nie dobiega żaden odgłos. Gdyby nie moja niezachwiana wiara w nasze uczucie, pewnie bym się obawiała, jak Édouard mnie przyjmie albo czy jest sam.

Głęboko nabieram powietrza i lekko stukam w drzwi. Stoję. Serce dudni mi pod gorsetem. Chyba zapukałam za cicho. Już mam zastukać znowu, gdy drzwi się otwierają.

Pierwszy raz na jego wyrazistej twarzy widzę takie zdumienie. Liczę, że mnie obejmie, ale on kładzie mi rękę na ramieniu i wychyla się, rozglądając się po klatce schodowej.

- Przyszłaś sama?

Kiwam głową. Radość odbiera mi mowę. Édouard wciąga mnie do środka, zamyka drzwi, bierze ode mnie obraz i stawia byle gdzie. Chwyta mnie w ramiona i miażdży mi usta gorącymi, spragnionymi wargami.

O, jakże za nim tęskniłam!

Dziś pocałunek nie jest czuły i pieszczotliwy jak pod wierzbą w Lorient. Ja jednak zachęcam, by pił więcej, głębiej. W tym pocałunku zawiera się desperackie, straszliwe pragnienie człowieka, który wysuszony na wiór znajduje oazę na pustyni. Édouard przytula mnie tak mocno, że czuję jego narastające podniecenie. Rozkoszny ból nabrzmiewa we mnie. Z każdą pieszczotą, z każdym stłumionym jękiem ekstazy wszelkie wątpliwości rozplywają się bez śladu.

Wreszcie Édouard odsuwa się lekko, nie wypuszczając mnie z ramion.

- Witaj, ukochana. Kiedy wróciłaś? Spodziewałem się, że dłużej zagościsz u siostry.

- Dwa dni temu. Nie mogłam zostać w Lorient, wiedząc, że ty jesteś w Paryżu.

Zakłada mi za ucho niesforny kosmyk, przekrzywiając przy tym kapelusz. Zdejmuje mi go z głowy. Z włosów wysuwa się szpilka i z cichym brzękiem ląduje na podłodze. Oboje równocześnie schylamy się po nią i wybuchamy śmiechem, gdy się zderzamy. Nie prostując się, całuje mnie znowu. Tym razem łagodniej. Radosny całus na powitanie. I wtedy wiem, że jestem u siebie. To moje miejsce.

Podnosi z podłogi szpilkę, a ja czuję się jak nowo narodzona. Jego śmiech, szorstka broda na moim policzku i dotyk jego dłoni przywracają mi życie. Żałuję, że nie przyszedłem do niego natychmiast po powrocie do Paryża.

Wpina szpilkę w kapelusz. W tej prostej czynności, którą sama wykonuję automatycznie, kryje się coś niewiarygodnie intymnego. Jak zauroczona wpatruję się w jego duże palce trzymające delikatną szpilkę.

- Co przyniosłaś?

Odkłada kapelusz na taboret i sięga po obraz stojący płótnem do ściany.

- Prezent dla ciebie.

Odwraca go i oczy mu się świecą.

- Aaa, *oui*. Arcydzieło. Nie powinnaś mi go dawać. Zachowaj je na Salon.

- To jeszcze kilka miesięcy. Chyba będę mogła go od ciebie pożyczyć. Na razie jednak chcę, żeby wisiał u ciebie.

Édouard bacznie przygląda się płótnu. Kręci głową. Na jego przystojnej twarzy maluje się uznanie.

- Ten obraz jest za dobry, żeby marnował się w pracowni. Zabiorę go do domu i powieszę na honorowym miejscu.

Sprawia mi tym przyjemność. Mam wrażenie, jakby w ten sposób wprowadzał mnie do mieszkania.

Z czułością rozglądam się po pracowni. Wszystko stoi na swoim miejscu: książki, rekwizyty, pigmenty i pędzle w słoikach, tubki - niektóre ubrudzone i wyciśnięte do ostatniej kropli farby, inne nowiutkie - parawan pod ścianą; w głębi nieposłane łóżko. Minęło tyle czasu od mojej ostatniej wizyty. Czy coś się zmieniło?

Ja się zmieniłam.

Kiedy odwiedziłam go ostatni raz, nie byliśmy jeszcze kochankami. Na wszystko patrzę nowymi oczami, nawet na jego sztalugi.

- Nad czym pracujesz?

- Zobacz.

Ściągam rękawiczki palec po palcu i podchodzę do płótna.

Staję jak wryta. Z portretu spogląda na mnie Suzanne. Ubrana w delikatną białą suknię siedzi na białej kanapie na tle zwiewnych firanek. Wygląda niemal... pięknie.

Nie mogę się poruszyć. Patrzę na Édouarda, oczekując wytłumaczenia. On zaś energicznie czyści pędzle, jakby nie widział nic nadzwyczajnego w idealizowaniu swojej tłustej, nieciekawej... żony.

Zbiera mi się na mdłości. To na pewno od zapachu oleju lnianego. Dopiero teraz zauważam, że zbiłam rękawiczki w twardą kulkę. Rozprostowuję je i wygładzam. Wszystko, byle odwrócić wzrok od triumfującej Suzanne.

- Co o nim sądzisz? - Édouard się uśmiecha. Dyskusja kolegów po fachu.

Dlaczego ją maluje? - dopytuje się rozwścieczona Olimpia. - Dlaczego akurat teraz?

Bo jest jego żoną - przywołuje ją do porządku cnotka. - Najwyższy czas, by to zrobił.

Ależ ona nawet nie jest do siebie podobna! - zaperza się Olimpia. - To jakaś wyidealizowana lala.

Może właśnie tak ją widzi! - Cnotka zadaje morderczy cios.

- Wyjątkowo... biały - udaje mi się wydusić.

Édouard przygląda się portretowi spod przymrużonych powiek. Wzrusza ramionami.

- Zacząłem go kilka lat temu, ale nie dokończyłem. Teraz pomyślałem, że należy jej się rekompensata za tę ohydę, którą sprezentował nam Degas. Poczuła się dotknięta.

Więc to się zmieniło. Rzucam okiem na miejsce, gdzie wisiał portret Degasa, na którym Édouard zamalował twarz Suzanne. Obraz zniknął. Teraz Édouard próbował jej wynagrodzić tamto upokorzenie, przedstawiając ją w przesadnie pochlebny sposób.

- Ależ Édouardzie, Degas przynajmniej namalował ją prawdziwą. Na jego portrecie była znacznie bardziej podobna do siebie niż na twoim.

Oczy mu ciemnieją. Przez moment obawiam się, że zacznie jej bronić. Nie wytrzymam tego. Nie będę tego słuchać.

- Édouardzie, zawsze malowałeś to, co widzisz. Czy tak ją widzisz? Czy właśnie taka jest w twoich oczach? Jeśli tak, nie mamy o czym... Nie masz o czym...

- Berthe, wiele dla mnie znaczysz, ale ona jest moją żoną.

W głowie mi szumi, przed oczami mam mgłę, ziemia kołysze się pod stopami.

- Ale w Lorient powiedziałeś, że mnie kochasz.

Odwracam się. Muszę wyjść, nim zobaczy, co się ze mną dzieje. Łzy kapią mi jak groch. Ocieram je grzbietem dłoni, ale padają za szybko, by je ukryć. Udaje mi się dotrzeć do drzwi, ale Édouard już tam stoi.

- Proszę cię, nie odchodź.

- Po co przyjechałeś do Lorient?

- Ponieważ...

W panice szuka właściwych słów, wreszcie zamiast odpowiedzi przyciąga mnie do siebie. Obejmuje mnie, a ja płacząc wtulona w jego tors, jakbym wylewając cały swój ból, mogła odpędzić demony, które nas rozłączają.

A przecież wiem, że to niczego nie zmieni. On ją kocha.

Wyrywam się z uścisku i sięgam po klamkę.

- Pozwól mi odejść. Nie powinienes był przyjeżdżać do Lorient.

Zatrzaszkuje drzwi.

- Błagam, Berthe, nie odchodź. Nasze cudowne spotkanie w Lorient nie było pomyłką ani błędem. Wszystko się ułoży. Znajdziemy wyjście. Na pewno.

\*

Najukochańsza Berthe!

Oczywiście, że Ci wybaczam. Mam tylko nadzieję, że Ty również potrafisz mi darować wybuch, którym Cię wypędziłam. Coraz częściej zachowuję się nedorzecznie. Sama siebie nie poznaję.

Wciąż sobie powtarzam, że w swoim łonie noszę prawdziwy cud i dlatego czuję się obolała i obrzmiała. Czasem jednak nic nie potrafi mnie pocieszyć.

Głęboko się wstydzę niemądrej rady, której udzieliłam Ci w czasie tamtej przechadzki nad Sekwaną. Dałam się porwać naiwnym, romantycznym wyobrażeniom. Niestety, co odkryłam dopiero teraz, małżeństwo to sakrament. Nie wolno lekce go sobie ważyć. Wiem, że zrozumiesz, najdroższa siostrze. Proszę, wybaczyć mój brak rozwagi.

Ogromnie by mnie podniosła na duchu Twoja obietnica, że wkrótce znowu mnie odwiedzisz. Proszę, siostrzyczko, przyjedź.

Serdeczności

Twoja Edma

# Rozdział 18

*Zawiej, wietrze, proszę, tam gdzie mój wybranek.*

*Muśnij go i powróć do mnie nawałnicą,*

*Niech poczuje w sobie jego czuły dotyk,*

*A w Księżycu dojrzę jego piękne lico.*

„Ramajana”

## Lipiec 1870

Jestem wdzięczna nocy. Ukrywa wszystko prócz księżyca i gwiazd. Czy potrzebujemy czegoś więcej? Samotna w sypialni, spoglądam na sierp księżyca albo wybieram konstelację gwiazd i wierzę, że właśnie teraz Édouard patrzy w ten sam punkt na sklepieniu niebieskim. Zupełnie jakbym wyrysowała linię od siebie do gwiazd, a stamtąd poprowadziła ją do niego - bez względu na to, gdzie się znajduje. To nas łączy, a noc wymazuje całą, nic nieznaczącą resztę.

Byłam naiwna, wyobrażając sobie, że gdy zostaniemy kochankami, wszystko się ułoży, codzienne troski zmiecie siła naszej miłości. Tymczasem to nie takie proste. Więcej, od pamiętnej nocy w Lorient wszystko jedynie się skomplikowało.

Edma na czas porodu i połogu wróciła do Paryża. Urodziła śliczną córeczkę. Nadała jej imię Jeanne. Dopóki z nami była, z trudem znajdowałam chwilę, by wymknąć się do Édouarda.

Widujemy się rzadziej, niżbym chciała. Trudno mi pokornie się z tym pogodzić i czekać cierpliwie.

Nie mam się i nie oszukuję. Wiem doskonale, że oczarowanie nie zważa na przeszkody i pnie się wytrwale ku szczytowi, jakim jest spełnienie. Potem zaś następuje szybki, bolesny upadek, zakończony wyjątkowo twardym lądowaniem.

Czekam. Zwalczam pokusę, by przyspieszyć nadejście nieuniknionego.

Z nieba w kolorze indygo spada gwiazda.

Boję się, że to znak. Mimowolnie kładę rękę na brzuchu. Ostatnio straciłam apetyt. Jakże żałuję, że nie ma tu Edmy i nie mogę jej zapytać o pierwsze oznaki ciąży. Tak delikatnej kwestii nie poruszę przecież w liście.

Może to tylko nerwy.

Żyję w niepewności, a mogę tylko cierpliwie czekać i kreślić linie na gwieździstym niebie - nici nadziei, które łączą mnie z ukochanym.

Po kolacji przechodzę z *maman* i papą do bawialni. Mrużę oczy, bo razi mnie mocne światło lamp. Tata znów jest w wojowniczym nastroju.

- Nie zarzucaj mi braku patriotyzmu! Każdy, kto ma choć kroplę oleju w głowie, powinien wspierać Adolphe'a Thiersa - peroruje.

Nabrał tego nawyku wiele lat temu, gdy Thiers mianował go prefektem. Papa wciąż jest lojalny wobec byłego premiera i w pełni podziela jego poglądy.

Biedna *maman*, na nią spada ciężar słuchania wieczornej tyrady papy. Ja biorę książkę i szukam schronienia w kącie pokoju.

- Powiadam ci, Garmont to skończony błazen. Przez niego stoimy teraz na skraju wojny.

Wojna?

Oglądam się. Temat powraca od dwóch lat, ale tylko jako obsesja zrodzona w głowach ludzi, którzy twierdzą, że Francję zewsząd otaczają nieprzyjaciele.

- Papo, o czym ty mówisz?

- O tym, że na skutek poważnego błędu dyplomatycznego nie unikniemy wojny z Prusami. - Tata wyłamuje palce. - Francja w ogóle nie jest do niej przygotowana. To się skończy klęską. Ale *maman* jest głucha na moje ostrzeżenia. Nazywa mnie czarnowidzem. Zarzuca mi brak patriotyzmu.

Papa bywa uciążliwy. To wiem, ale jego błada z niepokoju twarz i ściągnięte brwi mówią mi, że nie wolno tych słów lekceważyć.

**14 lipca 1870**

Bulwarami maszerują setki bonapartystów. Zatrząskuję okno, ale i tak słyszę ich okrzyki *Vive la guerre!*\*

\* (Franc.) Niech żyje wojna!

Można odnieść wrażenie, że Paryż jak jeden mąż prze do wojny. W całej Francji trwają energiczne przygotowania do walki z podstępnyimi Prusakami, którzy od lat nas gnębili i upokarzali.

Wszyscy oficerowie marynarki otrzymali rozkaz zgłoszenia się na wyznaczonym okręcie. Adolphe dostał przydział w Cherbourgu, więc małżonkowie znów musieli się rozstać. Niestety, jak pisze Edma, tym razem zapewne na dłużej. Pociesza ją tylko myśl, że nasza marynarka jest mocna i dobrze uzbrojona.

Zachodzę w głowę, co się dzieje z Édouardem. Nie widziałam go od wybuchu ogólnonarodowej hysterii.

Podpytuję Tiburce'a, czy ma jakieś informacje o naszych znajomych - nie mogę zapytać wprost o Édouarda - ale brat mówi, że nie. Pozostaje mi tylko nadzieja, że jeśli Édouard zaciągnął się do marynarki, zdążę się z nim spotkać, zanim wyjdzie w morze.

Na szczęście marynarka jest dobrze uzbrojona. Szkoda, że tego samego nie można powiedzieć o wojskach lądowych. Młody, pełen chęci do walki Tiburce zgłosił się na ochotnika. Nie chciał czekać, aż rząd sam się o niego upomni. Został wysłany nad Ren.

Mimo opłakanego stanu naszej armii *maman* nie opuszcza dobrego humoru.

- Oto jak mężczyźni powinni się zachowywać, gdy ojczyźnie zagraża nieprzyjaciół - głosi.

Zapominać o wszystkim, co nie ma związku z wojną - czy to również zachowanie godne prawdziwego mężczyzny? Zdaję sobie sprawę, że w tej sytuacji nie powinnam myśleć wyłącznie o sobie. Czy jednak żądam zbyt wiele, oczekując, że Édouard powiadomi mnie o swoich planach albo chociaż zatroszczy się o mnie?

Coraz bardziej niepokoi mnie mój stan. Nie znam objawów ciąży, ale jedno nie ulega wątpliwości: nie czuję się dobrze. Kusi mnie, żeby odwiedzić Édouarda w atelier, ale w mieście panuje panika i *maman* na moment nie spuszcza mnie z oka. Upiera się, by wszędzie mi towarzyszyć. Jak mam porozmawiać z Édouardem, jeśli będzie słuchała każdego słowa?

Pozostaje więc czekać. Z każdą chwilą coraz bardziej odchodzę od zmysłów.

\*

Obie z mamą staramy się zachować pogodę ducha. Trudno jednak udawać jowialność, gdy po kilku tygodniach walk dociera wiadomość, że brygada Tiburce'a dowodzona przez marszałka Bazaine'a została pod Metzem okrążona przez Prusaków. Teraz już nie można się łudzić, że ten koszmar wkrótce się skończy, a odległe dudnienie dział tylko brzmi groźnie. Czy pada deszcz, czy to Paryż płacze nad swym losem?

### 3 września 1870

Prusacy wzięli cesarza do niewoli. Wydarzenia nieubłaganie prowadzą do kryzysu. Papa, ze względu na stanowisko w nowym rządzie, musi zostać w Paryżu. Zaklina, byśmy z *maman* pojechały do Edmy. Mama nie chce słyszeć o wyjeździe do Lorient.

- Gdzie mój mąż, tam i ja. Zostanę przy nim. Zresztą jak mam wyjechać, skoro nie znam losów swojego syna? Kiedy go uwolnią, nie będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

Tata najwyraźniej marzy, byśmy wyjechały i zostawiły go w Paryżu. Mogę więc tylko uspokajać mamę, że wszystko będzie dobrze.

O, gdybym sama w to wierzyła!

Kochana Edmo!

Wczoraj dostałam Twój list. Postanowiłam zostać w Paryżu, bo ani ojciec, ani mama nie nakazali mi opuszczenia miasta. Oczywiście chcą, żebym wyjechała, ale - tak jak ostatnio wszyscy - bez przekonania, spazmatycznie, gdy sobie o tym przypomnę. Wolałabym ich nie zostawiać. Nie dlatego, bym sądziła, że coś nam grozi. Po prostu uważam, że moje miejsce jest przy nich. Gdyby przytrafiło im się coś złego, do końca życia nękałyby mnie wyrzuty sumienia. Nie będę kłamać, że moja obecność sprawia im nadzwyczajną przyjemność. Jestem przygnębiona, właściwie się nie odzywam. Tyle się nasłuchiłam o czekających nas nieszczęściach, że przez kilka nocy prześladowały mnie koszmary, w których przeżyłam najgorsze okropieństwa wojny. Bogiem a prawdą, nie wierzę w te opowieści. Zachowuję spokój, bo jestem głęboko przekonana o pomyślnym obrocie spraw. Dom wygląda okropnie - wszystko pozdejmowane ze ścian, każdy pokój pusty i paskudny. Do tego jeszcze tata nieustannie coś zabiera. Ostatnio na przykład nadzwyczajnie zależy mu na uratowaniu jakichś landar z okresu I Cesarstwa. Kiedy jednak wspominam, że szafka i lustro z konsolą z mojej pracowni nie są zupełnie bezwartościowe, tylko uśmiecha się z wyższością. Aby uniknąć kłótni, po prostu przestałam się do czegośkolwiek wtrącać. Zresztą, szczerze powiedziawszy, niewiele mnie to obchodzi. W końcu pracować mogę wszędzie. Przestałam czytać gazety. Za bardzo mną wstrząsają okrucieństwa Prusaków, a przecież chcę zachować spokój.

Najgorsza jest cisza. Wciąż czekam na wieści od Ciebie - choć nie śmiem oczekiwać, że dostanę odpowiedź na ten list - i od biednego Tiburce'a, którego losy wciąż pozostają niewiadome. Może otrzymasz wiadomość od niego wcześniej niż my. Czasem, gdy o nim myślę, serce ściska mi się z trwogi. Całuję Cię mocno, najdroższa siostrzyczko... Nawet jeśli jesteś odcięta od Paryża, nie martw się o nas. Mama czuje się lepiej, a nieźle sobie radzi jak na swoje lata.

*Adieu*

#### **4 września 1870**

Deszcze ustąpiły miejsca pięknej, upalnej pogodzie. Jasne promienie słońca nie pasują do nastrojów. Właśnie dotarła wiadomość, że tłumy szturmują budynki magistratu, popierając nową republikę. Przez okna widzę chaos na ulicach. Przez - zwykle tak spokojne - bulwary Passy przetacza się mory czerwono-niebieskich mundurów. Mężczyźni miotają się jak w ukropie. Boję się, co się z nami stanie, gdy wokół panuje takie szaleństwo.

Papa twierdzi, że ta wojna jest niesłuszna. Martwi się o bezpieczeństwo dzieci - Tiburce'a, Yves, Edmy i jej maleńkiej Jeanne. Mimo to irytuje go, że płaczą się pod nogami. Krzyczy na mnie, że nic nie jem.



- Wkrótce może zabraknąć jedzenia, a wtedy przypomnę ci, jak kręciłaś nosem na to, co dziś mamy.

- Wolałbyś, żebym pojechała do Edmy, papo?

- Skądże. Wtedy musiałbym się martwić też i o ciebie.

Decyzja zapadła: nie wyjeżdżam. Staram się go nie drażnić.

## **6 września 1870**

Edma wreszcie się zgodziła przenieść się z maleńką Jeanne do Mirande, gdzie mieszka Yves.

W liście, w którym informuje nas o tych planach, równocześnie zaklina, bym i ja do nich przyjechała. Wolałabym, żeby przybyła na rue Franklin, ale Yves za nic nie chce opuścić domu. Panicznie się boi, że zostanie splądrowany. Edma nie ma zatem wyjścia, musi jechać do Mirande, by towarzyszyć siostrze.

Wchodzę do pracowni. Biorę pędzel, próbuję malować, ale tylko wodzę wzrokiem po obrazach wiszących na ścianach. Tych samych, które zamierzałam wysłać Edmie wieczność temu, kiedy wydawało się, że czasu mamy w bród.

Dziś gratuluję sobie, że nie wysłałam ich do Lorient. Edma nie ma serca do tego domu. Nie troszczy się o niego. Zwłaszcza teraz, gdy całą miłość i uwagę przelewa na córeczkę. Obrazy stanowiłyby tylko zbędny balast w podróży do Yves.

Moje siostry są samotne. Ich mężowie wyruszyli na wojnę. To logiczne, że Edma i Yves chcą być razem. Moim obowiązkiem zaś jest opieka nad rodzicami. Odkładam pędzel, nawet nie zanurzysz go w farbie. Stacza się na podłogę. Brak mi energii, by się schylić i go podnieść.

## **8 września 1870**

Minęły prawie dwa miesiące i wciąż żadnych wiadomości od Édouarda. Nie mam pojęcia, gdzie jest ani co się z nim dzieje. Czuję się bezsilna i zagubiona. Nie znam jego planów, nie wiem nawet, czy żyje. Miotam się. To ogarnia mnie żaloba, gdy myślę, że bez wątpienia zginął, to znów lodowata furia, gdy z niezachwianą pewnością czuję, że w obliczu tragedii ojczyzny całkiem o mnie zapomniał.

Do tego jeszcze, po dwóch miesiącach bez krwawienia, w poniedziałek zyskałam pewność, że jednak nie jestem brzemienna. Odkrywszy to, zamknęłam się w pokoju i wybuchłam płaczem.

Po tygodniach absolutnej pewności teraz czuję się, jakby ktoś odebrał mi dziecko.

Wobec niepewności co do losów Édouarda, nadzieja na jego dziecko nabierała szczególnego znaczenia. Gdyby bowiem spotkało go najgorsze, zostawiłby mi przynajmniej część siebie, która przynosiłaby mi pociechę i ukojenie.

Choć nadal modłę się o jego bezpieczeństwo, po tak długiej nieobecności coraz słabiej tli się nadzieja, że Édouard jeszcze żyje.

## 12 września 1870

Kiedy w przedpokoju widzę Édouarda, w pierwszej chwili sędzę, że to duch. To jednak on. Przyszedł z wizytą.

Czerwono-niebieski mundur Gwardii Narodowej dodaje mu szyku.

Kłębi się we mnie tyle uczuć, że nie potrafię myśleć logicznie. Zdrowy rozum kazałby szaleć z radości, że Édouard żyje i złożył mi wizytę. Przez moment chcę podbiec, rzucić mu się na szyję i dziękować niebiosom, że wrócił cały i zdrow. Kiedy jednak widzę jego nonszalancką minę - jakby nie porzucił mnie na dwa miesiące - ogarnia mnie wściekłość i z trudem się pohamowuję, by go nie zwymyślać.

Nie chcę jego tłumaczeń ani wymówek. Nie chcę nawet wiedzieć, co się z nim działo, kiedy siedziałam tu jak w więzieniu, straszliwie tęskniąc, obawiając się, że noszę jego dziecko. Oczy zasnuwa mi mgła. Odwracam się i wychodzę. Nie wytrzymam ani sekundy dłużej w jego obecności.

Zamykam się w pracowni i siadam przed sztalugami, choć nie czuję weny. Chwilę potem drzwi się otwierają. W progu staje *maman* z założonymi rękami.

- Berthe, co się z tobą dzieje?

- Nic.

Biorę pędzel i wbijam wzrok w obraz - portret Edmy pochylonej nad kołyską Jeanne.

- Natychmiast zostaw ten obraz i przestań zachowywać się jak dzikuska. Manet poświęcił swój cenny czas, by złożyć nam wizytę. Mogłabyś przynajmniej grzeczniej go przyjąć.

- Nie mam ochoty na towarzystwo. Wolę pracować. Światło jest idealne, muszę to wykorzystać.

Przez chwilę stoi w milczeniu. Już mam nadzieję, że sobie pójdzie, gdy oświadcza:

- Doskonale. W takim razie zaproszę go tutaj. Z pewnością chętnie zobaczy, co zdziałałaś, podczas gdy on naraża dla ciebie życie.

Naraża życie dla mnie?! Spokojna głowa, w żaden sposób się dla mnie nie wysiła. Powstrzymuję pogardliwe prychnięcie. Niepotrzebnie, *maman* i tak już zniknęła.

Słyszę w ogrodzie jej głos.

- Berthe gorąco zaprasza do pracowni. Chce panu pokazać, nad czym ostatnio pracuje.

O nie! Zrywam się tak energicznie, że przewracam krzesło. Słyszac ich kroki, błyskawicznie ustawiam je z powrotem i siadam. Muszę wyglądać na opanowaną i zajętą.

Kątem oka dostrzegam, jak *maman* wprowadza Édouarda do pracowni. Wyciskam na paletę tubkę lazuru i uświadamiam sobie, że w ogóle nie potrzebuję tego koloru. Za późno. Stoją w progu.

- Proszę do środka - zachęca *maman*. - Niech pan się rozejrzy, rozgości.

- Koniecznie muszę zobaczyć, co tak panią pochłania - mówi Édouard, stając za mną. - Eugène obu paniom przesyła ukłony.

- Jak nasz drogi chłopiec radzi sobie w mundurze?

- Niestety, nienadzwyczajnie. Nie przepada za polityką i nie ma natury wojaka.

*Maman* cmoka niezadowolona. Édouard wzrusza ramionami i uśmiecha się do mnie.

- Cztery dni temu odstawiłem Suzanne i resztę rodziny w bezpieczne miejsce, do Orion-Sainte-Marie w Pirenejach.

Czyli to go zatrzymywało. Obawa o Suzanne. Nie chcę słuchać, w jaki sposób okazuje jej troskę. To wszystko zbyt boleśnie mi uświadamia, kto jest jego żoną.

Denerwuje mnie, że stoi za mną, nie komentuje obrazu. Przechodzę na otomanę, Édouard zostaje przy krześle.

- Jest dziś pani bardzo milcząca, mademoiselle.

- Myślę po prostu, jaką ulgę musi dawać panu świadomość, że bliscy pańskiemu sercu są bezpieczni.

Przysiada na krześle.

- Gorąco pragnę bezpieczeństwa każdego, kto jest mi drogi, mademoiselle. Zamierza pani opuścić Paryż?

- Niech pan nie będzie zabawny. Oczywiście że nie. Gładzi brodę i przymyka oczy.

- Proszę, niech pani wyjedzie, póki jeszcze można. Pissarro, Sisley i Monet uciekli do Londynu. Degas został przeniesiony z piechoty do artylerii. Renoira wysłano do Bordeaux. Chyba nie zdaje sobie pani sprawy z powagi sytuacji.

- Papa uważa, że bezpieczniej będzie, jeśli zostaniemy. I tak też uczynimy, chyba że doradzi nam inaczej.

- Większość niesprzedanych obrazów ukryłem w piwnicy budynku, w którym mam pracownię. Najcenniejsze, takie jak „Balkon” czy podarowany mi przez panią portret Edmy w Lorient, oddałem na przechowanie Théodore'owi Duretowi, który zamknie je w sejfie. Nie chcę, żeby coś im się stało.

- Cóż ta Amélie tak się grzebie z tą herbatą? - *Maman* wstaje. - Pan wybaczy, monsieur Manet, pójdę dopilnować. Wiem, że nie ma pan całego dnia.

Wychodzi z furkotem spódnicy, zostawiając otwarte drzwi.

- Tęskniłem, *mon amour* - mówi Édouard.

Boję się, że *maman* wciąż jest w zasięgu głosu, ale nie słyszę ani jęku zgrozy, ani powracających kroków.

- Nie kłam. Gdybyś tęsknił, nie zniknąłbyś na tak długo.

- Wybacz, ale zapominasz o jednym drobiazgu: w kraju toczy się wojna.

Mierzę go lodowatym spojrzeniem.

- Rzadko zaszczycił mnie swoją obecnością, więc nie zdążyłeś zauważyć. Od czasu naszego ostatniego spotkania obawiałam się, że noszę w łonie twoje dziecko.

Krew odpywa mu z twarzy. Obserwowanie, jak zмага się z tą świadomością, sprawia mi perwersyjną rozkosz. Wstaję, podchodzę do okna.

- Nie musisz się obawiać - rzucam przez ramię, bawiąc się zasłonką. - Problem już się rozwiązał. Jesteś wolny. Nie jesteśmy... Nie jestem... Dowód, że nie jestem brzemienna, sam się pojawił. Niczym nie jesteś już do mnie przykuty.

- Berthe, jak możesz tak mówić?! - Zrywa się z krzesła. - Serce wiąże nas silniej niż wszelkie okowy.

Śmieję się lodowato.

- Nie mogliśmy sprowadzić bękarta na tak okrutny i bezwzględny świat. Teraz wiem, że tak jest lepiej.

Staje za mną. W powietrzu wiszą słowa, których nie potrafił wypowiedzieć. Kładzie ręce na moim łonie. Wydaje mi się, że w jego oczach lśnią łzy. To z pewnością łzy ulgi.

- Szukałem sposobu uwolnienia się od Suzanne, ale wiesz, jaki skandal by to wywołało? Nawet nie zdajesz sprawy, jakim ciężarem byłoby to dla naszego związku. Obawiam się, że byś go nie udźwignęła.

- Twierdzisz, że jestem za słaba? To zwykła wymówka, żeby...

Kroki w ogrodzie. Turkotanie wózecka z herbatą. Édouard odchodzi ode mnie i siada na otomanie.

Ja zostaję przy oknie, modląc się o ciężkie, ciemne chmury i deszcz. Niech splucze uczucia, których nie potrafię wyrazić.

\*

U papy pojawiła się nowa fiksacja: domowi nic nie grozi, tylko jeśli twierdze Issy i Vanves pozostaną w rękach Francuzów. Ten nieuleczalny czarnowidz jest święcie przekonany, że dojdzie do najgorszego. Dlatego się zamartwia, co stanie się z naszymi cennymi meblami, gdy - co uważa za nieuniknione - będziemy zmuszeni do opuszczenia domu. Zaczął już nawet szukać miejsca w centrum Paryża, w którym można przechować najcenniejsze przedmioty.

To powoli przechodzi w obsesję, ale jeśli choć słowem o tym wspomnę, zaczynamy się kłócić. Dlatego staram się unikać rozmów z nim. Co najdziwniejsze, ten brak komunikacji wyraźnie mu nie przeszkadza.

- Jak można tak trząść się nad przedmiotami? - złości się *maman*. - Jeśli sytuacja wygląda tak poważnie, jak twierdzi monsieur Manet, powinieneś zatroszczyć się o bezpieczeństwo rodziny, zamiast martwić się o meble.

Papa od razu się stroszy.

- Chcesz wyjechać? Możesz udać się z Berthe do Mirande i tam zamieszkać z Yves i Edmą. Ja nigdzie się nie ruszę. Zbyt ciężko pracowałem na skarby, które umilają ci codzienne życie. Nie pozwolę, by je zniszczono. A ty tylko marudzisz. Nawet nie dałaś okazji, bym cię powiadomił, co uzgodniłem z monsieur Millem. Otóż obiecał, że jeśli walki przybiorą na sile, udostępni nam mieszkanie przy rue Argensen.

- Przestańcie już oboje - mityguję. - Natychmiast przestańcie wrzeszczeć.

*Maman* jednak nie reaguje, skupiona na ojcu.

- Manet źle na ciebie wpływa - oświadcza. - Nie powinienes go słuchać. Zawsze miał skłonności do przesady.

- Jeszcze mi podziękujesz, kiedy na nasz dom posypią się bomby!

To powiedziawszy, tata wypada z pokoju, a mama zalewa się łzami, odpychając mnie, gdy próbuję ją pocieszyć.

\*

Kiedyś wyobrażałam sobie, że wyjadę za granicę. Najbardziej marzył mi się Nowy Jork latem. Wyruszyłabym poza miasto ze sztalugami, rozstawiła je nad strumieniem w cieniu rozłożystych klonów i podziwiała ich zielone liście wielkości męskiej dłoni. Potem zaś zdjęłabym buty i brodziła po kolana w chłodnej wodzie. To byłoby jak chrzest na rozpoczęcie nowego życia.

Świat po drugiej stronie Atlantyku wydawał mi się magiczny. Zupełnie jak tajemniczy świat po drugiej stronie lustra. Możesz go zobaczyć, przycisnąć do niego rękę. Kiedy byłam mała, wierzyłam, że wystarczy bardzo pragnąć, a pewnego cudownego dnia ocknę się w tej niezwykłej krainie.

Nowy Jork. Marzyłam, że tam zaczniemy z Édouardem od nowa. Tam możemy być, kimkolwiek zechcemy. Szczęśliwą młodą parą rozpoczynającą wspólne życie. Pionierami wyruszającymi na podbój nowego świata. Tam nie będzie skandalu. Nie będzie Suzanne. Niechętnych spojrzeń. Plotkarskich języków, komentarzy ostrych jak brzytwa.

Tylko Édouard i ja, i życie, które sami namalujemy. Będziemy zasypiali w swoich ramionach i co rano kochali się o świcie. Będziemy mieli dzieci.

Ponieważ wszyscy zdrowi mężczyźni zostali wezwani do obrony Paryża, zamykam się przed zewnętrznym światem i karmię się marzeniami. One trzymają mnie przy życiu. Édouard przysiągł, że zjawi się w ciągu tygodnia. Wtedy mu powiem. Zrobimy plany i przekonam się, że kiedy w grę wchodzi nasze wspólne życie, wcale nie jestem słaba.

Im dłużej myślę, tym bardziej się upewniam, że to idealne rozwiązanie. Wojna stanowi wymarzoną przykrywkę. Suzanne wyjechała. Moja obecność działa rodzicom na nerwy - do tego stopnia, że lepiej będzie, jeśli zniknę. Powiem, że jadę do Edmy. Potem razem z Édouardem po prostu wsiądziemy do pociągu, później na statek i wyruszymy na drugi koniec świata.

19 września 1870

Édouard dotrzymuje słowa i razem z bratem zjawia się przy rue Franklin.

Podejmujemy ich z *maman* w pracowni, ponieważ to jedyne miejsce w całym domu, gdzie zostało dość mebli, by usadzić gości.

- Prusacy są niewyobrażalnie brutalni. Ich okrucieństwo nie zna granic. - Édouard kręci głową, nachyla się i zniża głos. - Podobno zbezczeszcili klasztor i zgwałcili młodziutką nowicjuszkę. Mademoiselle, proszę obiecać, że nie będzie pani samotnie wychodziła z domu.

Nie mam siły na koszarne historie. Eugène musiał to wyczytać z mojej miny. Przysuwa się razem z krzesłem. Filiżanka grzechocze na spodeczku.

- Édouardzie, skończ z tymi ponurymi opowieściami. - Pierwszy raz słyszę, by Eugène tak zdecydowanie przeciwstawił się bratu. - Nie widzisz, że biedactwo jest przerażone?

- To lekka przesada, monsieur, ale dziękuję za troskę - mówię. - Zresztą i tak nie opuszczalbym domu. Chyba nie zniosłabym widoku tego, co się teraz dzieje w moim ukochanym mieście. Dlatego całe dnie spędzam tutaj, czytając i pracując. Właśnie, to mi przypomina... Édouardzie, zechciałby mi pan pomóc? Na półce w bawialni została książka, do której nie mogę dosięgnąć. Mogę nadużyć pańskiej uprzejmości i prosić, by ją pan zdjął?

- Oczywiście, mademoiselle.

Wstrzymuję dech, czekając na pytanie *maman*, co to za książka, albo propozycję Eugène'a, że on też chętnie mi pomoże, ale na szczęście zaczynają rozmawiać o Gwardii Narodowej.

Przechodzimy z Édouardem do bawialni. Z pracowni cały czas dobiega rozmowa.

- Armia pruska posuwa się w dużym tempie - słyszę głos Eugène'a. - Czasem mi się wydaje, że nie przeżyję tej strasznej wojny.

W bawialni Édouard idzie za mną do półki. Odwracam się do niego.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś. Staralam się nie tracić nadziei, ale po naszej ostatniej rozmowie bałam się, że w ogóle...

- Ciii... - Otacza mnie ramionami i zamyka usta pocałunkiem. - Nie traćmy bezcennych chwil na smutne sprawy. - Przyciąga mnie bliżej.

- Przemyślałam twoje słowa. Nie odczulibyśmy skutków skandalu, gdybyśmy nie musieli stawić mu czoła.

- Hm... - mruży, wodząc wargami po mojej szyi.

Automatycznie odchylam głowę.

- Édouardzie, posłuchaj. - Kładę mu ręce na ramionach i odsuwam go, ale on natychmiast z powrotem przywiera do mnie, spragniony mego ciała. - Wyjedźmy razem. Jutro. Wszystko zaplanowałam.

Patrzy na mnie spod przymkniętych powiek z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Mówię szybko, zanim zdąży mi przerwać albo nim sama stracę odwagę.

- Spotkajmy się na dworcu Saint-Lazare o dziesiątej. Złapiemy pociąg odjeżdżający o jedenastej na wybrzeże. Pojutrze możemy być już na statku płynącym do Ameryki.

Édouard mruga zaskoczony, Przegarnia ręką włosy. Wzdycha.

- Berthe, trwa wojna. Nie możemy...

- Możemy. Możemy już zawsze być razem. Tylko daj mi słowo.

Nie odpowiada, jedynie patrzy na mnie z takim smutkiem i żalem, że przeszywa mnie bolesny dreszcz.

- Édouardzie, zaklinam...

- Berthe? Monsieur Manet? - słychać zbliżający się głos *maman*. - Skoro już tam jesteście, moglibyście wziąć też książkę i dla mnie?

- Jutro o dziesiątej?

Potakuje. Całuje palec i przykłada mi go do ust.

- Dworzec Saint-Lazare.

TTLR

# Rozdział 19

*Gdybym mógł zażądać wszystkich skarbów świata,*

*Starczyłoby mi jedno miasto,*

*W mieście tym jeden dom.*

*W tym domu jeden pokój,*

*A w pokoju zwykle łóżko,*

*Bowiem tam śpi ta, którą kocham.*

starożytny tekst sanskrycki

Po wyjściu Édouarda i Eugène'a muszę zacząć przygotowania do ucieczki - i to tak, by *maman* niczego się nie domyśliła. Snując plany, pominęłam pierwszy etap. Nawet nie pomyślałam, jak niezauważenie wymknąć się z domu. Właśnie się zastanawiam, jak dotrę na dworzec, gdy zjawia się Amélie z listem od Puvisa.

*Chère Mademoiselle!*

Nie mogę zjawić się u Pani osobiście, dlatego piszę. Mam nadzieję, że ten list zastanie Panią i Pani rodzinę w zdrowiu i bezpieczeństwie mimo nieszczęść, jakie dotykają naszą drogą ojczyznę.

Służę w Gwardii Narodowej, strzeżemy Wersalu i jego okolic. Przywódcy mówią otwarcie: nim odniesiemy zwycięstwo, czeka nas długa i ciężka walka. Wielu nie wróci z niej żywych.

W takich chwilach człowiek dokonuje obrachunku ze swoim życiem i dostrzega, co naprawdę się liczy. Zrozumiałem, że gdybym dziś miał zginąć, nie odejdę w spokoju, jeśli wcześniej nie wyznam, jak wiele Pani dla mnie znaczy. Pani przyjaźń zawsze rozjaśniała moje życie. Dziś załuję tylko, że w bardziej beztroskich i radosnych chwilach nie zabiegałem pilnie o Pani względy.

Pragnę, by Pani wiedziała, że walcząc, bronię przede wszystkim Pani. Proszę śmiało się do mnie zwracać, jeśli w jakikolwiek sposób mogę Pani służyć.

Pani oddany sługa

Pierre Puvis de Chavannes

Jestem zaskoczona. Puvis mi pochlebia.

Wzrusza tak czułą deklaracją. Szczerze powiedziawszy, nie sądziłam, że darzy mnie aż tak głębokim uczuciem. Zawsze traktowałam go jak przyjaciela, który od czasu do czasu pojawia się w moim życiu. Nigdy jednak - słowami ani zachowaniem - nie okazał, że jego uczucie jest tak silne. Cieszę się,



że wyznał je listownie, a nie osobiście. Kiedy ktoś mówi z głębi serca, nie zasługuje, by jego nadzieje zostały zgaszone, jeszcze nim przebrzmiały czułe słowa.

Och, Puvis. Kochany, poczciwy Puvis. Z ciężkim sercem zanoszę bezgłośnie modlitwę, by dożył końca tej strasznej wojny.

Zabieram list do sypialni, wsuwam pod materac i wyjmuję z szafy walizkę. Muszę się spakować na podróż do nowego życia.

\*

Jeśli chcę się wymknąć, muszę to zrobić, kiedy papa wyjdzie już do pracy, a zanim *maman* zjawi się na śniadanie.

Dobrze, że wcześniej wyruszę, bo drogę do stacji muszę pokonać pieszo - dobre pięć kilometrów.

Odczekuję dziesięć minut po wyjściu ojca, potem cichutko otwieram drzwi. Oby tylko Amélie nie usłyszała skrzypienia desek i nie postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Oby tylko dudnienie serca nie brzmiało w przedpokoju tak głośno jak w moich uszach.

Nie chcę wyjaśniać - ani kłamać - dokąd się wybieram, ubrana w podróżną suknię, z walizką w dłoni.

Serce mi się ściska, gdy uświadamiam sobie, że po raz ostatni zamykam te drzwi. Słyszę szcęk zapadki. Wychodzę na zalaną słońcem ścieżkę. Będzie mi brakowało kochanego Passy. Nie urodziłam się tutaj, lecz tu zawsze był mój dom.

Opadają mnie wątpliwości. Misternie ukuty plan zaczyna chwiać się w posadach. Ale na stacji czeka na mnie Édouard. Nie mam wyjścia.

Będzie tam. Razem wsiądziemy do pociągu i po południu będziemy już na wybrzeżu.

Innego zakończenia tej wyprawy nie dopuszczam.

Odległy huk dział nie pasuje do sielskich, brukowanych uliczek Passy. Ruch jest niewielki: przedsiębiorcy w powozach, konne patrole Gwardii Narodowej, gazeciarz. Idę z pochyloną głową, panicznie lękając się spotkania z sąsiadami albo znajomymi rodziców.

Zapakowałam tylko jedną zmianę ubrań. Wiedziałam bowiem, że czeka mnie długa wędrówka. Walizka już zaczyna mi ciążyć. Przekładam ją do drugiej ręki i sprawdzam, czy nie rozwiązała się sznurówka sakiewki. Włożyłam tam jedynie tyle franków, ile potrzeba na podróż koleją. Ponieważ nie mieliśmy z Édouardem czasu na ustalenie szczegółów, wzięłam dość na dwa bilety. Nie wiem bowiem, czy zdążył pójść po pieniądze. Resztę franków ukryłam w kieszonce, którą wszyłam do gorsetu.

Podmuch wiatru przynosi słabą woń dymu z jakiegoś odległego pożaru. Koncentruję się na jednej myśli: jutro o tej porze ja i Édouard będziemy na statku zmierzającym do Nowego Jorku.

Kilometr dalej, przy Avenue Kléber, natykam się na blokadę.

- Dokąd pani się wybiera, mademoiselle? - Uzbrojony żołnierz jest młody, ale zwraca się do mnie tonem ojca upominającego dziecko. - I dlaczego idzie pani sama?

Unoszę głowę.

- Wybieram się na dworzec Saint-Lazare, na pociąg.

- Niestety, panienko, pociągi dziś nie kursują. Dworzec został bezterminowo zamknięty. Nie mogę pani przepuścić.

Podchodzę bliżej. Strażnik podnosi broń. Jestem zaszokowana. Nie mierzy do mnie, ale widzę, że nie zawaha się tego zrobić. Czuję się obrażona takim traktowaniem.

- Pan daruje, monsieur, ale muszę przejść. Czeka na mnie narzeczony.

- Tylko dureń pozwoliłby wyjść kobiecie samotnie na ulicę. Zwłaszcza po wczorajszej tragedii. Na ramiona występuje mi gęsia skórka.

- Jakiej tragedii?

- Prusacy zdobyli Wersal. Paryż jest otoczony. Otrzymałem wyraźny rozkaz: nikogo nie wolno mi przepuścić.

- Ale ja muszę...

Zastanawiam się, czy nie odejść, jakbym posłuchała rozkazu, i nie poszukać innej drogi do stacji.

- Bodier, odprowadź panienkę. Poczekaj, aż bezpiecznie wejdzie do domu.

Inny żołnierz podchodzi i wskazuje, bym za nim ruszyła. Wszystko stracone.

Ogarnia mnie paraliżujący strach, który trudno opisać słowami. Czuję gorycz i potworną bezsilność. To tak jakbym puściła dłoń Édouarda, a on odfrunąłby do nieba. Ja zaś w żaden sposób nie mogłabym go zatrzymać.

\*

Najukochańsza Edmo!

Piszę dzisiaj, bo nie wiadomo, czy za kilka dni w ogóle będzie można wysłać list. Paryż jeszcze bardziej się zmienił. Przypominam sobie życie przed wojną i mam wrażenie, jakbym znalazła się w zupełnie innym mieście. Otrzymałam list od Puvisa, który pisze w takim tonie, jakby lada moment miała wybić nasza ostatnia godzina. Co więcej, Gwardia Narodowa nie zamierza poddać się bez walki. Brat Maneta otwarcie, z całym spokojem mówił, że najprawdopodobniej nie przeżyje wojny.

Papa zdrów. Nieustannie też doprowadza nas do szału. Całą nadzieję pokłada w sukcesie misji monsieur Thiersa.

Całusy dla maleństwa.

*Adieu*, kochana. Raduj się spokojem Mirande. To lepsze niż poruszenie panujące w stolicy.

Berthe

Kochana Berthe!

Jesteśmy równie oburzone jak *maman* niesprawiedliwymi atakami na Gambettę. Wszak nikt nie zrobił dla naszego bezpieczeństwa tyle co on. I jak teraz mu się odwdzięczamy? Jednogłośnie oszczerstwami we wszystkich prowincjach, przypisywaniem mu odpowiedzialności za klęskę Francji. Czy na tym świecie naprawdę liczy się tylko sukces?

Nowy, reakcyjny rząd nie budzi mojego zaufania. Nie potrzebujemy teraz przywódców zalecających umiar i rozwagę. Choć przyznaję, stanęli przed wyjątkowo trudnym zadaniem. Dajmy im szansę, nim zaczniemy ich oceniać.

W prasie pojawiły się informacje o wkroczeniu pruskiej armii do Paryża. Może właśnie oglądasz to na własne oczy. Nic nie zostanie nam oszczędzone.

Ściskam czule

Edma

Nie myliłaś się, najdroższa Edmo. Rzeczywiście, nic nie zostanie nam oszczędzone. W środę do naszej dzielnicy mają wkroczyć Prusacy. Nasz rejon został wymieniony wśród tych, które mają zostać zajęte. Wiadomość zaczęła krążyć dziś po południu. Spodziewano się, że Prusacy zjawią się już dziś, ale wieczorem oficjalnie zdementowano tę informację. Co oznaczało jedynie przesunięcie tego, co nieuchronne. Na naszej, zwykle tak spokojnej rue Franklin panował rozgardiasz, a przed ratusz i na największe ulice wyległy tłumy oburzonych mieszkańców. Gwardia Narodowa nie zamierzała złożyć broni, głośno protestowała przeciwko poddaniu dzielnicy. Wszystko to ogromnie nas przygnębia, a warunki narzucone przez okupanta okazały się tak surowe, że - wierz mi - boimy się o nich nawet myśleć.

Każdy dzień przynosi nowe smutki, nowe upokorzenia. My jako naród jesteśmy tak beztroscy, że zapewne szybko zapomnimy o tych bolesnych wydarzeniach, ale dziś wprost pęka mi serce.

Jeśli odważę się głośno o tym wspomnieć, papa wznosi oczy ku niebu i nazywa mnie wariatką.

Wczoraj zapanowało wielkie wzburzenie, gdy kontyngent Gwardii Narodowej w Belleville oświadczył, że będzie strzelać, gdy wkroczą Prusacy. Przed nami naprawdę dramatyczne chwile.

Wiesz, że właściwie wszyscy nasi znajomi wrócili z wojny bez szwanku? Oczywiście z wyjątkiem biednego Bazille'a, który zginął w Orleanie. W Bezenval poległ też znakomity malarz Régnault. Pozostali robili tylko wiele hałasu o nic.

Ściskam Cię czule

Berthe

W powietrzu unosi się tyle gryzącego dymu, że z trudem oddycham. Działa huczą tak często, że dziwię się, czemu nadal podskakuję przy każdym wybuchu.

Pruskie oddziały wydają się wszechobecne. Znośnie czuję się tylko, gdy leżę w łóżku odgrazona od świata zatrzaśniętymi żaluzjami. Zapadam w drzemkę przerywaną hukami armat. Czasem w snach pojawia się Édouard. Wsiadamy do pociągu na dworcu Saint-Lazare albo całuje mnie na pokładzie statku zmierzającego do Nowego Jorku. Potem jednak znowu dudni działo i budzę się w ciemnym pokoju, przypominając sobie, że minęły już dwa tygodnie, od kiedy mieliśmy się spotkać na stacji kolejowej.

Nie odpowiedział na mój liścik z prośbą o odwiedzinę. Zdaję sobie jednak sprawę, że to niewykonalne, skoro odgradza nas pierścień pruskiej armii.

Od dwóch tygodni nie ruszam się z łóżka. Na zewnątrz huczą armaty, ja zaś prowadzę wewnętrzną walkę z demonami, które skradły mi spokój ducha. *Maman* wezwała lekarza, monsieur Dally'ego. On jednak tylko patrzy na mnie lubieżnie. Boję się, że będzie chciał dokładnie mnie zbadać. Nie w trosce o moje zdrowie, lecz dla własnej przyjemności. Zwłaszcza że dla mnie - czuję to wyraźnie - nie ma lekarstwa.

\*

- Berthe, wstawaj. - *Maman* wchodzi i otwiera żaluzje. - Ubierz się. Masz gościa.

Mrużę oczy przed ostrym światłem i wstaję. Serce mocniej kołacze mi w piersi. Z nadziei - czyżby Édouard? Ze strachu - czyżby monsieur Dally?

*Maman* podchodzi do szafy i wybiera suknię.

- Monsieur Puvis złożył ci wizytę.

Przesuwam się na brzeg łóżka i próbuję wstać. Z wysiłku kręci mi się w głowie.

- Powiedz mu, że nie jestem w stanie przyjmować gości.

- Nonsens. To ci dobrze zrobi. Za długo się ze sobą pieścisz. Wstawaj. Powiem mu, że zaraz zejdziesz.

Puvis. *Maman* musi naprawdę się o mnie martwić, skoro nalega, bym go przyjęła. Ostatnio jej stosunek do niego wyraźniej ochłódł. Nie wiem, skąd to się wzięło. Jeszcze niedawno wychwalała go pod niebiosa, zachęcała, mówiła, jaka to świetna partia. A teraz na samą wzmiankę o nim traci humor.

Dzisiaj, z niepojętych powodów, wrócił do łask. Może ma stać się bodźcem, który sprawi, że podniosę się z łóżka i ubiorę.

Zasłaniam ramieniem oczy przed kłującymi promieniami słońca. Mogłam się domyślić, że to nie Édouard. Rozgoryczenie rośnie mi w gardle niczym kula. Zaraz udławię się jego obrzydliwym smakiem.

Naciągam kołdrę i próbuję znowu zasnąć, ale po kilku chwilach w sypialni znów pojawia się *maman*.

- Natychmiast wstawaj! Monsieur Puvis chce ci pokazać coś nadzwyczajnego, ale jeśli zaraz nie zejdziesz, przegapisz to. Wstań, pomogę ci się ubrać. No już!

- Dobrze! Przestań na mnie krzyczeć.

Perspektywa dwóch miesięcy słuchania, jaka jestem leniwa, okazuje się najskuteczniejszym bodźcem do wstania.

Ledwo zdążyłam się podnieść, a już ściska sznurówki gorsetu, który wydaje się podejrzenie luźny.

- Znowu schudłaś - mruczy *maman*, zarzucając mi na głowę suknię.

Pociągnięcie szczotką, kilka szpilek wsuniętych pewną ręką we włosy i *maman* uśmiecha się, zadowolona z efektu końcowego.

Odprowadza mnie do bawialni. Pewnie się boi, że jeśli na chwilę spuści mnie z oka, wrócę do łóżka.

- Oto i ona! - obwieszcza moje przybycie, jakbym była spóźnionym gościem.

Puvis wstaje.

- Mademoiselle, jakże się cieszę, że panią widzę. Przyszedłem najszybciej jak to możliwe w okolicznościach, które dotknęły naszą umiłowaną ojczyznę. Proszę wybaczyć, że przejdę od razu do rzeczy, ale bardzo chciałbym pani coś pokazać. Mogę prosić, by pani i madame Morisot zechciały podejść do okna?

*Maman* popycha mnie ku oknu, z którego Puvis już odsunął firankę. Wysoko na niebie unosi się wielki czerwony balon. Ostre słońce razi mnie w oczy. Mrugam, przyglądając się niezwykłemu widowisku. *Maman* głośno wciąga powietrze.

- A cóż to takiego? - pyta zdumiona.

- Dzięki balonom nawiążemy łączność ze światem zewnętrznym. To pomysł Nadara. Idąc dziś tutaj, zauważyłem, jak ten czerwony szybuje po niebie, i nie mogłem się doczekać, by to paniom pokazać.

Stoimy w oknie w nabożnym milczeniu.

- Wszyscy drwili z Nadara i jego obsesji na punkcie balonów - ciągnie Puvis. - Teraz on śmieje się im w twarz, lecąc wysoko ponad nieprzyjacielskimi wojskami. To znak nadziei, prawda?

Znów mrugam. Trudno uwierzyć, że ta scena jest prawdziwa. Czerwony punkt na zasnutym dymem niebie niczym dziecięca zabawka zostawiona na deszczu. Do tego jeszcze *maman* podejmująca Puvisa ciepło, choć wiem, jak bardzo go nie lubi. Wszystko to co najmniej dziwaczne.

A może nadal śpię i to kolejny pozbawiony logiki sen.

Zadzieram głowę i patrzę na czerwony balon. Oczy powoli oswajają się ze światłem dziennym. Próbuję dostrzec Puvisowy promyk nadziei. Czy to znaczy, że wkrótce świat będzie taki jak dawniej?

Wtem zauważam, że Puvis wpatruje się we mnie z napięciem. Przypominam sobie o jego liście i wyznaniu. Odsuwam się od okna i siadam na kanapie.

Nie chcę zranić jego uczuć, zwłaszcza że przemierzył szmat drogi, by nas odwiedzić. To dobry człowiek, wierny przyjaciel. Niestety, budzi we mnie wyłącznie platoniczne uczucia.

- Mademoiselle, wygląda pani na wyczerpaną. Dobrze się pani czuje?

Kiwam głową.

- Pokazując nam balon, przywrócił mi pan nadzieję, że będę mogła komunikować się listownie z bliskimi mojemu sercu, którzy są teraz tak daleko.

Och, po co to powiedziałam? Oby wzmianka o listach nie naprowadziła go na temat jego listu. Chyba nie wspomni o tym przy mamie?

- Zostanie pan na obiad? - pyta *maman*. - Nic nadzwyczajnego. Prosta zupa z chlebem.

Chłód niczym szron osadza się na jej słowach. Jako gościnną pani domu musiała zaproponować poczęstunek. Zwłaszcza w trudnych, wojennych czasach. Teraz jednak, kiedy Puvis spełnił swoje zadanie - wyciągnął mnie z łóżka - zaproszenie *maman* stanowi raczej sygnał, że wizyta dobiega końca.

- *Non, merci*. Nie mogę zostać. Chciałem tylko sprawdzić, jak się pani miewa.

*Maman* i ja siedzimy, tylko Puvis uparcie stoi w oknie.

- Jak wygląda sytuacja? - pytam. Wzrusza ramionami i kręci głową.

- Trudno orzec, mademoiselle. Każdy dzień odpierania natarcia Prusaków tylko przedłuża wojnę. - Znow wzrusza ramionami.

- A co z naszymi przyjaciółmi? Wielu, podobnie jak pan, służy w gwardii. Alfred Stevens, Édouard Manet... Wie pan, co się z nimi dzieje?

- Niestety, nie mam o nich żadnych wiadomości. Zapewne pani wie, że Bazille i Régnault zginęli. Bardzo smutne.

Potakuję.

- O nikim innym nie słyszałem. Przypuszczam, że to dobry znak. Nie widziałem ich na liście zabitych i rannych, a co dzień ją sprawdzam.

Kamień spada mi z serca. Zerkam za okno, ale balon już zniknął. Nie smuci mnie to jednak. Przeciwnie, wydaje mi się, że to dobry omen.

## **Listopad 1870**

Kochana Edmo!

Piszę do Ciebie codziennie w nadziei, że przynajmniej niektóre listy do Ciebie dotrą. Piątkowe zwycięstwo nadzwyczajnie podniosło nasze morale. Od rana słyszymy huk armat, ale dobiega ze zbyt dużej odległości, byśmy mogli coś z tego wywnioskować. Znajdujemy się w najlepszym miejscu do słuchania dział, a najgorszym do otrzymywania wiadomości.

Nie uwierzysz, ale powoli zaczynam się przyzwyczajać do tego dudnienia. Wydaje mi się wręcz, że całkowicie uodporniłam się na wojnę i wszystko już potrafię znieść.

Wczoraj spotkaliśmy się z monsieur Millem. Nalega, byśmy przeprowadzili się do jego mieszkania w centrum miasta. Postanowiliśmy przenieść się do niedużego *garde-meuble*\* przy rue Argensen. Umieścimy tam wszystkie pozostałe meble. Na pewno będziemy bezpieczni pod opieką Gwardii Narodowej.

Często myślę o Twoim Adolphiu, zastanawiając się, co się dzieje z jego szwadronem. Straszliwie męczy nas ta całkowita niewiedza, na jaką jesteśmy skazani.

Ściskam Was wszystkich

Berthe

\* (Franc.) skład do przechowywania mebli.

**7 stycznia 1871**

- Berthe! Berthe! - krzyczy *maman* z drugiego końca mieszkania.

Serce we mnie zamiera. Biegnę do niej, a tysiące najgorszych obaw przemykają mi przez głowę. Wpadam do pokoju. Szlocha, tuląc do piersi kartkę.

- *Maman? Maman?* Co się stało?

- Przyszedł list. Edma. Och...

Nie może mówić dalej, zawodzi głośno. Lodowacieję z przerażenia. To pierwszy list, od kiedy poczta znów zaczęła działać. Nie chcę wiedzieć, jakie nowiny doprowadziły ją do łez. Najchętniej zatkanabym uszy i odcięła się od wszystkiego co hałaśliwe, odrażające i bolesne, ale moje ramiona wiszą bezwładnie jak u lalki.

- Zobacz. - *Maman* podaje mi białą kartkę, drugą ręką ociera łzy. - Masz, przeczytaj na głos.

Macha arkusikiem. Obwisła skóra ramienia trzęsie się z wysiłku. Kręcę głową i cofam rękę. Dopóki nie poznam tych słów, Edmie nie przytrafi się nic złego. Może to ostatnia chwila mojej poczytalności.

*Maman* wzdycha - właściwie sapie rozdrażniona.

- Och, co się z tobą wyprawia? Nie stójże jak gamoń, Berthe! Nikomu nic się nie stało. Chciałam tylko, żebyś sama przeczytała radosne wieści.

Co takiego? Nie rozumiem. A te szlochy i zawodzenie?

Pociąga nosem i macha listem.

- Właśnie to napisała. Nikomu nic się nie stało. Wszyscy cali i zdrowi.

Na przemian to śmieje się, to szlocha. Zalewa mnie fala ulgi, ale nie potrafię płakać. Muszę usiąść. Cofam się do otomany. W ostatniej chwili, bo zaraz nogi się pode mną uginają.

*Maman* czyta jeszcze raz przez lorgnon.

- Edma pisze, że wszyscy są zdrowi. Adolphe wciąż na morzu, za to Tiburce... Och!

Zachłystuje się i zamyka oczy. Potem robi znak krzyża i wznosi oczy ku niebu, jakby odmawiała modlitwę.

- Co? Powiedz, mamo!

- Pisze, że Tiburce uciekł z niewoli w Metz i awansował na porucznika! Co za radość! Nic mu się nie stało, a do tego awansował!

- *Maman*, nie dociera do ciebie? Co nas obchodzi jego awans? Był jeńcem wojennym! Nie rozumiesz, co to znaczy?

- Doprawdy, Berthe, jeśli chce się zostać bohaterem, trzeba znieść pewne niedogodności. Ale mój Tiburce to dzielny chłopak, wyjdzie z tego bez najmniejszego uszczerbku. Nie wątpię w to ani przez chwilę. I ty też nie powinnaś. Skoro miał dość rozumu, by przechytryć wroga, z pewnością zajdzie daleko.

Na zewnątrz przetacza się huk armaty. Prusacy rozbili się obozem od Faubourg Saint-Honoré po plac Zgody. Nasza milicja oczyszcza teren. Zajmuje stanowiska na drugim brzegu Sekwany i ustawia na mostach strażę. Tymczasem *maman* świętuje awans Tiburce'a, jakby był pracownikiem banku, nie żołnierzem.

Zastanawiam się, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, co się dzieje za murami mieszkania.

### **14 stycznia 1871**

Dziś kończę trzydzieści lat. Nie wiem, kto bardziej bał się tego dnia - *maman* czy ja. Żadna z nas nie jest w nastroju do świętowania. Ta data bowiem każe nam zmierzyć się z dwiema bolesnymi prawdami: wciąż nie widać końca wojny, a ja jestem starą panną - zawiodłam rodziców.

Coraz trudniej o aprowizację. Od dwóch tygodni żyjemy na sucharach. Są stęchłe i nieapetyczne. Czasem mam wrażenie, że mój żołądek znacznie lepiej czułby się bez jedzenia.

Dla uczczenia moich urodzin *maman* piecze dziś świeżą partię. Przyzwoitość nakazuje przynajmniej skosztować. Siedzę więc z nią przy stoliczku i skubię rozpadające się ciastko.

- Za bardzo schudłaś, Berthe - mówi zatroskana. - Masz zapadnięte policzki. Nie jesteś już młoda, powinnaś dbać o to, co jeszcze masz. Nikomu nie spodoba się zabiedzona sierota.

- Puvisowi najwyraźniej to nie przeszkadza - odcinam się, by jej dokuczyć.

Zjawił się wczoraj z bukietem polnych kwiatów, bo nie był pewien, czy uda mu się przyjść w dniu urodzin.

- Pierre Puvis de Chavannes to stary dziwak - stwierdza mama. - Nie lubię go, mimo jego bogactwa i talentu malarskiego. Doszłam do wniosku, że nie nadaje się na męża dla ciebie.



- Dlaczego? Ponieważ mnie adoruje? A może dlatego, że wiele mnie z nim łączy. W przeciwieństwie do tego nudnego tłściocha, monsieur Dally'ego, który wolałby zjeść mnie na kolację, zamiast choć chwilę ze mną porozmawiać. Jeśli mnie pamięć nie myli, całkiem niedawno zachęcałaś mnie do nawiązania bliższej więzi z monsieur Puvisem de Chavannes.

Próbuje mi przerwać, ale jestem zbyt wściekła. Nie dam się zwymyślać.

- Szczerze? Najbardziej drażni mnie, że nawet w środku wojny mierzysz moją wartość tym, czy podobam się mężczyznom. Najchętniej bym cię wyśmiała, ale dziś nie jestem w humorze.

Siedzi ze zwieszoną głową. Milczy, wpatrując się w swojego niedojedzonego suchara. Wstaję i zaszywam się w moim pokoju.

Matka ma rację. Jestem stara. Dlatego Édouard o mnie zapomniał. Czyż można mu się dziwić? Ma piękne, młode modelki. Czemu miałby pragnąć mnie - starej, zmęczonej, smutnej, pozbawionej woli życia?

### 30 stycznia 1871

*Maman* wchodzi do mnie z filiżanką herbaty. Poddała się, już nawet nie próbuje namówić mnie do jedzenia. Ale za herbatę jestem jej wdzięczna. Teraz, gdy Paryż skapitulował i podpisał zawieszenie broni, życie może wróci do normy. W tym wszystkim herbatę najłatwiej przełknąć.

Podaje mi filiżankę z dziwnym uśmiechem, którego nie widziałam u niej od miesiący.

- Przynoszę cudowne wieści, *bijou*. Edma dostała wiadomość, że Adolphe wrócił do Cherbourga. Postanowiła pojechać do niego, kiedy tylko pociągi znów zaczną kursować. Obiecała, że po drodze zatrzyma się u nas na kilka dni. Mogłabyś potem towarzyszyć jej do Cherbourga.

Sączę gorący napar. Marzę o spotkaniu z siostrą, ale tylko w Paryżu mam szansę na spotkanie z Édouardem. Ta myśl nachodzi mnie niespodziewanie, nieproszona. Jestem na siebie wściekła. Jak w ogóle mogę coś takiego rozważać? Zrezygnować z siostry dla Édouarda, który mnie porzucił? Wiem, że trwa wojna, ale Puvis potrafił regularnie przyjeżdżać do mnie z Wersalu. Czy Édouard nie mógł przynajmniej przysłać bileciku, w którym uspokoiłby mnie, że nic mu nie jest? Chyba że to oznacza... Nie!

Nic mu nie jest!

Herbata rozlewa się na spodeczek, gdy zbyt energicznie ją odstawiam. Cnotka siedzi przy Olimpi, próbuje przemówić tej bezwstydney dziewczce do rozumu: Jesteś żałosna. Rezygnujesz ze swoich planów i życia dla mężczyzny, który cię lekceważy. Nie możesz dłużej wrywać sobie serca z pierśi i dawać go niewdzięcznikowi, który go po prostu nie chce.

- Cudowne nowiny, *maman*. Bardzo chętnie wybiorę się do Cherbourga.

**10 lutego 1871**

Kochana Edmo!

Gdybyś wiedziała, jak smutny jest nasz biedny Paryż! Wszystko dokoła jest wprost żalosne. Oblężenie odarło mnie ze złudzeń. Brzydzą się naszymi rodakami, nawet bliskimi znajomymi. Samolubstwo, obojętność, uprzedzenia - te cechy znajdziesz właściwie u każdego.

Nie mogę się doczekać, kiedy się spotkamy; tyle mamy sobie do powiedzenia; tyle wspólnie musimy opłakać. Ojciec mówi, że napisał do Ciebie długi list. Nie akceptuje poglądów Yves. Ja zresztą też ich nie podzielam, ale z papą też się nie zgadzam. Ostatnio tak rzadko ze sobą rozmawiamy, że to właściwie bez znaczenia. Podobnie jak Ty, nie możemy się doczekać wyników wyborów.

*Adieu.*

TLR

# Rozdział 20

*Kocham cię.*

*Choćby z tego jednego powodu,  
że polubiłaś mnie takiego, jaki jestem.*

*To ci wystarczyło.*

John Keats

## Marzec 1871

Wreszcie zaczęły kursować pociągi. Edma napisała, że możemy spodziewać się jej w ciągu tygodnia.

Przykro mi, że nie potrafię dokładniej określić terminu, ale wszystko zależy od tego, kiedy zdobę przepustkę. Ludzie odbijają sobie okres przymusowego pobytu w jednym miejscu, podróżując teraz, gdzie się da. Nie martwcie się o mnie. Wezmę dorożkę, która dowiezie mnie pod samo mieszkanie przy rue Argensen.

Staramy się wierzyć, że najgorsze już za nami. Tymczasem kiedy otrzymujemy list, rozwój wypadków w stolicy każe nam się obawiać o bezpieczeństwo Edmy.

Prusacy organizują triumfalną paradę zwycięstwa przez Paryż ku Polom Elizejskim. Kiedy wreszcie nadchodzi ów nieszczęsny dzień, możemy się tylko modlić, by Edma akurat nie przyjechała do miasta i nie trafiła w sam środek uroczystości.

Prusacy maszerują pustymi ulicami. Paryżanie zabarykadowali się w domach, pozatrzaskiwali drzwi i okiennice, by nie widzieć ani nie słyszeć. Te bestie wyrządziły nam dość krzywd. Nie damy im satysfakcji. Nie będą się cieszyć, że naród rzucili na kolana.

Po dwóch dniach jest po wszystkim.

Czekamy, z niepokojem wstrzymując oddech. Wreszcie, dwa tygodnie później, przyjeżdża najdroższa Edma z maleńką Jeanne i Tiburce'em.

Rodzice są w siódmym niebie. Wreszcie rodzina prawie w komplecie.

- Szkoda, że Yves nie mogła przyjechać - mówi papa.

- Pocieszam się jednak, że jest bezpieczna pod opieką Théodore'a.

*Maman* od razu chwyta w ramiona Jeanne i już jej nie wypuszcza. To daje Edmie wytchnienie, a nam obu - czas na rozmowę.

- Czy nasz przyjaciel Manet dawał może znak życia? - pyta z błyskiem w oku, który zachęca, by wszystko jej wyznać.

- O którego Maneta pytasz? Ostatnio częściej widzimy Eugène'a.

\*

Postanawiamy z Tiburce'em i Edmą wybrać się na nabrzeże. Tam jednak zamiast spokoju zastajemy tłumy. Ludzie wrzeszczą, niektórzy płaczą. Wyglądają niczym ofiary zbiorowego szaleństwa. Dopiero po chwili zauważamy, że nabrzeże i dwie ulice prowadzące do ratusza są zabarykadowane, a wzdłuż nich stoją gwardziści, strzelcy i piechociarze. Na wieży ratusza powiewa czerwona flaga.

Wojsko otoczyło plac, by zrobić miejsce na wytaczane trzy armaty.

Przechodzą mnie ciarki. Edma wsuwa mi rękę pod ramię i przysuwa się bliżej.

- Tiburce, co się dzieje? - pyta.

- Nie mam pojęcia.

Odprowadza nas w nieco spokojniejsze miejsce i przykazuje:

- Czekajcie tu. Spróbuję się dowiedzieć. Nie ruszajcie się na krok, bo nie znajdę was w tej ciżbie.

Znika w tłumie, a ja wodzę wzrokiem po twarzach gwardzistów, z przyzwyczajenia szukając Édouarda. Nie widzę go. Serce przeszywa mi znajomy ból. Bez względu na to, co się między nami wydarzyło, mam nadzieję, że jest cały i zdrowy.

Zaledwie kilka minut po odejściu Tiburce'a zauważam Eugène'a Maneta. Przebija się przez zbitą ludzką masę.

- Monsieur Manet! - wołam.

Na nasz widok oczy mu jaśnieją. Przepycha się do nas. Rozglądam się, czy nie towarzyszy mu Édouard.

- Madame, mademoiselle, bardzo się cieszę, że panie widzę, ale co panie tu robią? To nie jest miejsce dla dam.

- Wybrałyśmy się na przechadzkę z Tiburce'em - wyjaśniam. - Poszedł się wywiedzieć, skąd to poruszenie.

- Zostanę z paniami, dopóki nie wróci. Tu nie jest bezpiecznie. Niestety, najprawdopodobniej najgorsze ciągle przed nami. Nowy rząd nie zyskał akceptacji narodu. Thiers nakazał rozbrojenie Gwardii Narodowej. Wielu paryżanom nie podoba się, że oblężenie skończyło się zawieszeniem broni, a nie naszym zwycięstwem. Nie wiem, czy to narastające niezadowolenie uda się ugasić w pokojowy sposób, czy znów dojdzie do rozlewu krwi.

Edma jest przerażona.

- Błagam, niech pan powie, że tak się nie stanie. Właśnie jadę spotkać się z Adolphe'em, którego nie widziałam od ośmiu miesięcy. Czy to szaleństwo nigdy się nie skończy?

Eugène łagodnie kładzie jej rękę na ramieniu.

- Proszę mi wierzyć, bardzo chciałbym uspokoić panią, ale nie mogę.

Edma staje na palcach i wzrokiem przeczesuje tłum. Domyślam się, że szuka Tiburce'a. Odsuwa się o kilka kroków i wciąż się rozgląda.

Eugène i ja stoimy w niezręcznym milczeniu.

- Jak się miewa pański brat?

Serce wali mi jak młotem. Każde uderzenie przypomina huk armaty.

Rozdziela nas grupa ludzi, którzy śmieją się głośno i coś wykrzykują. Owiewa nas smród alkoholu i niemytych ciał.

- Został zwolniony ze służby tydzień temu i pojechał do rodziny. Ja jutro ruszam jego śladem.

Serce przestaje mi bić. Zatem tak się sprawy mają. Jeśli nawet płonął we mnie słaby ognek nadziei, Eugène chlusnął nań wiadrem wody i zgasił tłący się popiół.

- Aha - mówię.

Mam wrażenie, jakby ktoś wyrwał mi serce. Nawet gdybym chciała, nie mogę płakać. Przecież stoję obok jego brata. Nie czuję nic prócz przerażenia rozlewającego się po całym ciele.

- Proszę pozdrowić monsieur Maneta oraz jego rodzinę i przekazać, że odczułam wielką ulgę na wieść, iż nic mu się nie stało.

Eugène gładzi brodę.

- Sądząc po tym, co się tu dzieje, wątpię, by długo tam pozostał. Jest gorącym zwolennikiem obecnych władz i nie wątpię, że będzie chciał wesprzeć sprawę.

„Sprawa”. Papa nienawidzi „sprawy”. Nazywa obecne władze bandą zelotów, zapaleńców, którzy ogarnięci rewolucyjnym szałem chcą zniszczyć kruchy ład. Czyż to nie ironia losu, że Édouard do nich dołączył? Wcześniej zamierzałam dać im szansę i poczekać z ferowaniem wyroków, ale teraz chyba stanę się ich przeciwniczką równie zagorzałą jak papa.

- A pan? - pytam. - Zmieni pan plany w związku z nową zawieruchą polityczną?

- Staram się unikać walki, mademoiselle. Do zmiany planów musiałoby mnie zachęcić coś znacznie bardziej kuszącego.

Tym razem wchodzi między nas mężczyzna z pustą butelką po winie, obejmujący kobietę w brudnej, głęboko wyciętej sukni.

- Mówi pan, jakby już sobie upatrzył tę zachętę.

Na chwilę wpada w zadumę. Jestem zdziwiona, że nie przeszkadza mu panujący wokół rozgardiasz.

- Tak - odzywa się wreszcie. - Ową zachętę znam już od bardzo dawna.

Patrzy na mnie. Czuję się niezręcznie, widząc jego ni to uśmiech, ni to... Nie wiem, jak to nazwać ani jak zareagować.

Próbuję przenieść uwagę na coś innego i rozglądam się za siostrą. Nie widać jej. Kręcę się w kółko, raz za razem objając się o przechodniów.

- Gdzie Edma? - Rozlega się grzmot armaty. Zatykam uszy. - Gdzie moja siostra?

Mam wrażenie, że tłum mnie osacza. Zaczynam się dusić. Jakiś krępy młodzian, któremu weszłam w drogę, odpycha mnie tak mocno, że omal się nie przewracam. Przed upadkiem ratuje mnie ktoś, kto przytrzymuje mnie ramieniem. Obejmuje w talii. To Eugène.

- Widzę ją - mówi. - Jest tam, z Tiburce'em.

Ja też zauważam ją w ciżbie. Rozmawia z naszym bratem, załamuje dłonie.

- Muszę się do nich dostać, chcę jak najszybciej wracać do domu.

Eugène bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą przez tłum. Ktoś mnie obmacuje. Objamy się od pijaka do pijaka, trudno oddychać od obrzydliwego fetoru - tak straszliwego smrodu jeszcze nigdy nie czułam - na szczęście Eugène nie wypuszcza mojej dłoni. Po chwili doprowadza mnie do Tiburce'a i Edmy.

- Musimy zabrać panie jak najdalej od tego motłochu - mówi. - Mogę towarzyszyć państwu na rue Argensen? Chciałbym osobiście pozdrowić państwa rodziców.

Wracamy inną trasą, licząc, że na szerokich bulwarach będziemy bezpieczniejsi niż w krętych, wąskich uliczkach. Jednak w połowie drogi znów powala nas smród. Zatykamy usta i nosy, ale to nie pomaga.

Widzimy oparte o ścianę rozkładające się ciało z tablicą „Śmierć Thiersowi”. Edma piszczy przeraźliwie i mdleje w ramionach Tiburce'a. Zamykam oczy i wtulam twarz w ramię Eugène'a. On mnie obejmuje i aż do domu nie wypuszcza z uścisku.

\*

Najukochańsza Edmo!

W dniu Twego wyjazdu, po owej nieszczęsnej przechadzce po bulwarze, złożył nam wizytę tłusty monsieur Dally. Wciąż byłam wstrząśnięta tym, co zobaczyłyśmy. Lekarz wracał z placu Vendôme, gdzie opatrywał rannych i pomagał zbierać zabitych. Podał mi nazwiska tych, których znał. Byłam ogromnie poruszona i zaniepokojona, bałam się najgorszego. Od tamtego smutnego wieczoru, który spędziliśmy we czwórkę, czuję się, jakby oblężenie w ogóle się nie skończyło. Od pół roku nasze życie przypomina koszmar. Dziwię się, skąd czerpię siły, by to przetrwać.

## **Kwiecień 1871**

Sądy zamknięto. Papa może wyjechać z miasta. Upiera się, byśmy przeprowadzili się z rue Argensen do Saint-Germain.

- Nie możemy zostawić syna samego w ogniu walki - protestuje *maman*.

- Nie pomagasz mi, narażając się na niebezpieczeństwo! - wrzeszczy papa. - Jeśli naprawdę się o niego troszczysz, wyjedziesz w bezpieczne miejsce, by przynajmniej o ciebie już nie musiał się martwić!

*Maman* wygląda, jakby jej wymierzył policzek. Nic nie odpowiada, tylko zaczyna pakować rzeczy, które zabierze do Saint-Germain. Ze względu na nowe rozruchy nie wyjechałam z Edmą do Cherbourg. Jak się okazuje, dobrze zrobiłam, skoro czeka nas kolejna przeprowadzka.

Dzień przed wyjazdem dostaję list od Puvisa.

Mademoiselle!

Byłbym niezwykle zobowiązany, gdyby zechciała Pani napisać, co się dzieje u Pani i Jej rodziny. List proszę wysłać do Wersalu, na poste restante. Przebywam tam od dłuższego czasu z siostrą i szwagrem, który jest członkiem Zgromadzenia.

Wersal zupełnie teraz nie przypomina Paryża. Pozostaję tutaj, by uniknąć pewnych sytuacji i kontaktów. Cieszyłem się, mogąc opuścić moją okropną dzielnicę, gdzie donosy na sąsiadów stały się chlebem powszednim i gdzie każdy bandzior, który ma ochotę sobie postrzelać, może człowieka zmusić pod groźbą pistoletu do udziału w rozruchach.

Mam nadzieję, iż Pani rodzice się nie łudzą, że Paryż będzie mógł w nieskończoność się bronić, i opuszczą stolicę, by w bezpiecznym miejscu czekać na rozwój wydarzeń. Polecałbym Wersal, gdyby nie to, że już pełno w nim uchodźców. Ale jest jeszcze Cernay, Saint-Cyr, Marly i wiele innych miejscowości.

Piękno i majestat Wersalu udziela się nam wszystkim. Podnosi na duchu, przypomina o wielkości i chwale Francji. Pozwala na moment zapomnieć o zepsutym, odrażającym obliczu, jakie dziś pokazuje. Zaklinam jeszcze raz, niech Pani napisze, co się u Państwa dzieje.

Z wyrazami pełnego szacunku oddania

Pierre Puvis de Chavannes

W porównaniu z brudnym, brzydkim Paryżem Saint-Germain wydaje się sielskim azylem. Nie chroni nas jednak przed wieściami o kolejnej tragedii, która spada na nasze ukochane miasto.

- Rue Royale jest zupełnie pusta. Wszędzie zniszczenia - opowiada tata po powrocie z popołudniowej przechadzki. - W całej dzielnicy sklepy pozamykane, a mieszkańcy z okien patrzą, jak chłopcy maszerują na plac Vendôme, by zająć stanowiska Gwardii Narodowej.

Kręci głową. Patrzymy z mamą na jego smutną, ściągniętą bólem twarz.

- Istna masakra. Maszerują bez broni. Dwudziestu pięciu zabitych.

Opada na krzesło przy stole i ukrywa twarz w dłoniach. Nie odzywamy się. I tak wiemy, co myśli.

Tiburce na czele nieuzbrojonego oddziału. Mój brat, który pcha się w sam środek bitwy, bo wie-  
rzy, że jest niepokonany.

Możemy tylko czekać i modlić się, by wyszedł z tego cało.

Kilka dni później Tiburce wpada na chwilę, by uspokoić nas, że jest cały i zdrowy. W mundurze  
ze wstążeczką partii prezentuje się nad wyraz szykownie. *Maman* robi tyle szumu, jakby odwiedził nas  
sam Thiers. Ale ja też się cieszę, że widzę brata w tak dobrej formie.

- Służę w sztabie admirała Saisseta. Zajęliśmy Grand Hôtel. Wejścia zabarykadowane, okna za-  
słonięte materacami, mamy działa i karabiny. - Przerywa, wypija łyk herbaty. Przywodzi na myśl  
chłopca, który wpadł na drugie śniadanie po całym poranku bawienia się w wojnę z kolegami. - Pod-  
czas pierwszych negocjacji zgłosiłem się na ochotnika, by przekazywać informacje generałom Chisere-  
towi i Lullierowi. Znam ich osobiście, więc idealnie się nadawałem, by dostarczyć im *communiqué*\*.

\* (Franc.) komunikat.

- Ach, jakiś ty dzielny, synku! - wzdycha *maman*.

- Zdarzały się też trudne sytuacje. - Tiburce się nadyma. Spogląda na papę, który siedzi ze zwie-  
szonymi ramionami, jak zwykle ma wyraz zatroskania na twarzy i wygląda staro. - Cała sztuka polega  
na tym, by odstraszyć przeciwnika. Dlatego twierdzimy, że jest nas dwa tysiące, choć tak naprawdę nie  
więcej niż pięciuset. - Parska śmiechem. - Ale nie martwcie się, posiłki nadciągają.

Zapada cisza. Słychać jedynie tykanie zegara. Papa marszczy czoło.

- To skandal - odzywa się. - Nie możecie walczyć, mając zaledwie garstkę ludzi. Proszę, zostań  
i zapomnij o tym nonsense. Poradzą sobie bez ciebie.

*Maman* parska, odrzucając głowę.

- Jest winien lojalność admirałowi Saissetowi. Nie może zapomnieć o złożonej przysiędze. Cze-  
go ty od niego żadasz?

Papa jest przygnębiony, *maman* - oburzona. Tiburce, ten urodzony dyplomata, próbuje pojednać  
zwaśnione strony.

- Ojcze, mam podwładnych, którzy czekają na moje rozkazy. Nie walczę już na froncie. Jutrzej-  
szy wiec przed Grand Hôtel szybko się skończy. Przybędą nasi sojusznicy. Skoro komunardzi zaata-  
kowali, musimy sami sięgnąć po broń.

Wstaje, by się pożegnać. *Maman* mocno ściska swego bohatera. Papa wygląda przez okno.

- Spełniasz swój obowiązek - mówi mama, dłońmi obejmując twarz Tiburce'a. - Uważaj na sie-  
bie, synku.



Odprowadzam brata wzrokiem. Podziwiam jego zapał. Zazdroszczę mu poczucia misji. Kraj znalazł się w tragicznej sytuacji, ale on nie stał z boku, poddając się biernie losowi. A ja zmarnowałam rok, rozpaczając i załamując dłonie, zamiast próbować coś zmienić.

Właściwie źródła tego niezadowolenia z siebie trzeba szukać znacznie wcześniej, jeszcze przed wybuchem wojny. To zaczęło się wraz z pojawieniem Édouarda. Złożyłam w jego dłonie swoje szczęście; pozwoliłam, by moje życie emocjonalne upływało pod jego dyktando - i oto skutki. Sama jestem sobie winna, że teraz czuję się nieszczęśliwa.

Dostałam kolejny list od Puvisa. Poprosił, bym zwracała się do niego po imieniu - Pierre. Jest kochany, zasypuje mnie dowodami uczucia, podczas gdy Édouard nawet nie próbuje nawiązać ze mną kontaktu.

Pierre chce mnie odwiedzić. Pragnie zaskarbić sobie sympatię rodziców. Przyznaję, to czasem mnie przytłacza, lecz przynajmniej znalazłam w nim człowieka, który nie tylko darzy mnie uczuciem, ale także rozumie, że duszę oddałam malarstwu.

Tiburce odnalazł sens życia w wojsku. Powinam pójść w jego ślady. Oczywiście, nie zamierzam natychmiast wyruszyć na pole bitwy. Kiedy jednak odprowadzam wzrokiem mojego dumnie marszerującego brata, uświadamiam sobie, że ja też mogę wziąć los we własne ręce. Pokonam demony, z którymi od tak dawna się zmagam, i wygram swoją własną wojnę.

\*

Najukochańsza Edmo!

Im dłużej myślę o Twoim życiu, tym bardziej Ci go zazdroszczę. Napisz koniecznie, czy w Cherbourgu dałoby się pracować. Wiem, to pewnie zabrzmiało bezduszenie, ale postaw się w mojej sytuacji, jedynie praca nadaje mojemu życiu sens. Przedłużająca się bezczynność jest dla mnie pod każdym względem zgubna.

W Saint-Germain są urocze krajobrazy, najśliczniejsze pod słońcem. Ktoś, kto lubi malować wyłącznie pejzaże i posiada niezbędny sprzęt, miałby ręce pełne roboty. Ja niestety nie spełniam żadnego z tych warunków, a nie potrafię pracować wyłącznie dla zabicia czasu.

Może się łudzę, ale chyba znaleźliby się nabywcy na obrazy takie jak ten, który podarowałam Manetowi.

Ponieważ doskonale rozumiesz, o co mi chodzi, odpowiedz otwarcie, dobrze? A teraz przejdźmy do ciekawszych tematów. Wszyscy żyją wyłącznie tą okropną polityką. Od świtu do nocy słychać huk dział, a z tarasu widać dymy nad Mount Valérien. Czasem spotykamy się z paryżanami, którzy uciekli z miasta. Ich relacje często są sprzeczne. Jedni twierdzą, że ludzie umierają z głodu; inni z kolei zapewniają, że w stolicy panuje spokój. Jedno nie ulega wątpliwości: kto żyw, stara się stamtąd uciec, co najlepiej dowodzi, że życie tam nie należy do najprzyjemniejszych.

Wydaje się, że możemy być w miarę spokojni o los naszego domu przy rue Franklin. Dziś rano jednak widziałam, jak z Mount Valérie próbowano zniszczyć baterie Trocadéro. Podczas takiej operacji muszą ucierpieć też okoliczne budynki. Cóż, z filozoficznym spokojem czekamy, jak to się zakończy.

Ściskam Cię czule

Berthe

W Saint-Germain tylko tracę czas. Nie ma tu nic, co chciałabym namalować; nic, czego niecierpliwie bym wyczekiwała.

Jeśli mam zerwać z przeszłością i zrobić krok naprzód, muszę się gdzieś przeprowadzić i zacząć wszystko od nowa. Z walizą wyładowaną sprzętem do malowania dla mnie i dla Edmy wsiadam do pociągu, by odwiedzić siostrę w Cherbourgu. *Maman* i papa są bezpieczni w swoim małym azylu w Saint-Germain. Mogę z lekkim sercem ich zostawić.

Kiedy lokomotywa rusza ze stacji, nawet się nie oglądam na stare życie, które zostawiam za sobą. Ta wojna zburzyła nie tylko budynki i pomniki. Jestem inną kobietą niż rok temu. Nie wyobrażam sobie zresztą, by po takim koszmarze, jaki przeżyła Francja, ktokolwiek pozostał niezmienny - to niemożliwe. Coś we mnie pękło, ale nie umarło. Mam wrażenie, jakby ktoś rozłożył mnie na części i złożył od nowa. Poprzednia „ja” była znacznie prostsza, ale teraz... Teraz wiem, że będę roztropnie sterowała swoim statkiem - jak powtarza z lubością *maman*.

\*

Nie wiem, czy to zasługa towarzystwa Edmy, czy tylko ulga, że nie muszę być buforem między rodzicami, ale czuję się znakomicie. W Cherbourgu nawet powietrze wydaje się lżejsze. Znalazłam sporo ładnych scenerii do moich obrazów, więc dużo czasu spędzam na dworze, ciesząc się piękną, wiosenną pogodą. W tym ślicznym mieście zaczynam nowe życie. Smutki i nieszczęścia odpłynęły w dal.

- Edmo, odwróć głowę nieco w lewo i spójrz na maleńką Jeanne. To będzie piękny obraz.

W porównaniu z Lorient, gdzie życie było szare i nudne, moja siostra wprost rozkwita. Ma dziecko. Znalazła cel w życiu. Nie zamierza jednak wracać do malowania. Całą miłość przelała na Jeanne. Za to bardzo chętnie mi pozuje.

\*

*Chère Mademoiselle!*

Pani list sprawił mi nadzwyczajną przyjemność, czego dowodem niech będzie moja natychmiastowa odpowiedź.

Żałuję tylko, że nie opisała Pani dokładniej, jak powitała Panią siostra - musi być niezwykle szczęśliwa, że znów Panią widzi. Niewiele miejsca poświęciła też Pani samej podróży. A przecież do-

skonale Pani wie, jak bardzo mnie interesują wszystkie szczegóły dotyczące Pani sztuki i życia osobistego. W tym wypadku tego drugiego - wszak nikt nie będzie malował podczas nużącej podróży koleją. Najważniejsze jednak, że może Pani cieszyć się świeżym powietrzem oraz towarzystwem kochającej rodziny. Może Pani również poznawać nowe okolice, a nade wszystko - nie słyszy Pani dział. Co więcej, tak samo jak my, może Pani trzymać rękę na pulsie wydarzeń. Do tego jeszcze zawsze ma Pani urocze towarzystwo - siebie. Nikt zatem nie ma prawa się nad Panią litować. Pyta Pani, jakie krążą plotki i co się dzieje w Wersalu. Cóż, nic nowego. Rue des Reservoirs wciąż jest tak samo stroma jak dawniej, a mieszkańcy wolą przebywać w zaciszu własnych domów. Jeśli chodzi o mnie, staram się jak najwięcej pracować, ale brakuje mi zapału, by cokolwiek dokończyć - kilka kresek w szkicowniku albo parę plam na płótnie, które pewnego dnia może nabiorą pełnego kształtu. Jest zimno, sucho, pa-skudnie. W cieniu - lodowato. Na słońcu - skwar. Jeśli jeszcze doda Pani do tego tumany pyłu, które od czasu do czasu wzbija wiatr, i nudną, pozbawioną radości egzystencję, będzie Pani wiedziała o Wersalu równie dużo jak ci, co tu mieszkają.

Podczas wczorajszych obrad Thiers niezwykle surowo skarcił Izbę - ku ogromnemu niezadowoleniu większości, notabene skrupulatnie ukrywanemu, o czym najlepiej świadczy fakt, że później jednogłośnie przyznano mu wotum zaufania.

Bardzo proszę, niech Pani pisze i szczegółowo opowiada, co robi, o czym myśli. Jest więcej niż prawdopodobne, że już wkrótce wrócimy do Paryża. Koniecznie musi wtedy Pani zobaczyć, co zostało z mojej biednej pracowni.

Ach, kule armatnie nie znają litości. Często wracam pamięcią do cudownych chwil, które przed rokiem spędzałem na naszym targowisku - jeszcze zanim urządzono tam szpital polowy i umieszczono w nim rannych oraz ciężko chorych. Pomyśleć, że tak niedawno pełno było tam przechodniów, obrazów, rzeźb, pyszności. Dziś to wszystko przeminęło z wiatrem. Na placu leżą ranni i ciężko chorzy. A ledwo odbudujemy zgliszcza i z grubsza przywrócimy miastu dawny kształt, sami obrócimy się w ruinę. O, gdyby tak bluszcz oplótł mnie, starego, jak posągi Wersalu!

Dlatego musi Pani w najdrobniejszych szczegółach opisywać, co się u Pani dzieje, czy Pani pracuje, z jakim skutkiem - jednym słowem wszystko.

*Adieu, chère Mademoiselle.*

Zawsze oddany sługa  
Pierre Puvis de Chavannes

## Maj 1871

*Maman* napisała, że wczoraj odwiedził ich Tiburce. Opowiadał o koszmarach, które widział, ale nie potwierdził wszystkiego, co opisują gazety. Montmartre został zajęty, lecz plac Zgody bronił się zawzięcie i wokół naszego domu padał grad pocisków. Nie ma się co łudzić, że szybko będzie można wrócić na rue Franklin. Podobno z domu sąsiadów zostały tylko zgliszcza, ale w naszym pocisk uszkodził jedynie część muru, a meble nadal stoją na miejscu.

Komunardzi rozkradli bieliznę i obrusy, niektóre obrazy, zegar - wszystko, co mogli wynieść. Rzecz jasna opróżnili też z win piwniczkę, a ściany zabazgrali obrzydliwymi, wulgarnymi epitetami.

Co będzie dalej? Aż boję się myśleć. *Maman* twierdzi, że jeśli komunardzi zdobędą Paryż, monsieur Thiers poda się do dymisji. Wtedy już nic nie powstrzyma reakcjonistów, którzy restytuują monarchię. Wybuchną kolejne starcia - otwarcie lub skrycie. Nie będzie chwili oddechu. Obawiam się, że właśnie taki los nas czeka.

## 25 maja 1871

*Mon bijou!*

Paryż stoi w ogniu! Słowa tego nie opiszą. Przez cały dzień wiatr przynosił zwęglone skrawki kartek, niektóre dało się jeszcze odczytać. Miasto spowija słup dymu, nocą prześwietlony czerwoną łuną. Straszliwy widok, przywodzi na myśl wybuch wulkanu. Nieustannie rozbrzmiewa huk dział. Niczego nam nie oszczędzono. Powiadają, że powstanie zdławiono, lecz ostrzał jeszcze nie umilkł. To zaś dowodzi, że komunardzi wciąż się bronią. Kiedy o dziesiątej schodziliśmy z tarasu, wydawało się, że pożary zostały ugaszone. Miałam więc nadzieję, że informacje były przesadzone. Niestety, poranne gazety rozwiały wątpliwości. Najświeższy oficjalny komunikat: komunardzi zajmują obecnie maleńki skrawek Paryża. Z Tuilleries został popiół, Luwr ocalał, część budynku Ministerstwa Finansów od strony rue de Rivoli wciąż się pali, Izba Obrachunkowa spłonęła, dwanaście tysięcy jeńców, Paryż zasłany ciałami.

## Czerwiec 1871

*Maman* napisała, że dzień po powrocie do Paryża poszła obejrzeć ratusz miejski. To przerażające - ten gigantyczny budynek został dosłownie bez ścian!

W wielu miejscach wciąż płonął ogień. Strażacy polewali wodą pogorzeliśko. Merostwo obrócono w ruinę. Papa mówi, że powinno się je zachować w takim stanie, byśmy nigdy nie zapomnieli, jak wygląda rewolucja ludowa. To niewiarygodne, że naród sam może tak się niszczyć!

Wybrałam się łodzią po Sekwanie. Widziałam zgłiszczona Izby Rozrachunkowej, Pałacu Legii Honorowej, Orsay i części Tuilleries. Biedny Luwr też nosi ślady pocisków. Niewiele jest ulic, które nie ucierpiały. Zauważyłam, że połowa rue Royale została zniszczona, z domów prawie nic nie zostało. To się nie mieści w głowie. Człowiek przeciera oczy, bo wydaje mu się, że to tylko straszny sen.

Tiburce spotkał się z Manetem i Degasem. Nawet teraz potępiają drastyczne środki, jakie zastosowało Zgromadzenie, by powstrzymać komunardów. Ja zupełnie ich nie rozumiem, a Ty?

Mama

**10 czerwca 1871**

*Chère Mademoiselle!*

Wróciliśmy do Paryża kilkanaście dni temu i panie poprosiły, bym wysłał pozdrowienia Pani i madame Pontillon.

W tym roku byliśmy świadkami straszliwych wydarzeń. Czy kiedykolwiek zdołamy się po tym otrząsnąć? Każdy stara się zrzucić winę na innych, ale wszyscy ponosimy odpowiedzialność. Nasz świat legł w gruzach. Będziemy musieli ciężko pracować, by wskrzesić choć cień tamtego życia.

Parę dni temu wpadłem na Pani brata. Niestety, mimo szczerych chęci jeszcze nie udało mi się odwiedzić Pani matki. Eugène pojechał odwiedzić Panią w Saint-Germain, ale nikogo nie zastał. Ucieszyła mnie wiadomość, że Państwa piękny dom w Passy ocalał. Mam nadzieję, że nie będzie Pani przedłużała pobytu w Cherbourgu. Ogromnie chciałbym Panią zobaczyć.

Ed. Manet

# Rozdział 21

*Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki.*

Pieśń nad Pieśniami 8,7

**Lipiec 1871**

Jeśli na nowo zaczniemy, wszystko i tak wkrótce się skończy. Sytuacja po raz kolejny się powtarza. Édouard wyczuwa, że chcę się wycofać, więc na wszelkie sposoby o mnie zabiega, stara się przyciągnąć do siebie. Swoim urokiem zmaże dzielący nas dystans niczym malarz pokrywający białym gruntem nieudany obraz. Potem zaś namaluje przyszłość pełną nieograniczonych możliwości. Tyle że one zwiędną, nie zdążywszy nawet zakwitnąć.

Tym razem jednak jego ziarna padną na jałową glebę. Nie odpowiadam na żaden list, co sprawia, że tym gorliwiej próbuje mnie oczarować i pisze coraz częściej - teraz już niemal co dzień.

Siadając do śniadania, przy nakryciu widzę kolejne świadectwo jego gorączkowych wysiłków.

To już dwudziesty ósmy jego list przysłany do Edmy. Biorę go do ręki, nie otwieram. Na widok mojego imienia nakreślonego znajomym, zamasztyłym pismem pierś mi przeszywa znajomy ból.

Dlaczego nie pragnie mnie, kiedy może mieć, a tak rozpaczliwie próbuje mnie zdobyć, z chwilą gdy postanawiam, że wszystko skończone?

Bo tym razem nie tylko postanawiam.

Wszystko naprawdę jest skończone. Po prostu.

- Co ma dziś do powiedzenia Manet? - pyta Edma, wbijając zęby w bułeczkę i z ciekawością zerkając na list.

Odkładam go na stół i sączę kawę.

- Nie wiem. Nie otworzyłam.

Patrzy na mnie wyczekująco.

- Od miesiąca już pisze do ciebie codziennie.

- Owszem. - Przez okno widzę Marie, służącą Edmy. Rozwiesza na sznurze upraną pościel.

- Chodzi o sprawy zawodowe? Może chce cię przedstawić swojemu marszandowi?

- Może. - Wypijam następny łyk kawy. To jedyne, co w tym momencie mogę przełknąć. - Kiedy Jeanne się obudzi, pójdziemy na łąkę? Chciałabym popracować nad obrazem.

- Zgoda. - Siostra palcem dźga w list. - Nawet nie otworzysz?

Nie mogę. Nie teraz, nie w jej towarzystwie. Oczekiwałyby, że przeczytam go na głos, a wtedy jak bym wytłumaczyła? Jeśli ten list jest podobny do wcześniejszych, zawiera miłosne wyznania i wyrazy bólu z powodu mojej obojętności. Słuchając tego, Edma na pewno znacząco uniosłaby brew.

Może nawet dwie.

- Wciąż dużo dla ciebie znaczy.

To nie pytanie, tylko stwierdzenie wypowiedziane tym samym tonem, co uwagi w rodzaju „kawa ostygła”, „jak leje”. Nie byłam na to przygotowana. Wpatruję się w filiżankę.

- Tak, uważam go za przyjaciela. Czy to miałaś na myśli?

Sama słyszę fałsz brzmiący w tych słowach. Kipiący we mnie gniew za chwilę osiągnie temperaturę wrzenia. Czy przyjaciel opuszcza przyjaciela w chwilach próby?

Nie potrafię udawać. Wiem też, że sobie zaszkodzę, jeśli nie będę trzymała języka na wodzy.

- Skoro jest tylko przyjacielem, dlaczego pisze codziennie? Nawet Puvis, który chce porozmawiać z rodzicami o swoich zamiarach względem ciebie, nie koresponduje z tobą tak często.

- Nie piszę do Édouarda. - Moje słowa przecinają powietrze niczym nóż.

- Właśnie.

W mieszkaniu jest ciepło. Śniadanie jemy przy wschodnim oknie. Promienie słońca nas przypiekają. Biorę list i wachluję się nim.

- Gdyby, jak twierdzisz, był twoim przyjacielem, czułabyś się w obowiązku od czasu do czasu do niego napisać. - Słowa te są torturą, jakby Edma smażyła mnie na wolnym ogniu. - Ty zaś nie wysłałaś ani jednego listu. - Wyciąga rękę i przykrywa moją dłoń. - Och, Berthe, co ty wyprawiasz? Puvis cię kocha. Nie zaprzepaść tej szansy.

Cofam rękę i chowam list między fałdy spódnicy.

- Jakiej szansy?

- Na małżeństwo.

Sięgam po kawę. Nie rozgniewam się, postanawiam sobie.

- Nikt mi się nie oświadczył. A nawet jeśli porozmawia z rodzicami, odrzucą go. Wiesz, co o nim sądzą.

- Tak, ale ślepy by zauważył, że za tobą szaleje. Rozdrażniona energicznie odstawiam filiżankę.

- Edmo, od kiedy wyszłaś za mąż, zachowujesz się zupełnie jak *maman*. Chcecie mnie sprzedać temu, który najwięcej zapłaci. Wiesz, co najbardziej mnie gniewa? Że nigdy, ani razu nie zapytałaś, czy go kocham. Serwetką osusza usta.

- Którego dżentelmena masz na myśli, Berthe? Maneta czy Puvisa?

Mierzę ją lodowatym spojrzeniem. Przynajmniej ma dość przyzwoitości, by spuścić wzrok.

- Och, nie musisz odpowiadać - mówi wreszcie. - I tak wiadomo.

Spędzam przedpołudnie w pokoju. Nie idziemy na łąkę. I nie żałuję. Samotna praca nad obrazem uspokaja mnie i wycisza. Nawet kiedy kipi we mnie wściekłość, powstrzymuje mnie wewnętrzny hamulec. Nie chcę, by ten pobyt skończył się jak tamten w Lorient. Nie chcę w przypiływie furii wypaść z domu ani wykrzyknąć Edmie słów, których potem będę żałowała. W końcu trzeba przyznać, że jej zarzuty nie były do końca pozbawione racji - Manet okazał się niegodny mojego uczucia i oddania.

Może niegodny to zbyt ostre słowo. Wciąż staram się wierzyć, że gdyby okoliczności były inne, postąpiłby przyzwoicie. Niestety, ma żonę. Nieważne, co nim kierowało, gdy zenił się z Suzanne - miłość czy litość. Jedno pozostaje pewne: żona ma nad nim władzę silniejszą od uczucia do mnie. O tym nie mogę ani na chwilę zapominać.

Wrzucam pędzel do słoika z olejem lnianym. Czerwona farba rozpuszcza się niczym krew w wodzie. Biorę zapieczętowany list i wyrzucam do śmieci. W moim nowym życiu nie ma miejsca na Édouarda i jego kaprysy.

Sama zapracuję na swoją pozycję w świecie malarskim. Pod moim nazwiskiem. Nie pod nazwiskiem mężczyzny, którego nie kocham. Ani pod nazwiskiem mężczyzny, którego poślubię tylko po to, by stać się kobietą zamężną.

W południe godzę się z Edmą, ale jest już za gorąco, by malować na polanie. Siadamy w cieniu wierzby, wachlując się. Jeanne brodzi w wysokiej trawie.

- Kochasz Puvisa? - pyta Edma.

Wzdycham, ale nie uchylam się od odpowiedzi. Pytanie wisiało między nami niczym kurtyna, która aż się prosiła, by ją odsłonić.

- Podziwiam go, cenię za lojalność i przyjaźń, ale jeśli monsieur Puvis zamierza mi się oświadczyć, to znaczy, że nieświadomie dałam mu płonną nadzieję. Ty mi to uświadomiłaś.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Wyczuwam rozczarowanie siostry, choć nie robi mi wyrzutów.

Białe prześcieradła, które rano wywiesiła Marie, trzepoczą na wietrze. Unosimy się nieco, by i nas ochłodził delikatny powiew.

- Nie decyduj pochopnie - odzywa się Edma. - Wciąż nie doszłaś do siebie po tym strasznym roku. Cały nasz świat stanął na głowie.

Potakuję.

- Nawet kiedy wszystko wróci do normy, moje uczucia się nie zmieniają. Jak sądzisz, a może Puvis przejdzie do małżeństwa, bo po doświadczeniu wojny szuka czegoś trwałego, zwyczajnego, normalnego? W każdym liście powtarza, że wojna zmusiła go do zrobienia bilansu i przyjrzenia się życiu na nowo. Waham się nie dlatego, bym się obawiała, że Puvis się rozmyśli. Po prostu... nie darzę go takim uczuciem, jakim powinna darzyć mężczyznę jego przyszła żona.

Edma kiwa głową i wodzi palcem po szwie narzuty, na której siedzimy.



- *Maman* i papa zapewne się ucieszą. - Sprawia wrażenie przygaszonej, ale stara się zaakceptować moją decyzję. - Wiesz, że go nie tolerują. A to dowód, że *maman* nie chce cię wydać za mąż za byle kogo. - Uśmiecha się i papuguje mamę: - „Nie zadowolę mnie byle kto. Musi pochodzić z dobrej rodziny i mieć majątek. Najlepiej gdyby był przedsiębiorcą albo politykiem”.

Pokazuję jej język. Wybucho śmiechem.

- Och, Berthe, nie próbuję cię na siłę wyswatać. - Przydreptuje Jeanne i siada przy mamie. - Chcę tylko, byś odkryła to samo błogosławieństwo co ja.

Ściskam ją za rękę.

- Ale ty, Edmo, założyłaś rodzinę z mężczyzną, którego kochasz. To nie jest układ zrodzony z desperacji podstarzałej panny.

Przypatruje mi się bacznie. Przez chwilę się boję, że znów poruszy temat Édouarda.

- Czyli nie masz nic przeciwko małżeństwu jako takiemu?

- Skądże.

Kiwa głową, jakby właśnie dopasowała kolejny element skomplikowanej układanki. Nabiera tchu, ale rozprasza ją turkot powozu na podjeździe. Obie ocieniamy oczy dłonią i patrzymy, jak woźnica zatrzymuje konie przed gankiem.

Z powozu wysiada dwóch sztywnie odzianych mężczyzn.

- Panowie Manet! - woła Edma, zrywając się z ziemi.

Gardło mi się zaciska. Chcę uciec - daleko, jak najdalej - tymczasem tkwię bez ruchu, jakbym zapuściła korzenie niczym wierzba, pod którą siedzę.

- *Bonjour!* - Édouard rozkłada ramiona i śmieje się, jakby opowiedział znakomity dowcip.

Eugène unosi kapelusz i macha. Miło będzie z nim posiedzieć. Polubiłam go. Czego nie mogę powiedzieć o jego bracie.

Edma wychodzi im na spotkanie, ale ja zostanę z Jeanne. Małeńka wyciąga rączki, prosząc, żebym ją podniosła. Natychmiast spełniam prośbę, wdzięczna, że w ten sposób odwraca moją uwagę od gości.

Idą w naszą stronę. Jestem przerażona, jak strasznie Édouard schudł. Policzki ma zapadnięte. Został z niego tylko cień.

Przyciągam do siebie siostrzenicę i zanurzam twarz w jej miękkich włosach, by na niego nie patrzeć.

- Cóż za uroczy zbieg okoliczności - słyszę głos Edmy.

- Właśnie o panach rozmawialiśmy.

- Berthe, dlaczego nie uprzedziłaś, że panowie Manet dziś przyjeżdżają?

W oczach siostry dostrzegam charakterystyczny błysk. Znam tego chochlika. Edma coś knuje. Biorę wachlarz, który dostałam od Degasa, i staram się ochłodzić.

- *Moi?* Skąd miałam wiedzieć? Panowie Manet cieszą się wyjątkową popularnością. Nie nadążam za ich planami i obowiązkami towarzyskimi.

Édouard poprawia się na krześle. Pod jego maską spokoju wyczuwam skrępowanie. Odchrząkuje.

- Nie dostała pani moich listów, mademoiselle? Zawiadamiałem o naszych planach, ale może korespondencja jeszcze nie dotarła. Poczta wciąż nie działa należycie. Proszę zatem o wybaczenie, jeśli pomyślały panie, że zjawiliśmy się bez uprzedzenia. Mam nadzieję, że się nie narzucamy.

Ku memu zaskoczeniu nawet nie podnosi się z miejsca.

Złości mnie jego tupet. A jeszcze bardziej to, że na sam jego widok coś, co - jak sądziłam, dawno pogrzebałam - zaczyna we mnie śpiewać. Uświadamiam to sobie i nagle to ja czuję się skrępowana, nie on.

O nie! Tak być nie może.

- Właściwie... - odzywam się. - Faktycznie dziś rano przyszedł list, ale byłam tak pochłonięta pracą, że nie zdążyłam go przeczytać.

Znakomicie. Niech Édouard wie, że nie czekam z zapartym tchem na każde jego słowo. Unosi brew.

- Czyżby praca uniemożliwiła pani także odpowiadanie na listy?

W pokoju zapada niezręczna cisza. W duchu poprzysięgam sobie, że nie ja ją przerwę.

- Bez wątpienia jej myśli krążą wokół pracy. Podobnie zresztą jak wokół niejakiego monsieur Puvisa de Chavannes - mówi Edma z rozmarzoną miną.

Patrzę na nią podejrzliwie spod przymrużonych powiek. Co ona knuje?

Édouard sztywnieje, Eugène gwałtownie odwraca głowę w moją stronę. Z twarzy Edmy znika rozmarzenie, a pojawia się szelmowski uśmiech. W pierwszej chwili nie rozumiem, czemu moja siostra świadomie wprowadza Édouarda w błąd. Kiedy jednak widzę, jak go zabodła sama wzmianka o Puvisie, przeszywa mnie dreszcz podniecenia.

- Uchylę też rąbka tajemnicy. Jestem pewna, że moja siostra się nie pogniewa.

Eugène przenosi spojrzenie na Edmę. Édouard nie odrywa ode mnie wzroku.

- Zapewne już wkrótce będzie można spodziewać się *announcement*\*. Zdradzę tylko, że ma to związek z powiększeniem się rodziny. - Chichocze i zasłania usta.

- Och, ale za wcześnie, by o tym mówić. I tak już za dużo wygadałam.

\* (Franc.) ogłoszenie, oficjalny komunikat.

Zrywa się z krzesła i podchodzi do okna. Obaj panowie Manet siedzą ze zwieszonymi ramionami. Z trudem się powstrzymuję, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Mam ochotę uściskać siostrę za zmyślanie bajek, z których żadna się nie ziści.

Och, Edmo, Edmo, co za szelma z ciebie!

Dobrze tak Édouardowi! Pomyśleć, że Edma zna zaledwie ułamek prawdy.

- Jak to? Pani i Puvis? - Édouard odzyskuje mowę. - Jak? Kiedy to się stało?

Kiedy cię nie było, Édouardzie - mam ochotę odparować, ale wolę się asekurować i mówię:

- Monsieur, nie ma o czym mówić. Edma nie powinna była o tym wspominać, zwłaszcza że nie było jeszcze oświadczeń.

W pokoju zapada głucha cisza.

- Berthe, siostrzyczko, mogę prosić cię o grzeczność? - Edma odwraca się od okna. - Wiem, że wolałabyś posiedzieć z gośćmi, ale czy mogłabyś zebrać ze sznurów pranie? Chmurzy się, chyba będzie padać. Gdybyś była tak dobra, ja mogłabym pójść do kuchni i wydać Marie dyspozycje co do obiadu. Panowie oczywiście zostaną na posiłek, prawda? Nie wyślemy panów do Paryża z pustymi żołądkami.

Édouard nie odpowiada. Siedzi ze wzrokiem wbitym w podłogę. Przechodząc obok niego, zauważam, że jest po prostu zielony. Zastanawiam się, czy w ogóle usłyszał zaproszenie Edmy.

- *Merci*, z przyjemnością zostaniemy - odzywa się wreszcie Eugène. - A na razie pomogę mademoiselle zebrać pranie.

Oglądam się na niego z ręką na klamce.

- Nie - warczy Édouard. - Ja pomogę panience. Ty zostań tutaj i dotrzyмай towarzystwa madame Pontillon.

Eugène nie protestuje. Dlaczego nie przeciwstawi się bratu? Udaję, że nie słyszę wewnętrznego głosu, który przypomina, że nie cenię ludzi bojących się walczyć o swoje. Tłumaczę sobie, że to nie dotyczy Eugène'a. Tak samo jak Édouarda nie dotyczy moja słabość do pewnych siebie mężczyzn, którzy niestrudzenie zabiegają o moje względy.

Obaj stanowią wyjątek od reguły. Nie czekam na Édouarda. Wychodzę na dwór, podnoszę z trawy koszyk i zaczynam zbierać pościel.

- Pani siostra ma rację. - Stoi za mną. Nie odwracam się. - Widzi pani te chmury? Znosi się na burzę.

Wiatr stał się wyraźnie chłodniejszy, wydyma prześcieradło. Tkanina przykleja się do mnie. Nad moją głową pojawia się silne ramię. Patrzę w górę. Édouard trzyma klamerkę, ale jej nie odpina.

- Wyjdiesz za Puvisa?

Ramiona mi opadają. Chcę się odwrócić i krzyknąć na cały głos: Nie Puvisa kocham!

Czy to możliwe, by Édouard był aż tak ślepy? Choć z drugiej strony... Nie widział mnie od roku, skąd ma wiedzieć?

Ja chyba śnię! Czy naprawdę jestem aż tak zaślepią i tak pozbawiona godności, że wystarczy jedno jego zdanie, by runął mur wznoszony z takim trudem?

Brzydę się sobą, ale wiem, że gdyby Édouard w tym momencie poprosił, odeszłabym z nim, nie oglądając się za siebie. Ale nie wspomnę o tym. Już raz zaproponowałam i nic z tego nie wynikło. Nawet nie raczył się ze mną skontaktować.

Nie, nigdy więcej tego nie powtórzę.

Jak mogę być tak słaba, by w ogóle dopuszczać tę myśl?

Wściekłym ruchem zdieram klamerkę. I następną, i kolejną.

Wrzucam prześcieradło do kosza.

Istne przekleństwo. Nic nie czuję do Puvisa, porządnego człowieka, który próbuje mnie zdobyć, a cierpię, moja dusza umiera bez Édouarda, jedynego mężczyzny, który jest dla mnie zakazany.

- Kochasz Puvisa?

Jego głos przypomina warkot, przyciszony krzyk, który przeszywa mnie na wskroś. Nie odpowiadam.

Chwyta mnie i odwraca do siebie. Tracę równowagę, upadam na niego. Stoimy twarzą w twarz. Wiatr przynosi zapach deszczu. Wokół nas wydymają się prześcieradła.

Édouard otacza mnie ramieniem. Czuję na policzku jego ciepły oddech. Wtulam się w niego instynktownie.

- Opuściłeś mnie - szepczę. Całuje mnie w czubek głowy

- Berthe, rozdzieliła nas wojna. Bądźże rozsądna. Wiesz, że nie mogłem z tobą uciec.

Jego słowa ranią mnie jak nóż. Wyrywam się, cofam o kilka kroków. Muszę się odsunąć, bo przy nim tracę rozum. Teraz przeklinam Edmę i jej niemądry figiel. Gdyby się nie wtrąciła, prawdopodobnie wizyta przebiegłaby spokojnie. On wróciłby do tłustej Suzanne, a moje nowe życie ułożyłoby się tak, jak zaplanowałam. Tymczasem padło za dużo słów, zostały otwarte stare rany. Cóż zmieni jedna rana więcej?

- Czyli nie zamierzałeś wtedy ze mną wyjechać? Zamyka oczy i głęboko nabiera powietrza.

- Moje uczucia do ciebie się nie zmieniły. Chwyta mnie za rękę. Wyszarpuję ją.

- Czego właściwie ode mnie chcesz, Édouardzie? Kiedy próbuję o tobie zapomnieć, ty znowu się pojawiaasz. Kiedy stajemy się sobie bliscy, odpychasz mnie. Odmawiam dalszego udziału w tej zabawie.

Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie w Luwrze i dzień, gdy zapłonął we mnie ogień tej niepokonanej namiętności. Przez moment marzę, by znów przeżyć tę chwilę. Nie wiedzieć tego wszystkiego, co wiem dzisiaj. Nie doświadczyć tego, co między nami zaszło.

- Édouardzie, od trzech lat jesteśmy dla siebie wyłącznie źródłem udręki. Dłużej tego nie zniosę. Odejdź. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Na rękę spada mi pierwsza kropla deszczu. Próbuję się odsunąć i ratować resztę prania przed zmoknięciem, ale Édouard chwyta mnie za ramię. Wiatr przybiera na sile. Wyrrywam się. Burza zrzuca ze sznura prześcieradło. Płótno owija mi się wokół nóg.

- Błagam, Berthe. Wróc ze mną do Paryża.

Chwytam prześcieradło, ratując je przed sfrunięciem na ziemię.

- Po co, Édouardzie? O co właściwie mnie prosisz? - Krew dudni mi w żyłach. Zaczynam naciskać rękę na płótnie.

- Pragnę cię...

Wzrokiem pełnym czułości wodzi po mojej twarzy, jakby próbował wryć ją sobie w pamięć. Wstrzymuję oddech, czekając na dalsze słowa.

- Pragnę cię namalować - kończy. - Od kiedy zniknęłaś, nie mogę pracować.

- Co?!

Więc o to chodzi? Do tego wszystko się sprowadza? Zrywam ze sznura następną sztukę pościeli i wrzucam do kosza.

- Wojna się skończyła, Édouardzie. Poszukaj innej modelki. Wystarczy urodziwa ładaczka. Ja nie jestem ci potrzebna.

- Jesteś mi potrzebna, Berthe.

Głos mu się łamie. Staję przed nim, biorąc się pod boki.

- Bardzo cię potrzebuję - ciągnie, ale opuszcza go odwaga. Odwraca wzrok. - „Balkon” został tak dobrze przyjęty. Zupełnie inaczej niż „Olimpia”, niż wszystkie inne.

- Inne! - Śmieję się gorzko. - Są inne, a oprócz nich ja? Tylko tego ode mnie oczekujesz? Mam ci zapewnić uznanie publiczności? Taką twarz teraz pragniesz pokazać światu? Édouard Manet, portrecista skromniś i cnotek?

Patrzy, jakby nie rozumiał, co do niego mówię.

- A gdzie się podział buntownik, który jest gotów na największe ryzyko, by odmalować rzeczywistość, ukazywać prawdę?

Nie odpowiada. Ta słabość budzi we mnie pogardę.

- Nie mam czasu ani cierpliwości, by dalej bawić się w kotka i myszkę.

Zrywam kolejne prześcieradło. Édouard obchodzi je i staje przede mną, uniemożliwiając zbieranie bielizny. Deszcz pada coraz mocniej.

- Zejdź mi z drogi.

Próbuję go odepchnąć, ale chwyta mnie i przyciąga do siebie, rozgniatając usta wargami. Wkłada w ten pocałunek cały swój głód i rozpacz. Prześcieradło - nasz parawan - łopocze na wietrze. Wy-

starczy, że Edma albo Eugène podejną do okna, a zostaniemy zdemaskowani. Nie zważam na to. Całuję go równie łapczywie i drapieżnie jak on mnie. Chwytam go za poły surduta i przyciągam do siebie. Zanurzam palce w jego włosach, wtapiam się w niego ostatni raz, bo wiem, że gdy go puszcze, wszystko się skończy.

- Nie wychodź za Puvisa.

Odrywa się na moment, by chrapliwym głosem wydyszeć z siebie tę rozpaczliwą prośbę.

- Błagam... - Więcej nie potrafię powiedzieć.

- Nie wychodź za niego - powtarza. Stoimy czoło w czoło, usta na odległość szeptu. - Kocham cię. Nie zniosę myśli, że miałby cię pojąć.

TLR

## Rozdział 22

*Czy dzień jest lepszy od nocy?*

*A może noc lepsza od dnia?*

*Jakże wybrać?*

*Wiem tylko jedno:*

*Nie liczy się jedno ni drugie,*

*Gdy ma miłość mnie opuści.*

Amaru

Mijają dni, a słowa Édouarda wciąż dźwięczą w moim sercu. Dochodzę do wniosku, że chyba wolałabym, by napluł mi w twarz, niż składał tę obraźliwą deklarację uczuć. Po co wypowiadać najświętsze słowa tylko po to, by zaraz dodać, że nie zniesie myśli, by inny miał mnie pojąć? To nie jest miłość. On mnie nie kocha, chce postawić mnie na półeczce, nieosiągalną dla innych, i zdejmować, gdy będzie chciał się zabawić. A kiedy już mu się znudzę, wynieść w pudle na strych.

Wraca do tłustej Suzanne.

Ja zostaję z Edmą w Cherbourgu.

Tak jest lepiej.

Mój związek z Édouardem jest zakończony. Czemu wcześniej nie dostrzegłam, że tak to się skończy? Teraz płacę straszliwie wysoką cenę za swoją nierozwagę.

Koniec związku jest zawsze smutny. I zawsze taki sam. Jedna strona nieodmiennie dostrzega braki w drugiej i miłość gaśnie. Dlatego nie będę przedłużała tego, co i tak nieuniknione.

Słyszę na dole krzątanicę Edmy i Marie. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia, że siedzę zabarykadowana w pokoju. Edma odnosi się do mnie z wyrozumiałością, nie zadaje wielu pytań.

Tamtego dnia nie musiała pytać, sama się domyśliła, co się wydarzyło. Wystarczyło, że Édouard wrócił do bawialni sam, dźwigając kosz z bielizną. Oczywiście, pod warunkiem że wcześniej nie widziała przez okno naszego pożegnania.

Nie pytałam.

Ona zaś nie wracała do tego, kiedy wieczorem pojawiłam się w domu długo po wyjeździe Édouarda i Eugène'a. Doceniam jej rozwagę,

Ubierając się, słyszę kroki za drzwiami. Potem rozlega się delikatne pukanie. To Edma ze śniadaniem.

- Och, siostrzyczko, nie musiałaś przynosić mi jedzenia. Właśnie się ubierałam, by zejść na dół i ci pomóc.

- To żaden kłopot.

Stawia tacę na sekretarzyku i odwraca się do mnie. Promienieje.

- Dziś rano przyszedł list od Adolphe'a. Za trzy dni wraca do domu.

- Cudownie! Wiem, jak bardzo za nim tęskniłaś. Przysiada na brzegu łóżka. Widzę, że chce mi powiedzieć coś jeszcze.

- Zapewne pamiętasz, jak wspomniałam panom Manet, że zanosi się na powiększenie rodziny? Jęczę w duchu. Nie pozbierałam się na tyle, by wracać do tamtego popołudnia.

- Nie kłamałam - podejmuje. - Wierzyć się nie chce, że po raz kolejny mówię ci, jeszcze zanim dowie się Adolphe, ale lekarz właśnie to potwierdził, a jeśli komuś się nie pochwałę, chyba pękne...

- To znaczy...? Potakuje.

- Będziemy mieć drugie dziecko. Dar Adolphe'a z ostatniej przepustki.

Ściskam siostrę uszczęśliwioną.

- Czyli nie okłamałaś braci Manet.

- Ja miałabym kłamać? Przenigdy!

- To dobrze, bo trochę się martwiłam, jak przekonująco potrafisz zmyślać.

Puszczam do niej oko. Obie parskamy śmiechem.

- Skoro o mężczyznach mowa, przyniosłam też list od Puvisa.

Bierze go z tacy. Podaje mi. Otwieram.

*Ma Chère Mademoiselle!*

Wybrałem się dziś do Pani rodziców w Passy z zamiarem powiadomienia o moich zamiarach. Nielatwe zadanie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ich stosunek do mnie.

Moja przyszłość z Panią, najdroższa, zbyt wiele dla mnie znaczy, bym mógł dalej ukrywać me uczucia. Może Pani być pewna - z czasem zdobędę ich serce.

I byłbym zamiar natychmiast wcielił w życie, gdybym ich zastał. Niestety, w domu znajdował się jedynie Pani brat. Przekazał, że wyszli na dłużej i zapewne wrócą dopiero przed zmierzchem.

Wyszedłem więc i ruszyłem na długi spacer, aż do Lasku Bulońskiego. Krążyłem po nim, póki niebo się nie zachmurzyło i nie spadł deszcz. Uznałem złą pogodę za znak, że to nie jest odpowiedni moment na rozmowę z Pani rodzicami. Z pewnością nie zaskarbiłbym sobie ich sympatii, stając w drzwiach przemoczony do suchej nitki. Wróciłem zatem do domu, nie podejmując już długiej wędrówki do Passy.

Innym razem, najdroższa. Innym razem.

Pani wierny i oddany sługa

Pierre Puvis de Chavannes



Tchórz.

Poczułam się, jakby podmuch silnego wiatru zgasił wąty płomynek. Puvis zachowuje się jak wystraszony chłopczyk. To tylko potwierdza moje wcześniejsze przypuszczenia. Choć Pierre Puvis de Chavannes jest moją jedyną nadzieją na zamążpójście, ślub z nim okazałby się straszliwą pomyłką.

Najchętniej parsknęłabym teraz gorzkim, pozbawionym wesołości śmiechem zastępującym odwieczne „a nie mówiłam?”, ale dotyk dłoni Edmy na moim ramieniu natychmiast dławi go niczym korek butelkę.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Wszystko jest w zupełnym porządku. Składam kartkę i zastanawiam się, co z nią zrobić.

Kiedy Edma wychodzi, drę list na kawałeczki i wyrzucam do kosza.

\*

Edma nie chce, bym wyjeżdżała z Cherbourga, ale nie mogę zostać, skoro wraca Adolphe. Po rozłące potrzebują czasu dla siebie. Mają co świętować: Francja znów cieszy się pokojem, a ich rodzina wkrótce się powiększy. Nie, tylko bym zawadzała. Zresztą, choć podoba mi się Cherbourg, stęskniłam się za Paryżem.

Chcę wracać do domu.

\*

*Maman* znów zaczyna stare sztuczki. Tym razem jednak zdobyła współniczkę - madame Manet. Najwyraźniej po dłuższych debatach uznały, że Eugène i ja jesteśmy jak samotne skarpety od dwóch par. Obojgu nam brakuje drugiej połówki.

Osobno do niczego się nie nadajemy, ale razem ta niedobrana para może całkiem nieźle funkcjonować - nawet jeśli nie pasujemy do siebie idealnie. Co ustaliwszy, postanowiły za wszelką cenę nas połączyć.

Tylko dlatego, że lubię Eugène'a, a po pamiętnej wędrówce do domu podczas zamieszek komundarów uważam go za przyjaciela, zgadzam się na przyjęcie, które *maman* dziś wydaje - rzekomo by uczcić mój powrót do domu. Tak naprawdę chodzi o to, by wyswatać mnie z Eugène'em. Podejrzewam, że on czuje się równie zażenowany tym pomysłem jak ja. Dziś wieczorem pewnie będziemy śmiać się do rozpuku z planów naszych matek.

Siedzę przy toaletce i skrapiam kark perfumami z fiołków parmeńskich. Przeglądam się w lustrze i myślę, jak miło będzie znów zobaczyć Degasa. Brakowało mi jego sardonicznego poczucia humoru.

Oczywiście, Édouard też otrzymał zaproszenie. Wciąż nie wiem, jak sobie poradzę z jego obecnością. Od pamiętnej wizyty w Cherbourgu nie dał znaku życia. Niestety, w związku z nagłą przyjaźnią *maman* z madame Manet muszę być przygotowana, że będziemy się widywali.

Jeśli Édouard jest obrażony, najprawdopodobniej okaże się, że ma na dziś inne plany. Udaję, że nie czuję rozczarowania, które ściska mi pierś, i skupiam się na pogodniejszych myślach. Wszyscy wyszliśmy z tej koszmarnej wojny cali i zdrowi, i znowu możemy się spotykać.

Wyglądam głęboko wyciętą, szmaragdową suknię z mory. To moja ulubiona. Dziś wkładam ją po raz pierwszy od zakończenia wojny. Jest może odrobinę za luźna, ale dobrze się w niej czuję.

Tak, wszyscy ocaleliśmy. Dziś będę dziękowała losowi, że moja rodzina i przyjaciele ocaleli z wojennego piekła i dziś znowu się spotykamy.

Właśnie schodzę z ostatniego stopnia, gdy słyhać stukanie kołatki u drzwi. Amélie biegnie otworzyć gościom i dyga.

Wśród gwaru powitań wyłapuję głos Édouarda. Jestem na siebie zła, bo serce od razu szybciej mi bije. Korzystając z tego, że Amélie odbiera peleryny i kapelusze, przemykam się do bawialni i moszczę się na otomanie, próbując przybrać uprzejmy wyraz twarzy.

Prześladują mnie jego słowa z Cherbourga. Zabijają moją pewność siebie niczym gangrena rozprzestrzeniająca się na całe ciało. Wiem, że muszę go odciąć od swojego życia, tak samo jak lekarz odcina gnijącą kończynę. Tylko wtedy rana w sercu się zagoi.

Gdyby to było proste...

Słyszę, że towarzystwo zbliża się do bawialni. Zaczyna mnie ogarniać niepokój. A nuż moją obecność uznają za nadgorliwość niecierplivej gospodyni? Może lepiej byłoby wejść, dopiero gdy już wszyscy się pojawiają? Za późno. Przechodzę do okna i tam właśnie stoję, gdy za moimi plecami rozlega się gromkie *Bonsoir, mademoiselle* Édouarda.

Odwracam się.

Podchodzi, ujmuje moją dłoń do ust i na moment przed tym, jak muśnię ją wargami, unosi ku mnie oczy. Patrząc na to powitanie, nikt by się nie domyślił, jak burzliwa była nasza ostatnia rozmowa. Co za ulga! Przyszedł. Czuję się, jakby znów otulił mnie miękkimi, ciepłymi obłoczek. Zanim jednak zdąży mnie porwać i unieść ku niebu oczu Édouarda, szybko przywołuję się do porządku.

Do otrzeźwienia w znacznym stopniu przyczynia się jego żona, która mierzy nas wzrokiem z drugiego końca pokoju. Pozostali goście w czasie wojny wyraźnie zmarnieli, a ona jeszcze bardziej się rozrosła. Jestem zdumiona, że tłusta Suzanne mogła jeszcze bardziej przytyć.

Édouard prostuje się i idzie za moim spojrzeniem. Wypuszcza moją rękę. Odsuwam się i podchodzę, by przywitać się z Suzanne, madame Manet i Eugène'em. Na szczęście w bawialni pojawia się *maman*, która natychmiast przejmuje inicjatywę.

- *Bonsoir!* Zapraszam. Rozgoście się. Jakże się cieszę, że przyszliście.

Czuję na sobie oczy Édouarda. Kusi mnie, by wrócić w rejony, w które już nigdy nie miałam zawędrować.

- Śmiało, Berthe! - szczebiocze *maman*. - Usiądź obok Eugène'a.

Pokazuje mu miejsce na ciemnoniebieskiej kwiecistej otomanie i popycha mnie do niego.

Zaczyna się. Jeśli zaprotestuję, narobię biedakowi wstydu. Wykonuję zatem polecenie *maman*, uśmiechając się do niego z rezygnacją. On z kolei wygląda tylko na nieco skępowanego. Na pewno nie jest mu przykra moja bliskość.

*Maman* usadza Édouarda i Suzanne naprzeciwko nas. Kiedy idą na miejsce, głośno wciąga powietrze i uważniej przygląda się Suzanne.

- Rety, Suzanne! Wyglądasz... - Patrzy przez lorgnon na jej pełną figurę. - Cóż, wygląda na to, że wzięłaś na siebie całą wagę, którą my straciliśmy. Zdrowie ci dopisuje, nieprawdaż?

Suzanne czerwienieje, usta składa w ciup, ale milczy.

- Los był dla nas łaskawy, nie brakowało nam jedzenia - mówi znużonym głosem Édouard. - Gdybyśmy byli bliżej, chętnie byśmy się nim z wami podzielili.

Żałosna próba usprawiedliwienia obżarstwa w czasie, gdy wszyscy biedowali. Ciekawe, czy jadła też jego porcje? Przez moment wyobrażam sobie absurdalną scenkę: Suzanne jako spasiony piesek Édouarda staje na dwóch łapkach i prosi o jedzenie, a on rzuca jej najlepsze kęski z talerza. Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem, na czym polega jej władza nad nim. Są absolutnymi przeciwieństwami. Suzanne stanowi zaprzeczenie wszystkiego, co dla niego ważne i cenne.

Od kiedy poznałam prawdę o ojcu Léona, często się zastanawiałam, co o ich związku mówi brak potomstwa. Zresztą jak Édouard mógłby pożądać takiej kolubryny? Wystarczy spojrzeć na Edmę i jej męża. Choć Adolphe rzadko bywa w domu, zdołał już spłodzić drugie dziecko. Tymczasem Suzanne i Édouard po tylu latach małżeństwa...

- Piękną mamy dziś pogodę - odzywa się Eugène.

Odwraca się w moją stronę wyczekująco. Założył nogę na nogę, rękę sztywno opiera na kolanie. Nie jest natrętny, ale z trudem się pohamowuję, by się nie odsunąć.

- Wieczór przyniósł upragniony chłód - dodaje.

Kiwam głową. Nie jestem w nastroju do rozmów o pogodzie. Suzanne i Édouard przypatrują się nam. Zapada niezręczna cisza.

- Mademoiselle - przerywa ją w końcu Édouard - zechce pani zdradzić, nad czym teraz pracuje? Pani matka wspominała, że pragnie pani wybić się jako malarka.

Robi mi się żal Eugène'a, który znów przegrał ze starszym bratem. Zwracam się więc do niego, licząc, że włączy się do rozmowy.

- Z Cherbourga przywiozłam sporo niewielkich obrazków przedstawiających Edmę i Jeanne. Właśnie prowadzę rozmowy z marszandami, zanim wybiorę stałego odbiorcę.

- Czy chce pani, bym ją przedstawił swoim marszandom?

Édouard zmusza mnie, bym znów spojrzała na niego.

- Czy to pani pomoże?

Zastanawiam się, czy mówi szczerze, czy to był tylko podstęp, by odwrócić moją uwagę od brata.

- Jeśli mówi pan szczerze, przyznam, że bardzo bym doceniła taką pomoc.

- Zatem ustalone, wszystko załatwię.

Pojawia się Degas i przyjęcie od razu się rozkręca. Od pierwszej chwili - gdy wchodzi do pokoju i natychmiast wciska się między mnie a Eugène'a - widzę, że jest w znakomitej formie.

- Nie pogniewasz się, Manet, prawda? Zbyt długo byłem pozbawiony towarzystwa tej wyjątkowej kobiety, musimy nadrobić zaległości.

Nawet jeśli Eugène nie jest zadowolony, nie daje tego do zrozumienia. Uśmiecham się. Degas ma tupet. Zawsze potrafi zająć miejsce, które sobie upatrzył. Na chwilę puszczam wodze wyobraźni i zastanawiam się, co by było, gdybym została jego żoną. To trwa do momentu, gdy otwiera usta. Wtedy błyskawicznie dochodzę do wniosku, że idealnie nadajemy się jedynie na przyjaciół. Jako kochankowie tylko byśmy skakali sobie do oczu.

Kochankowie...

Obecność Édouarda nie daje mi spokoju. Oczy same biegną w jego stronę. *Maman* przysiadła się do niego. Édouard z uwagą słucha jej kolejnej tyrady. Spogląda na mnie, nim zdążę odwrócić wzrok, i posyła mi prawie niedostrzegalny uśmiech. Jakże schudł przez ten rok! Zabiedzony, z zapadniętymi policzkami, przypomina anioła zrzuconego na ziemię.

- Czy dobrze słyszałem, że Puvis się o panią stara? - Degas tym pytaniem wyrывa mnie z zadumy. Uniesione brwi i wydęte wargi nie pozostawiają wątpliwości, co sądzi o tym pomysle. - Co właściwie was łączy?

Bębni palcami o oparcie, ja zaś spróbuję ubrać w słowa to, czego sama nie potrafię wyjaśnić. Wreszcie bezradnie rozkładam ręce i wzruszam ramionami.

- Okazał się lojalnym przyjacielem w trudnych chwilach. W przeciwieństwie do innych, których imion nie zdradzę.

Bardzo starannie omijam wzrokiem Édouarda. Degas gładzi wąsiki i sapie zadowolony.

- No właśnie. Czyż nie uprzedzałem, że w opałach nie warto liczyć na Maneta? Wtedy pani mi nie uwierzyła. Może teraz posłucha pani, kiedy ostrzegę panią przed Puvisem.

Wznoszę oczy ku niebu.

- Niech pan się liczy ze słowami. Puvis jest moim dobrym przyjacielem...

- Nie, mademoiselle. Błagam, niech pani mnie wysłucha. Uważam za swój obowiązek powiadomić panią o dość pikantnym romansie, który łączy pani „dobrego przyjaciela” Puvisa z księżną Marie Cantacuzène. Słyszała pani o ich związku? Trwa od dobrych piętnastu lat.

Dyskretnie rozglądam się, sprawdzając, czy ktoś jeszcze usłyszał te brednie. Wszyscy jednak - łącznie z Eugène'em, który siedzi tuż obok - są zajęci własnymi pogawędkami.

- O niczym nie ma pani pojęcia, prawda? - Degas marszczy nos, jakby poczuł smród. - Mhm. Tak podejrzewałem. Pozwoli pani zatem, że ją oświecę. Księżna żyje w separacji, ale wciąż pozostaje małżonką rumuńskiego księcia. Sprawie smaczku dodaje fakt, że jest równolatką pani *maman*.

Ostentacyjnie przygląda się paznokciom z tą swoją nieznośną, znudzoną miną. Mam ochotę dać mu w twarz.

- Niech pani tak na mnie nie patrzy - mówi. - Nie wymyśliłem tej historyjki.

Przeciągam ręką po ciemnoniebieskim obiciu otomany. Doskonale wiem, że Degas nie zmyśla. To tylko pogarsza sytuację. Nagle wszystko nabiera sensu. Obawa Puvisa przed spotkaniem z rodzicami. Ich niewytłumaczalna niechęć do niego. Wiedzieli. A mimo to nie byli łaskawi mnie uprzedzić. Co by się stało, gdyby tamtego popołudnia zastał ich w domu? A może byli w mieszkaniu, ale woleli go nie przyjąć? Och, szkoda czasu. Mogę snuć te rozważania godzinami. To niczego nie zmieni.

W pomieszczeniu panuje duchota. Brakuje mi powietrza. Jeśli zostanę tu jedną chwilę dłużej, chyba zacznę wrzeszczeć na cały głos.

- Pan wybaczy.

Degas kiwa głową.

- *Naturellement*.

Mam wrażenie, że stukot moich obcasów zagłusza wszystkie rozmowy. Podchodzę do okna na końcu bawialni. Szamoczę się z klamką, zastanawiając się, czy cokolwiek na tym świecie jest rzeczywiste, a nie okazuje się jedynie pozorem lub ułudą.

Ręka ześlizguje mi się z klamki i uderza w drewnianą framugę. Moje odbicie przygląda się z szyby, jak próbuję się uporać z emocjami, które się we mnie kotłują. W pustej klatce żeber, gdzie powinno znajdować się serce, pulsuje ból. Gdzieś w trzewiach narasta niezadowolenie. A nad tym wszystkim spokojna pewność, że z Puvisem wszystko skończone.

Pstryk! - i już.

Ulga, która mnie ogarnia, niepokoi mnie bardziej niż odkrycie tajemnicy Puvisa. Przykładam głowę do chłodnej szyby. Za oknem krąży biała ćma, raz za razem obijając się o szybę. Biedny owad, jeszcze się nie nauczył, że po drugiej stronie nie zawsze jest lepiej.

Gdybym kochała Puvisa, powinnam zażądać, by powiedział prawdę.

Zrobiłabym to, gdyby mi na nim zależało.

Znów wyciągam rękę i po raz ostatni szarpnięciem klamkę. Obraca się, rygiel wreszcie puszcza. Co-fam się i wpadam na kogoś.

To Édouard. Chwyta mnie w tali. Wyrrywam się.

- Przyszedłem pomóc. Nie mogła pani otworzyć okna.

Nie liczy się to, co mówi, ale to, jak na mnie patrzy.

Ten wychudzony mężczyzna jest cieniem beztroskiego dandysa, który się zachowywał, jakby świat leżał u jego stóp. Serce mi się ściska, bo wciąż widzę w nim Édouarda, którego pokochałam.

- Dziękuję, ale sama doskonale sobie poradziłam.

- *Oui*, to prawda.

Staję w oknie. Owiewa mnie chłodne powietrze. Ćma wlatuje i siada na parapecie. Zastanawiam się, czy jest bardzo obolała od obijania się o szybę.

- Niechcący podsłuchałem, co mówił Degas. Prostak bez wychowania. Przykro mi, że w ten sposób ujawnił tajemnicę Puvisa.

Zastanawiam się, kto jeszcze usłyszał.

- Najwyraźniej łatwo dają się oszukać - wrywa mi się.

Sama nie wiem, jakiej reakcji się spodziewam. Nie widzę jego twarzy, bo stoi za mną, ale potrafię ją sobie wyobrazić. Pewnie marszczy czoło, gładzi brodę.

- *Au contraire, mademoiselle*. Jest pani obdarzona wyjątkową bystrością i celnością sądów. Z jednym wyjątkiem. Gdy twierdzi pani, że mi na niej nie zależy.

Przesuwa się. W szybie pojawia się jego odbicie. Serce mi mięknie.

- A zależy, Édouardzie? - szepczę.

- Kocham cię. Kiedy wreszcie przestaniesz mnie dręczyć i w to uwierzysz?

Kasztan kołysze się na wietrze. Zza jego gałęzi prześwituje blada poświata księżyca. Édouard przysuwa się bliżej. Przeciąga palcem po moim ramieniu. Jestem jak zaczarowana, jego pieszczota zamyka wszystkie rany mojego serca.

- Berthe - szepcze - bez ciebie nie mogę jeść, spać ani malować. Potrzebuję cię. Przyjdź do mnie jutro.

Gdzieś daleko rozbrzmiewa dzwonek. Głos *maman* wzywający do stołu dobiega jakby z bardzo daleka.

Édouard wraz z pozostałymi gośćmi przechodzi do jadalni. Ja jeszcze chwilę zostaję. Samotna jak Nike z Samotraki wpatruję się w srebrny łuk księżyca rozjaśniający otchłanie nocy. Gdzieś nad Morzem Egejskim Nike triumfalnie rozpościera skrzydła. Zefir przynosi łagodny, zachodni wiatr. Biała ćma podrywa się do lotu.

# Rozdział 23

*Miłość nie polega*

*na wzajemnym wpatrywaniu się w siebie,  
ale na wspólnym patrzeniu w tym samym kierunku.*

Antoine de Saint-Exupéry

Édouard ma tupet. Następnego ranka przysyła mi fiołki. Dołącza do nich niepodpisany bilecik, na którym jest napisane tylko „Zależy mi”.

Fiołki. Staram się nie myśleć o ich symbolice. W mowie kwiatów oznaczają przecież miłość. Wiem, że to nie przypadek. Kto jak kto, ale Édouard z pewnością doskonale zna mowę kwiatów.

Zabieram je do pokoju i stawiam na toalecie, bym mogła na nie patrzeć, kiedy będę się przebie-  
rać.

Wyjmuję z szafy czarną suknię z głębokim wycięciem - tę ładną, z koronką przy dekolcie i czarną wstążką w talii. Wieszam ją na drzwiach i siadam przed lustrem, by się uczesać.

Miałam wyjątkowe szczęście, że *maman* jeszcze spała, a papa już wyszedł do pracy. Kwiaty wzięła Amélie i przyniosła mi ze znaczącym błyskiem w oku.

Sięgam po bukiet, obracam go w palcach i wącham. Płatki łaskoczą mnie w nos. Ależ Édouard ma tupet!

Pójdę do niego.

Nie mogę nie pójść, tak samo jak Sekwana nie może zatrzymać swego nurtu.

\*

Może po prostu jest mi pisany los „tej trzeciej”. Najwyraźniej to moje przeznaczenie. Gdybym wyszła za Puvisa, zyskałabym status mężatki, ale jego serce i tak należałoby do rumuńskiej księżny.

Suzanne jest żoną Édouarda. Z całą pewnością jednak nie panią jego serca. Tak czy owak, w obu sytuacjach odgrywam rolę tej trzeciej.

Czy to taka straszna rola?

Édouard nawet nie udaje zaskoczenia na mój widok.

Jego nowa pracownia zajmuje cały drugi poziom budynku z numerem czwartym przy rue de Saint-Petersbourg. To dwie przecznice od jego domu, noszącego numer czterdziesty dziewiąty. Suzanne mogłaby tu przyjść. Gdyby tylko się odważyła. Albo gdyby jej zależało. Mam jednak dziwną pewność, że nie będzie chciała. To wymagałoby zbyt wiele energii.

Édouard urządził tu atelier, bo jego poprzednia pracownia przy rue Guyot została zniszczona podczas Komuny. Bolesną stratą.

Natychmiast zauważam „Balkon”. Wisi na honorowym miejscu, nie stoi oparty o ścianę. Obok niego Édouard umieścił mój portret Edmy na tle portu w Lorient. Jestem wzruszona. *Dieu merci*, że oba płótna oddał na przechowanie Théodore'owi Duretowi. Inaczej by przepadły.

Pracownia jest śliczna. Przestronna, elegancka, wysoka. Przeszkłone ściany.

Stoję w drzwiach, bawiąc się bukiecikiem. Rozglądam się. Nieco mniej naturalnego światła niż w atelier przy rue Guyot, gdzie był przeszklony dach, ale nie można narzekać. No i latem będzie chłodniej.

Idę na środek i powoli się obracam, chłonąc każdy szczegół, wyłapując znajome elementy, które dopiero oswajają się z nowym otoczeniem. Duża czerwona otomana. Sztalugi. Stołek. Stół z tubkami farby i pędzlami. Słoiczki z pigmentami. Książki. Akcesoria. Rolki płótna i papieru.

Parawan.

Łóżko.

Z każdego kąta uśmiechają się do mnie starzy przyjaciele. Wszystko niby takie samo, a zarazem inne.

Pracownia jest dwa razy większa niż poprzednia. Wszystko leży na swoim miejscu. Nie ma przypadkowości ani bałaganu. Nawet łóżko jest posłane. Przy rue Guyot panowała beztraska atmosfera młodego malarza. Tu zaś znajduję się w pracowni mistrza.

- Kiedyś mieściła się tu szkoła fechtunku - wyjaśnia Édouard.

Podłoga drży, jakby ręka Boga zatrzęsła budynkiem. Chwytam się sztalug. Przez chwilę się boję, że ziemia się otworzy i mnie pochłonie.

- Dworzec Saint-Lazare! - Édouard przekrzykuje łoskot. - Co chwila przetacza się jakiś pociąg. Budynek nieustannie drży w posadach. - Uśmiecha się. - Przynajmniej nie zasypiam.

Mimowolnie rzucam okiem na łóżko. Narzuta gładka jak stół. Poduszki puchate. Chyba do tej pory nikt w nim nie spał. Cóż za kontrast w porównaniu z wiecznie rozrzuconą pościelą w poprzednim atelier. A choć często bywałam w pracowni przy rue Guyot, nigdy nie leżałam na tamtym łóżku.

- Piękna pracownia, Édouardzie. Pokażesz mi, nad czym teraz pracujesz?

Poważnieje. Zaplata ramiona na piersi, wsuwając kciuki pod pachy.

- Jeszcze nie zacząłem.

- Niemożliwe! Minęło tyle miesięcy! Gdybyś widział, ile ja namalowałam w tym czasie. Szkoda, że wczoraj nie zabrałam cię do swojej pracowni...

Mówiąc to, rozglądam się za nowymi płótnami. Nie żartował. Rzeczywiście widać tylko stare obrazy. Zerkam na niego z ukosa. Kręci głową. Przesłupuje z nogi na nogę. Ręką przeciera oczy.

- Mówiłem ci - mruczy. - Od powrotu do Paryża nie namalowałem nic.

- Édouardzie?

Patrzy na mnie oczami pociemniałymi ze smutku. Bezsilny chłopiec w ciele mężczyzny.



Nie wiem, kto pierwszy zrobił krok - on czy ja - ale nagle spostrzegam, że dzielą nas zaledwie centymetry. Édouard ujmuję moją twarz w dłonie i trzyma tak, najpierw obrysowując kciukiem kontur moich ust, a potem oboma moimi kości policzkowe. Zanurza dłonie w moich włosach. Szpilka upada na podłogę, fryzura się rozsypuje. Przeczesuje palcami moje loki. Wodzi nimi po moich ramionach, pierśsiach.

Przyciąga mnie do siebie. Czuję, że jest podniecony. Tkwimy bez ruchu niczym dwoje wysuszonych wędrowców, szykujących się, by zaczerpnąć wody ze źródła życia.

Wtulam się w niego, spragniona dotyku jego ciała. Całuję go. Delikatnie. Ostrożnie. Zdaję sobie sprawę, że stoję na rozdrożu. Jeśli wybiorę ścieżkę, której pragnie moje rozpalone ciało, nie będzie już odwrotu.

Wiem, którą drogą muszę iść. Wędrówka trwała długo, lecz każdy krok prowadził mnie prosto do tego miejsca.

- Naprawię wszystko między nami. - Jego szept przypomina chrzęst żwiru pod nogami. - Uczynię cię szczęśliwą. Zobacysz, że...

- Ciii...

Przerywam mu pocałunkiem. W tym momencie kocham go tak bardzo, że aż boli.

Tylko jedno może złagodzić ten ból.

Biorę Édouarda za rękę i prowadzę go do łóżka.

- Wyjedźmy.

Kropką w tym zdaniu jest pocałunek złożony na czubku mojej głowy. Wpasowuję się w Édouarda. Mocniej przyciąga mnie do siebie.

- Wolę tu zostać. Z tobą. Tak jak teraz.

Wtulam się w niego, rozkoszując się zapachem naszego zjednoczenia. *Mon Dieu*, jak ja kocham jego zapach. Wsuwam głowę pod kołdrę i całuję Édouarda po brzuchu.

On wzdycha.

- Tu jest przyjemnie, ale chcę pojechać gdzieś, gdzie moglibyśmy tak spędzać każdy dzień i każdą noc.

Oczy mu lśnią. Cieszę się, widząc, jak znowu wstępuje w niego energia.

- Wyjedźmy - nalega. - Teraz. Nie żartuję.

Opiera się na łokciu. Kołdra zsuwa się po moich nagich plecach. Bawię się włosami na jego torsie.

- Édouardzie, nie możemy. Nie teraz. Nie tak.

- Oczywiście, że nie tak. Najpierw się ubierzemy.

Unosi brew, uśmiecha się i siada.

Nie żartuje.

Opadam na plecy. W żołądku pojawiają się znajome spirale. Zastanawiam się nad jego propozycją. Obrazy, które pozaczynałam, marszandzi, których nimi zainteresowałam... Kładę rękę na czole. Drugą podciągam kołdrę po szyję. Gdybyśmy wyjechali, musielibyśmy zacząć od zera także zawodowo.

- Boisz się wyjechać, bo kilka razy już się sparzyłaś? - odzywa się cnotka. - A czego się spodziewałaś, zakochując się w żonatym? Jeśli z nim uciekniesz, łatwo przewidzieć, jak to się skończy. Pewnego dnia rzuci cię dla innej.

- Bądź rozsądna - perswaduje Olimpia. - W obecnych warunkach ten związek nie ma szans przetrwania. Przeżyliście wojnę. Daj mu szansę, niech dowiedzie, na co go stać.

- Papa choruje. Nie mogę w tym momencie po prostu wyjechać i go zostawić.

Słyszę szelest pościeli. Siadam i patrzę, jak się ubiera. Podciągam kolana pod brodę.

- Sądziłem, że tego chcesz.

- Chciałam, ale teraz wszystko się zmieniło.

Dopina spodnie i stoi tak - bez koszuli, potargany - głęboko patrząc mi w oczy. Znow pragnę go jak przed chwilą. Brak mi słów, by wyrazić głębię mojej miłości.

- Édouardzie, usiądź tutaj. - Zaplatam palce na jego dłoni, unoszę ją do ust i całuję. - Niczego bardziej nie pragnę, ale teraz nie możemy wyjechać. Musimy zostać. Ze względu na papę. Ze względu na naszą przyszłość. Wspólną. Wykorzystajmy pozycję, którą wypracowaliśmy sobie w Paryżu, by zbudować nasze życie. Wspólną przyszłość.

Kręci głową.

- Tutaj to nigdy się nie uda, Berthe. - Cofa dłoń. - Oboje zostaniemy zniszczeni.

- Od kiedy tak się tym przejmujesz? - Gładzę go po nagich plecach. - Édouardzie, nie boję się konsekwencji. Jestem gotowa stawić im czoło. Ty też wytrzymasz. Nieraz musiałeś walczyć z paryskimi filistrami i wychodziłeś z bitwy mocniejszy niż przedtem. Odważ się. Żyjmy tak, jak chcemy, tutaj, w naszym środowisku.

Przetacza się pociąg. Podłoga drży. Wstaję z łóżka. Czuję na sobie spojrzenie Édouarda. Śledzi każdy mój ruch. Nie zawracając sobie głowy gorsetem, wciągam suknię. Zawijam wstążkę w talii, włosy podpinam tylko z boku, by swobodnie spływały na plecy.

Znow siadam przy Édouardzie, opierając się na łokciu.

- W tej pozycji wyglądasz jak anioł.

Podchodzi do komódki, wyjmując z szuflady czarną aksamitkę, zawiązuje mi ją na szyi na karkę, a za dekolt wsuwa bukiet fiołków. Potem staje za sztalugami. Zanurza pędzel w farbie.

Pracuje, gawędzimy, a z każdym pociągnięciem pędzla wyłania się obraz naszego nowego życia.

**„Le Figaro” - 25 maja 1875 - Ansel Racine**  
**Nowa Olimpia Maneta?**

*Cały Paryż zachodzi w głowę, co łączy mademoiselle Berthe Morisot i monsieur Édouarda Maneta. Pytania same się nasuwają. Wystarczy zobaczyć jego tegoroczne dzieło zgłoszone na Salon. „Odpoczynek” bowiem to zmysłowy portret panny Morisot uwodzicielsko, wręcz prowokująco ułożonej na czerwonej kanapie. Czarny pantofelek kontrastuje z dziewiczą bielą sukienki. Dodajmy do tego jeszcze gest prawej ręki, w której modelka trzyma czerwony wachlarz, lewą dłoń opartą na siedzeniu kanapy i wreszcie wyraz twarzy mówiący: „Podejdź śmiało” - a pocujemy się zaproszeni, by spędzić z nią urocze tête-à-tête.*

*Jeśli zaś przypomnimy sobie, że monsieur Manet - jak sam podkreśla - maluje wyłącznie to, co widzi, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że tylko on jest adresatem gorącego spojrzenia mademoiselle Morisot. Ciekawym, co na to jego żona.*

Ostrzegałam Édouarda, że jeśli nie chce, by miasto dowiedziało się o naszym związku, nie powinien zgłaszać obrazu na Salon. On jednak nie chciał mnie słuchać. Upierał się, że portret będzie znakomicie kontrastował z drugim jego obrazem, zatytułowanym „Kufel piwa”. Mój portret namalował jeszcze przed wojną. A choć bardzo go lubię, uważam, że to zbyt intymne płótno. Zbyt wiele odsłania. Nie ulega wątpliwości, że - jak trafnie zauważył Racine - Édouard wiernie oddał to, co tamtego dnia czułam.

Aby wystawić obraz, Édouard musiał pożyczyć go od obecnego właściciela. Durand Ruel kupił portret tuż po wojnie za dwa i pół tysiąca franków. Édouard nie chciał się z nim rozstawać, ale wszyscy boleśnie odczuwaliśmy skutki wojny, a z czegoś trzeba żyć.

Nie przeszkadza mi rozgłos wokół „Odpoczynku”. Od wielu miesięcy spotykamy się regularnie. Szczerze powiedziawszy, jestem zdumiona, że nikt jeszcze się nie domyślił.

Właściwie nawet trochę żałuję. Édouard wciąż się nie zgadza, byśmy zaczęli nowe, wspólne życie w Paryżu. Ja zaś nie zgadzam się na wyjazd. Nie możemy osiągnąć kompromisu, więc po prostu o tym nie rozmawiamy. Nie będę naciskać, ale też nie wyjadę.

- Żałuj, że nie widziałeś dziś *maman* - mówię do pracującego Édouarda. - Kiedy przeczytała recenzję w „Le Figaro”, wpadła w szal.

Parska śmiechem.

- „Mam nadzieję, że jesteś zadowolona!”, wrzeszczała - opowiadam dalej. - „Najwyraźniej postanowiłaś skompromitować nie tylko siebie, ale i całą rodzinę!”. Rzuciła lorgnon na gazetę. Dziw, że szkła nie popękały.

Zaglądam Édouardowi przez ramię. Maluje mój portret - leżę na łóżku w czarnej sukni. Przypominam sobie, z jaką czułością wsuwał mi za dekolt bukiet fiołków, i znów ogarnia mnie pożądanie.

- Ciekawe, co Racine powie na ten portret - mówię. - Jest jeszcze bardziej zmysłowy niż „Odpoczynek”, prawda?

Édouard coś mruczy. Jest zupełnie nieobecny duchem.

- Nie pamiętam, kiedy *maman* ostatnio wpadła w taką złość. Ale to wszystko nic w porównaniu z piekłem, jakie się rozpęta, kiedy jej powiemy o naszych planach.

Tym razem nie odpowiada.

- Édouardzie?

- Tak, najdroższa. Twoja matka była wzburzona? Zatonął we własnym świetle. Wiem, że w takich chwilach lepiej dać mu spokój, inaczej skończy się kłótnią.

Podchodzę do okna. Powinnam iść do domu i zająć się własną pracą. A mam co robić. Jestem niezadowolona z tego, co w tym roku zaprezentowałam na Salonie. To dla mnie olbrzymi zawód. Tak niedawno byłam w siódmym niebie, jeśli w ogóle się zakwalifikowałam. W tym roku przedstawiłam tylko malutki portret Edmy i Jeanne na łące, który nie zwrócił niczyjej uwagi. Wisi na ścianie, niedostrzegany niczym deszczówka w porzuconym dzbanku. Moim zdaniem obojętność jest stokroć gorsza od miażdżącej krytyki.

Zazdroszczę Édouardowi rozgłosu wokół jego obrazu. Staram się nie przejmować faktem, że po raz kolejny mój wizerunek staje się przedmiotem spekulacji.

A niech gadają. Niech zachodzą w głowę.

Snuję się po pracowni. Pod ścianą zauważam odwrócone sztalugi, a na nich płótno. Wczoraj jeszcze go nie było. Delikatnie odchylam obraz. Przedstawia kobietę z dzieckiem na tle ogrodzenia z metalowych prętów. Za nim widać kłęby pary. To musi być dworzec kolejowy. Gare Saint-Lazare. Dziewczynka stoi odwrócona tyłem. Ma na sobie białą sukienkę z wielką niebieską kokardą na plecach. Kobieta siedzi ze śpiącym szczeniakiem na kolanach. W rękach trzyma książkę. Najłagodniej mówiąc, wygląda nienadzwyczajnie w niemodnym czepku i zwykłej, prostej sukni.

Twarz wydaje mi się znajoma, ale nie potrafię powiązać jej z konkretną osobą. A przecież wiem, że gdzieś już musiałam ją widzieć. Tego przenikliwego wzroku i rudych włosów nie mogłabym zapomnieć.

- Édouardzie, kto to jest?

Ogląda się przez ramię i nagle sztywnieje.

- Uważaj. Farba jeszcze nie wyschła.

Narasta we mnie irytacja.

- Przecież widzę. Kim jest ta kobieta? Wygląda znajomo.

Przez chwilę w milczeniu patrzy na obraz, potem na mnie. Wreszcie wraca do malowania.

- To Victorine Meurent.

Victorine? Victorine Meurent... Głośno wciągam powietrze. *Mon Dieu!* Serce ściska mi przerażenie. Olimpia.

- Wróciła?

- Mhm.

To mi się nie podoba. Ani trochę. Zwłaszcza gdy obok psiaka zauważam czerwony wachlarz. Wachlarz, który trzymam na tyłu obrazach Édouarda. Mój wachlarz! Łzy szczypią mnie pod powiekami. Biorę płaszcz i ruszam do drzwi.

Jestem już na klatce schodowej, gdy Édouard z impetem otwiera drzwi.

- Berthe! Dokąd idziesz?

- Do domu.

Schodzę, nawet się nie oglądając. Édouard ożenił się z Suzanne po wyjeździe Victorine. Nie trzeba geniusza, by odgadnąć, co znaczyła dla niego Olimpia. Teraz wróciła, a on maluje ją z moim wachlarzem...

- Wracaj, słyszysz? Co cię ugryzło? Maluję spokojnie, a ty ni z tego, ni z owego wypadasz jak burza. Wracaj do środka, porozmawiamy.

W jego głosie rozdrażnienie bierze górę nad czułością. Wstrzymuję oddech, by stłumić szloch. Pozwalam jednak wziąć się za rękę i zaprowadzić na górę. W głowie słyszę tylko głos cnotki powtarzającej: Wiesz, że to zabije twojego ojca?

Serce ściska mi się na samą myśl o tym. Tylko z jednego powodu nie naciskałam na Édouarda - ze względu na papę, którego zdrowie od wielu miesięcy wyraźnie się pogarsza. Obawiam się, że nie doczeka Nowego Roku. Teraz jednak - gdy Victorine wróciła do Paryża - nie mogę żyć dalej w takim zawieszeniu.

Édouard zamyka drzwi i wyciera ręce w szmatę. Z portretu patrzy na mnie zniszczona życiem, zaniedbana Victorine.

On nie zamierza się z tobą ożenić! - wrzeszczy cnotka na cały głos. - Muszę nalegać, byś ostatecznie się z nim rozstała i wykreśliła go ze swojego życia. Dla własnego dobra.

Édouard idzie za moim wzrokiem.

- Przez ten obraz cała awantura?

- Trzyma mój wachlarz.

- Co? - pyta z nieskrywanym zdumieniem.

Czuję się jak idiotka.

- Nieważne, Édouardzie. Długo się zastanawiałam nad naszą sytuacją i podjęłam decyzję. Już czas. Albo natychmiast się wyprowadzisz z domu i zamieszkasz ze mną, albo wszystko skończone. Zostaniemy w Paryżu, bo jak ci wiadomo, nie mogę teraz zostawić papy. Jest za bardzo chory.

- I myślisz, że wydobrzeje, jeśli zostaniemy w Paryżu i okryjemy hańbą nasze rodziny i nazwiska?

- Tu jest nasze miejsce. To jest prawda o nas.

Otwiera usta, ale nic nie mówi, tylko dalej wyciera ręce w szmatę. Wie równie dobrze jak ja, że nie możemy tak żyć ani dnia dłużej.

Niedaleko przetacza się pociąg. Przypomina mi się chmura dymu na portrecie Victorine. Serce zamiera mi w piersi. Była tutaj.

Olimpia, która obnażyła się z miłości do mężczyzny. Jak niewiele się od siebie różnimy!

Pociąg przejechał. W atelier zapada cisza tak głucha, że westchnienie Édouarda odbija się echem od ścian.

- Wieczorem powiem żonie.

TLR

# Rozdział 24

*Jak śmierć potężna jest miłość  
a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol.*

Pieśń nad Pieśniami 8,6

## Październik 1873

Lubię malować w ogrodzie, w cieniu kasztanowca. Wstaję rano i taszcze tam sztalugi, by skrócić czas oczekiwania na wizytę Édouarda. Nie umówiliśmy się konkretnie, ale jestem pewna, że się zjawi, gdy tylko rozmówi się z Suzanne. *Oui*, przyjdzie i razem powiemy *maman*.

Chcę najpierw obwieścić to mamie, by zdążyła się oswoić z tą myślą, nim zawiadomimy papę. Trudno będzie jej to zaakceptować, ale jest silna. Kiedy zobaczy, że nie ma wyjścia, pogodzi się z losem.

- *Non, madame! S'il vous plaît!* Nie może pani wejść do ogrodu niezapowiedziana!

Krzyki Amélie burzą spokój poranka. Zaraz potem furтка otwiera się z trzaskiem i głośno uderza o kamienny mur.

Oglądam się i widzę Suzanne Manet. Stoi z rękami na swoich obfitych biodrach. Ma na sobie codzienną szarą suknię z czarnym kapeluszem, który wydaje się za mały na jej dużą głowę. Zza niej wychyla się spłoszona Amélie.

- Przepraszam, panienko, próbowałam ją zatrzymać...

- Nic się nie stało, Amélie. Możesz już odejść.

Suzanne ma przynajmniej dość przyzwoitości, by odczekać, aż służąca zniknie. Dopiero wtedy przystępuje do ataku.

- Nie oddam Édouarda bez walki. Ja i Léon mamy tylko jego. Bez niego przepadniemy.

Obracam pędzel w palcach. Dopiero teraz zauważam interesujący kontrast żółtej farby z ciemnobrązowym włosiem.

- Léon jest bratem Édouarda. Zadbamy, by chłopcu ani pani niczego nie zabrakło.

Przysuwa się o krok. Odkładam pędzel i też biorę się pod boki.

- Najwyraźniej pani nie zrozumiała, mademoiselle. Kocham go. A on mnie.

Jej głos przypomina groźne warczenie psa. Zupełnie nie pasuje do ślepej, głuchej i niemej żony, za jaką do tej pory ją uważałam. Bardziej ją lubiłam, gdy milczała, bo mogłam sobie wmawiać, że zna swoje miejsce.

- Nie kocha pani. Poślubił panią wyłącznie z litości. Sam mi to powiedział.

- A czy powiedział, że lubi się ze mną kochać? Czy chwalił się innymi? A jest ich wiele. Niech pani sobie nie wyobraża, że jest wyjątkowa. Victorine Meurent wróciła. Ona była wyjątkowa. - Śmieje się sucho, z goryczą.

- Precz z mojego ogrodu!

Podchodzi jeszcze bliżej. Z tej odległości widzę, jak jej galaretowaty podbródek trzęsie się z wściekłości. Oczy zamieniają się w wąskie szparki. Wygraża mi palcem. Przez moment boję się, że mnie uderzy.

- Owszem, pójde, ale najpierw mnie pani wysłucha!

Wrzeszczy na cały głos. Lada moment zjawi się *maman*, pytając, co to za zamieszanie.

- Jeśli nie odczepi się pani od mojego męża, zniszczę panią! Myśli pani, że artykuł Racine'a w „Le Figaro” był podły, ale...

- Wcale nie uważam, że był podły! - drę się równie piskliwie, ale pohamowuję się i zniżam głos.

- Wszystko, co napisał, było prawdą. Édouard namalował ten portret po tym, jak się kochaliśmy.

Suzanne prycha jak rozjuszona kotka.

- Niech go pani zostawi! - Odślania żółtawe zęby. - Niech go pani zostawi, bo zamienię pani życie w piekło! Będzie pani żałowała dnia, w którym mnie poznała!

Popycha sztalugi. Odsuwam się, by mnie nie uderzyły. Kręcę głową i uśmiecham się z politowaniem.

- Pani groźby mnie nie przestraszą, Suzanne. Nie zniszczy mnie pani. Już teraz jest pani nikim, a bez Édouarda tym bardziej.

- Radzę zapamiętać moje ostrzeżenie, mademoiselle.

Odchodzi, zostawiając za sobą otwartą furtkę.

\*

Ruszam pieszo do pracowni Édouarda. Drzę, jakby trzęsła mną febra. W połowie drogi wiatr zrywa mi z głowy kapelusz. Nawet nie pamiętam, jak wróciłam do domu, by włożyć go i narzucić na ramiona płaszcz. Z powozu wyskakuje mężczyzna, chwyta mój kapelusz i podaje z dwornym ukłonem.

- Czy coś się stało, mademoiselle? - niepokoi się. - Płacze pani. Mogę pani jakoś pomóc?

- *Merci, non, monsieur.*

Biorę kapelusz i wędruję dalej.

Nie mam pojęcia, ile zajmuje mi pokonanie drogi z Passy do atelier Édouarda. Czas się dla mnie zatrzymał. Kiedy wreszcie docieram na rue de Saint-Pétersbourg numer cztery, jesienne słońce świeci wysoko na niebie, więc domyślam się, że dochodzi południe. Minęło kilka godzin.

Nie pukam, tylko otwieram drzwi na oścież, choć się obawiam, że zastanę go z Victorine albo Suzanne. Albo z obiema.



Édouard jest sam. Patrzy na mnie zdumiony.

- Berthe, skąd się tu...

- Czy nadal się z nią kochasz, Édouardzie? Pociera brodę gestem zasłaniającym także usta.

- Odpowiedz! Czy nadal się z nią kochasz? Czy robisz z nią to wszystko co ze mną?

Krzyk piecze mnie w gardle. Trzęsę się tak, że chyba zaraz upadnę.

- Co ty bredzisz? Nic nie rozumiem.

- Suzanne! Mówię o Suzanne! Przyszła do mnie dziś rano i oświadczyła...

Obejmuje mnie. Przytulam się, szlochając na jego piersi.

- Mówiła tak, bo jest zdesperowana. - Całuje mnie w czubek głowy. - Powiedziałem jej, że odchodzę. Nic dziwnego, że wymyśli największą bzdurę, by cię zranić.

- Odpowiedz na pytanie - mówię przez szloch. - Czy nadal się z nią kochasz?

- Ciii... Co to w ogóle za pytanie?

- Ważne, Édouardzie! Powiedziała, że były też inne. Czy to prawda?

Przytulam głowę do jego białej koszuli. Słyszę bicie jego serca.

- Berthe, nie rób tego. Odpycham go i patrzę mu w oczy.

- Odpowiedz!

Jego spojrzenie... Nie potrzebuję odpowiedzi. Wiem.

Zaciskam pięści i zaczynam okładać go kułakami. Łzy zalewają mi oczy. Wpadam na stolik z farbami. Przewraca się. Paleta ześlizguje się na podłogę. Tubki i pędzle lądują u moich stóp.

Édouard chwytą mnie i trzyma mocno. Osuwam się bezwładnie jak szmaciana lalka, płacząc histerycznie. Tuli mnie, póki się nie uspokoję. Potem prowadzi mnie do czerwonej otomany. Podaje mi chusteczkę i siada obok, obejmując mnie ramieniem. Wycieram oczy.

- Mogłeś przynajmniej ostrzec, że się do mnie wybiera. Wzrusza ramionami.

- Nie wiedziałem. Po rozmowie zamknęła się w pokoju.

- Powiedziałeś już matce? - pytam. Kręci głową.

- Suzanne nas zniszczy.

- Ma nad nami jedynie tyle władzy, ile sami jej damy. Nie obchodzi mnie, co zrobi ani komu o nas powie.

- Wybuchnie skandal. Drogo za to zapłacimy. Zostaniemy skazani na ostracyzm. Nie mogę ci tego zrobić. Nie przyczynię się do twojego upadku.

- Nie obchodzi mnie, co z nami zrobią.

- Teraz. Ale za jakiś czas mnie znienawidzisz za to, co...

- Édouardzie, powtarzasz się. Znam te argumenty na pamięć i już mnie nudzą. Zaczynamy od nowa. Tu, w Paryżu. Dzisiaj. Albo wszystko skończone. Na zawsze.

Opiera łokcie na kolanach i chowa twarz w dłoniach.

- Berthe, zlituj się - mówi zdławionym głosem. - Postaw się w mojej sytuacji. Muszę stać na straży dobrego imienia rodziny.

- Czy to jest dla ciebie ważniejsze niż ja? Niż nasza wspólna przyszłość?

- Jest równie ważne.

Z wysiłkiem chwytam hausty powietrza. Próbuję wstać, ale Édouard mnie przytrzymuje i opadam na otomanę.

- Proszę, wysłuchaj mnie. Chcę ci powiedzieć coś niezwykle ważnego. Przemyśl to.

Grdyka mu pracuje, pulsuje mięsień szczęki. Wiem, że nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę. Żołądek zaciska mi się z przerażenia.

Chcę, żeby czas zatrzymał się na tej chwili - gdy oboje siedzimy bez ruchu, w milczeniu. Czuję bowiem, że po jego następnych słowach mój świat nieodwracalnie się zmieni.

Żołądek znów mi się zaciska. Boję się, że zwymiotuję. Nie mogę się ruszyć. Brakuje mi powietrza. Modłę się, by sfrunął teraz miłośnierny Hermes w swoich złotych skrzydlatych sandałach, porwał mnie i poniósł... gdziekolwiek, byle jak najdalej stąd.

- Błagam cię, Berthe, spróbuj zrozumieć. Proszę o to wyłącznie dlatego, że cię kocham i nie chcę cię utracić. Jeśli otworzymy tę puszkę Pandory, to będzie koniec. Dla nas obojga. Twoje obrazy nigdy więcej nie będą wystawiane na Salonie...

- Nie zależy mi na Salonie.

Nie wiem, skąd dobywa się ten głos. Nawet nie przypomina mojego.

- Najdroższa... - Wyciąga rękę i wodzi palcem po moim policzku. - Żyliśmy marzeniami. Aż nazbyt szybko górę weźmie rozczarowanie, a potem znieawidzisz mnie za to, że zniszczyłem ci życie.

- Chodzi o Victorine, tak?

- *Mon Dieu, non!* - jęczy. - Nie ma innej kobiety.

- To wszystko wymówki. Przyznaj, chcesz się ode mnie uwolnić.

Znowu drzę na całym ciele. Wstaję. Łzy płyną mi po policzkach. Histeryczny krzyk wzbiera w gardle. Zakrywam usta dłonią i na oślep ruszam do drzwi.

Tym razem Édouard mnie nie zatrzymuje.

Nie widziałam go od miesięcy. Jesień przeszła w zimę. Na dworze panuje chłód. Dziś udaję się na rue de Saint-Pétersbourg wyłącznie w sprawach zawodowych. W kwestii stokroć ważniejszej niż lęk i opory przed ponownym spotkaniem.

Wysłałam bilecik, uprzedzając o odwiedzinach. Nie chciałam go zaskakiwać niezapowiedzianą wizytą. Odpisał natychmiast, serdecznie do siebie zapraszając. Pojadę sama. Miałam ochotę poprosić *maman*, by mi towarzyszyła. Zmieniłam jednak zdanie, bo wtedy madame Manet czułaby się zobligowana, by się pojawić. Zapewne stawiliby się również Eugène i Suzanne. Suzanne z pewnością by

triumfowała. W tych warunkach nie mogłabym przedstawić Édouardowi mojej propozycji. Za dużo byłoby gwaru i zamieszania, nadrabiania zaległości.

Przestaliśmy organizować wieczorki. Manetowie też. Trzeba poczekać, aż sprawa przycichnie - powtarza *maman*. Ochłodzenie stosunków ma położyć kres spekulacjom, które pojawiły się po wystawieniu „Odpozynku”. Oczywiście nikt nie porusza tego tematu. Został tylko niesmak, ale wszak jesteśmy cywilizowani, nie krzywimy się, nie okazujemy, że coś nam nie przypadło do gustu. Przeciwnie, każdy uśmiecha się serdecznie i zachowuje tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Sytuacja zupełnie jak w „Nowych szatach cesarza”. Jeśli wszyscy będziemy odwracali wzrok i udawali, że Berthe i Édouard nie są zakochani, z pewnością nic ich nie będzie łączyć. Moje położenie jest pod każdym względem beznadziejne.

Wymykam się więc z domu, mamrocząc coś o marszandzie. *Maman* tylko wznosi oczy i wraca do lektury porannego wydania „Le Figaro”. Podróż daje mi czas na pozbieranie się, uwolnienie od twardego supła, w który ścisnął się mój żołądek.

„Przyjechałam w konkretnej sprawie”. To moja mantra, powtarzam ją raz za razem, gdy powóz toczy się po bruku i zatrzymuje przed numerem czwartym przy rue de Saint-Pétersbourg.

Drzwi się otwierają. Za nimi stoi Édouard. Węzeł w brzuchu znów się zaciska. Édouard uśmiecha się, robi mi przejście.

- *Bonjour, mademoiselle.*

Serdeczny ton. Dokładnie taki sam, jakim powitałby innego malarza albo *maman*. Lodowaty podmuch gasi płomyki, które zapłonęły rano na myśl o tym spotkaniu. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że płonęły, póki nie zostały zdmuchnięte. Stoję skrepowana, nie wiedząc, jak teraz się zachować. W duchu przeklinam Degasa, który powierzył mi tę misję. Właśnie, nie sprowadzają mnie tu sprawy osobiste. Trzeba o tym pamiętać.

Wchodzę do środka. Ogrom pracowni mnie przytłacza. A przecież od mojej ostatniej wizyty nic się tu nie zmieniło. Wszędzie porządek. Niepokojący porządek. Zamknięte słoiczki z pigmentami stoją w równiutkim rzędku na stole przy oknie. Słońce zapala w nich kolory drogocennych kamieni: rubinową czerwień, szmaragdową zieleń, szafirowy niebieski. Wyglądają na nieużywane. Nie ma na nich ani pyłka kurzu, ani śladu farby. Wszystko na miejscu. Narzuta na łóżku gładka jak blat stołu.

O tym, że Édouard tu pracuje, świadczy jedynie obraz na sztalugach. Na ścianach nie zauważam jednak żadnych nowych płócien. Minęły prawie trzy miesiące. Jeśli Édouard nie pracuje, nie będzie w dobrym nastroju.

Oboje stoimy skrepowani, w bezpiecznej odległości. Nie wiemy, od czego zacząć.

Korci mnie, żeby zerknąć na obraz. To inny format niż portret Victorine na dworcu kolejowym. Czy pozowała mu jeszcze do innych płócien? I gdzie podział się tamten portret? Przeszukuję wzrokiem atelier, ale nigdzie go nie widzę. Naturalnie, z pewnością dał już go marszandom. Naturalnie.

- Chce pani zobaczyć?

Ruchem głowy pokazuje sztalugi.

- *Oui, s'il vous plaît.*

Odwraca je w moją stronę. To mój portret. A w każdym razie kogoś niezwykle do mnie podobnego. Jak ogłuszona wpatruję się w kobietę odzianą w czerń, patrzącą na mnie pełnymi bólu oczami.

- Zepsułem. - Głos mu się łamie. - I nie potrafię naprawić.

Milczę. Jak odpowiedzieć na zdanie, w którym zamknął tyle znaczeń? A może nie? Może od samego początku w słowach Édouarda niepotrzebnie doszukiwałam się ukrytych treści?

- Jeśli dobrze zrozumiałem, mademoiselle, sprowadzają tu panią sprawy zawodowe. Czy jednak zgodzi się pani poświęcić mi godzinę, żebym popracował nad twarzą? Żebym... wszystko naprawił?

Nienawidzę siebie za swoją słabość. Nie, nie dam się znowu w to wciągnąć. Przyjechałam w konkretnej sprawie.

- Naturalnie, Édouardzie. Pod warunkiem że darujemy sobie te formalności. Byłoby mi niezwykle przykro, gdybyśmy po tym wszystkim, co nas łączyło, nie pozostali przyjaciółmi.

Oddycha z ulgą. Najwyraźniej kamień spadł mu z serca.

- Oczywiście, Berthe. Będę malował, a ty wyjaśnisz, co cię tu sprowadza.

- Nie. Wolę poczekać, aż będziesz mógł poświęcić mi całą uwagę.

- Zaintrygowałaś mnie. Będę pracował w pośpiechu.

- Nie trzeba. Nie spiesz się, to może poczekać. Unosi brwi z uśmiechem.

- Teraz naprawdę mnie zaciekawiłaś.

Przyciąga wysoki stołek, usadza mnie na nim. Czuję się znacznie lepiej, bo wreszcie zachowuje się naturalnie. Napięcie odczuwalnie spadło. Wreszcie oddycham normalnie.

Maluje więc. Gawędzimy o wszystkim i o niczym. Nasza rozmowa przerywana wybuchami śmiechu aż nazbyt boleśnie uświadamia mi, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Jak dobrze, że wreszcie przełamaliśmy tamten impas. Uświadamiam sobie, że nawet jeśli nie możemy być razem w najgłębszym tego słowa znaczeniu, musi być obecny w moim życiu. Potrzebuję go.

A on mnie. Choćby sobie tego nie uświadamiał.

Odrywa wzrok od płótna. Patrzy w przestrzeń. W pomieszczeniu zapada cisza. Czuję, że chce coś powiedzieć.

- Co, Édouardzie?

Otwiera usta, ale się rozmyśla. Potrząsa głową.

- O co chodzi?

- Znalazłem rozwiązanie, dzięki któremu zawsze moglibyśmy być razem. - Przymyka oczy. Oddycha ciężko. - To kompromis, ale chyba takie wyjście byłoby najlepsze dla wszystkich zainteresowanych.

Serce szarpie mi się w piersi niczym uwięziony gołąb.

- Kompromis, Édouardzie?

- Gdybyś wyszła za Eugène'a...

Aż się zachłystuję.

- Żartujesz sobie?

Podnosi rękę.

- Proszę, daj mi skończyć.

- Nie strój sobie żartów, to zbyt poważna sprawa.

- Wiem, żądam od ciebie niewyobrażalnego poświęcenia, ale to jedyne wyjście. Po ślubie z moim bratem weszłabyś do rodziny. Na zawsze połączyłyby nas nierozzerwalne więzy rodzinne.

Siedzę jak otumaniona. Nie mieści mi się w głowie, że mógł czegoś takiego zażądać. Odda mnie bratu, tak samo jak sam wziął Suzanne - kochankę swojego ojca.

Nagle staje mi przed oczami Cherbourg. Dzień, gdy Édouard dowiedział się o moich rzekomych zaręczynach z Puvisem. Nie mógł znieść myśli, że miałby pojąć mnie inny mężczyzna. Tymczasem teraz sam wysłał mnie do łóżka brata. Wszystko się we mnie wywraca.

- Proszę, ukochana. Błagam, przemyśl to chociaż. Nie mamy innego wyjścia. Przemyśl to. Te same ograniczenia, które nas rozdzielały, teraz mogą nas uratować. Jeśli wyjdiesz za Eugène'a, będziesz mogła się podpisywać jako madame E. Manet. Będziemy co dzień się widywać.

- A noce będę spędzała w łóżku twego brata. Potrafisz z tym żyć, Édouardzie? Potrafisz zachować spokój ducha, wiedząc, że przekazałeś Eugène'owi prawa do mego ciała?

Nie odpowiada, tylko skupia się na malowaniu. Sprawę uważa za zamkniętą. Próbuję ogarnąć sytuację rozumem.

O co właściwie chodzi? Dlaczego mnie swata z Eugène'em? Czy naprawdę chce wydać mnie za swojego brata - brata! - tylko po to, by w ten sposób zatrzymać mnie przy sobie? Wzdragam się na samą myśl o tym. Czemu zwyczajnie nie pozwoli mi odejść? Zniknąć na horyzoncie niczym gasnące promienie zachodzącego słońca. Z pewnością ma na koncie niezliczone takie zachody słońca. Na samo przypomnienie ogarnia mnie furia.

- Jak się miewa twoja przyjaciółka Victorine? - pytam.

Patrzy na mnie nieprzytomnie.

- Victorine? Nie mam pojęcia. Od dawna jej nie widziałem.

Co znaczy „od dawna”? Zresztą mnie bardziej interesuje, jak długo była w jego życiu, nim zniknęła. Chcę wiedzieć, czy zaoferował swej Olimpii nagrodę pocieszenia - małżeństwo z bratem. Milczę jednak. Jeśli poruszę ten temat, może - mylnie - uznać, że mi na nim zależy.

A przecież dziś sprowadzają mnie wyłącznie sprawy zawodowe. Będę udawała, że nic się nie stało, ponieważ muszę z nim poruszyć stokroć ważniejsze tematy.

- Dobrze - oświadcza wreszcie, patrząc na płótno. - Chyba coś zdołałem uratować. - Uśmiecha się wymuszenie. - Spójrz i powiedz, co o tym sądzisz.

Wstaję, obchodzę sztalugi. Ten sam czarny kapelusz i suknia. Teraz jednak smutne, zielone oczy zastąpił zmysłowymi, brązowymi tęczęwkami.

- Och, Édouardzie. Jest śliczny.

- Ty jesteś śliczna.

Komplement sprawia mi przyjemność, ale natychmiast przywołuję się do porządku.

- Moje oczy... Mam zielone, a ty zmieniłeś je na brązowe.

Dostrzegam też, że dodał sympatyczny drobiazg. Domalował przy dekolcie bukietek fiołków.

Wyglądam na silniejszą. Pewniejszą siebie. Zielonooką, przygnębianą dziewczynę z wcześniejszej wersji Édouard zastąpił zmysłową - ktoś mógłby powiedzieć, że wręcz wyzywającą - brązowooką kobietą. Z bukietkiem fiołków.

Czymże jest sztuka, jeśli nie objawieniem tego, co żyje w nas?

- Podoba ci się? - pyta.

- *Oui*, ogromnie.

Stoimy obok siebie, w milczeniu oglądając portret. Jesteśmy tak blisko, że wystarczy jeden drobny ruch, byśmy zetknęli się ramionami. To ta chwila. Powinniśmy teraz zapomnieć o całym świecie. Zrobić to, co nakazuje łomot serca. Rzucić się sobie w ramiona, paść na łóżko i na łeb, na szyję skoczyć w ten zaklęty krąg miłości i obsesji, który zakończy się tak samo jak zawsze.

Nie mogę. Nie jestem już tamtą zielonooką, słabą dziewczyną. Cofam się o krok, by z bezpiecznej odległości przyglądać się obrazowi.

Édouard też się odsuwa.

- Mam dla ciebie prezent.

- Prezent?

Otwiera szufladę i wyjmuje nieduży obraz. Daje mi go ze smutnym uśmiechem.

Potrzebuję chwili, by zrozumieć, ale wreszcie słodko-gorzkie elementy układanki składają się w całość. Zakrywam usta ręką. Muszę usiąść, ale jakimś cudem nogi jednak mnie utrzymują.

Obrazek to martwa natura. Umieścił na niej trzy przedmioty. Każdy jakoś związany z obrazami, na których mnie umieścił: bukietek fiołków, czerwony wachlarz i bilecik od E. Maneta adresowany do mademoiselle Berthe.

Mam wrażenie, że serce zaraz pęknie mi na drobne kawałeczki. Wtem wracają jego słowa: „Jeśli wyjdiesz za Eugène'a, będziesz mogła się podpisywać jako madame E. Manet”...

Czuję się, jakbym dostała obuchem w głowę.

Nazwisko nie uczyni mnie jego żoną. Tak samo jak małżeństwo nie sprawi, że pokocham Eugène'a. Czy Édouard sobie wyobraża, że w tę zagmatwaną sieć da się schwytać szczęście? Nie, to ponad ludzkie siły.

- Jest śliczny, Édouardzie. *Merci*.

Wyraz jego twarzy zdaje się pytać: „Przemyślałaś moją propozycję? Wyjdź za Eugène'a". Nie mogę, nie będę z nim o tym rozmawiała. Zmieniam temat, nim zdąży wrócić do tej kwestii.

Kładę obraz na płaszczu i wreszcie przechodzę do rzeczy.

- Édouardzie, sprowadza mnie dziś tutaj ważna sprawa. Pamiętasz grupkę artystów, których Degas kiedyś do siebie zaprosił?

Potakuje, ruchem głowy wskazuje kanapę i siada. Zajmuję krzesło naprzeciwko niego.

- Co te lotry zmagstrowały tym razem? - pyta. - Założę się, że nic dobrego.

- Nie powiedziałabym. Co więcej, ostatnio bardzo się przykładają... przykładamy do pracy. Zwarliśmy szeregi i występujemy przeciwko Salonowi.

Édouard ściąga brwi i skubie brodę, ale nie odpowiada.

- Skończyliśmy z Akademią. Na przyszły rok planujemy wystawę w tym samym terminie co Salon. Przychodzę dziś z zaproszeniem. Ogromnie byśmy się cieszyli, gdybyś do nas dołączył.

Wpatruje się we mnie oszołomiony, jakby nie rozumiał, o czym mówię. Nachylam się do niego.

- Édouardzie, nie masz dość więzów, jakimi krępuje nas Akademia? Nie masz dość, że traktują cię jak marionetkę? Pociągają za sznurki, a potem zostawiają, byś wisiał nieruchomo. Ja postanowiłam sobie, że Salon już nigdy mnie nie odrzuci.

- Przecież cię nie odrzucili. Wystawiłaś uroczy obrazek.

- Uroczy obrazek, którego nikt nie zauważył. Obecność na Salonie nic mi nie dała.

- Przesadzasz.

- Bynajmniej, Édouardzie. Raczej tobie można zarzucić przesadę. Malujesz wyłącznie po to, by szokować. Ja byłam jedynie następczynią Victorine. Służyłam wyłącznie zaspokajaniu twoich potrzeb.

Odrzuca głowę, ale nie wybucha śmiechem. Potem plaska rękami o kolana.

- Więc o to chodzi? O Victorine?

- Co?

Ogarnia mnie dziwne wrażenie, jakbyśmy siedzieli w dwóch pociągach jadących po różnych torach.

- Tym razem, dla odmiany, chodzi o moją karierę. Nie o mój związek z tobą. Édouardzie, nie mogę na ciebie czekać. Postanowiłam wyrwać się z tej matni, stać się panią swego życia. To życie zaś obraca się wokół sztuki i kariery. Wspólnie wystawimy obrazy. Pissarro, Renoir, Monet i Degas. Na razie przyjęliśmy nazwę Niezależni. Proszę, zechcesz do nas dołączyć?

- Zamierzacie publicznie wystąpić przeciwko Salonowi? Energicznie potakuję.

- Oszaleliście? Popelniacie tragiczny błąd. Chcecie, by wam przypięli łatkę wywrotowców?

Żar zalewa mi policzki.

- Nie spodziewałam się tego po tobie. Żebyś ty bał się odróżnić?! Z kim właściwie rozmawiam? Przyszłam do Édouarda Maneta, buntownika i rewolucjonisty. Czyżbym trafiła na jego stetryczalego dziadka?

Kontratakuje.

- A dlaczego ty do nich przystąpiłaś? Zostań ze mną na Salonie.

- *Merci, non.* Zawiodłam się na Akademii. Przywilej podporządkowywania się nudnym konwansom chętnie sceduję na Evę Gonzalès czy inną ślicznotkę, którą wybierzesz sobie na uczennicę.

- Przyznaj, to Degas cię podpuścił?

- Owszem, Degas stworzył tę grupę i odgrywa w niej ważną rolę, ale nikt nie musiał mnie podpuszczać. Sama chciałam zaprosić do nas wybitnego artystę. Dlaczego tak się wściekasz, Édouardzie?

- Co za porażający brak lojalności! Po tym, co nas łączyło, rzucasz mnie dla tej podstępnej gądziny, Degasa?

Zrywam się z krzesła i mierzę go lodowatym wzrokiem. Nie byłam przygotowana na taki cios. Ziemia usuwa mi się spod nóg, ale udaje mi się nie upaść.

- Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie chodzi o miłość ani o pożądanie, lecz wyłącznie o sztukę? Skoro jednak uparcie wracasz do tego tematu, wierz mi, niczego bardziej nie pragnę, jak być z tobą. Ty jednak przesądziłaś o naszym losie, zostając z Suzanne.

- Od początku wiedziałas, że nie jestem wolny. Nie, nie zostawię Suzanne ani Léona. Potrzebują mnie. Beze mnie zginą.

- Za to ja jestem wolna! Mogę robić, co zechcę! Mogę ułożyć sobie życie! Tak samo jak ty je ułożyłaś, by było ci najwygodniej! Wybieram życie z Degasem i Niezależnymi.

Ostatni raz wodzę wzrokiem po nieskazitelnie czystej pracowni, odkładam martwą naturę - nie przyjmę jej - i sięgam po płaszcz. Przeżyłam objawienie. Édouard za bardzo przywykł, że stawia na swoim i zawsze dyktuje warunki. Nie ma dla nas nadziei.

Zawsze szczyliłam się swoją otwartością i nowoczesnością. Od kiedy jednak poznałam Édouarda, wystawiałam je na ciężką próbę. Przesuwałam granice, do których nigdy nie miałam dojść. Równocześnie zaś - w miarę jak rozpychałam swój świat, przekraczałam granice, łamałam kolejne bariery - kształtowała się Berthe, którą dziś jestem. Osoba znacznie bardziej wyzwolona, o znacznie szerszych horyzontach niż wielki Édouard Manet.

Kiedy wychodzę z jego atelier, dwie moje połówki - cnotka i Olimpia - wreszcie łączą się w całość. Po raz pierwszy obie zgodnie przyznają, że nie mogę się wycofać z udziału w wystawie. To tak jakbym chciała przestać oddychać.



# Rozdział 25

*Kocham cię. Tak jest od dnia,  
gdy po raz pierwszy złożyłem ci wizytę.*

Alfred de Musset

Otrzymałem wyjątkowo paskudny list od pani przyjaciela Maneta - zwraca się do mnie Degas w czasie następnego spotkania Niezależnych. - Twierdzi, że jeśli sam chcę zaprzepaścić karierę, to moja sprawa. Nie mam jednak prawa zarażać innych swoim dążeniem do samozagłady. Uważa, że niszczę was i waszą karierę. Czy ja panią niszczę, mademoiselle?

- Proszę mi wierzyć, monsieur, gdyby tak rzeczywiście było i gdybym tego nie akceptowała, dałabym panu odpór i nie pozwoliła się tak traktować.

Brwi Degasa znów układają się w dwie parasoleczki, ale udaje mu się zachować wyraz twarzy oscylujący między rozdrażnieniem a znudzeniem.

- Tak właśnie przypuszczałem. Manet jeszcze kiedyś pożałuje swej decyzji. Trzeba stworzyć alternatywę dla Salonu, ale on ciągle tego nie rozumie.

Pozostali - Renoir, Pissarro i Monet - z namaszczeniem przytakują.

- Utwierdzam się w przekonaniu, że kieruje nim próżność, a nie rozsądek. Ale do rzeczy. Co mamy? Jakież nowe sprawy?

Zgłasza się Monet.

- Rozmawiam z Nadarem, by udostępnił nam swoją dawną pracownię przy Boulevard des Capucines. Mieści się na drugim poziomie. Duża. Przestronna. Lepszego miejsca chyba nie znajdziemy. Wiem, że jeszcze jest sporo czasu, ale postarajcie się przy okazji wpaść tam i obejrzeć.

- Dobry pomysł - mówię. - Kiedy już będziemy mieli salę, zadecydujemy, ilu osobom zaproponować udział w wystawie.

- Właśnie, warto by się też zastanowić nad kolejną kwestią - wtrąca się Pissarro. - Co właściwie mówi określenie Niezależni? Nic. Proponuję, byśmy wybrali coś mniej radykalnego, a bardziej rzeczowego. Coś, co będzie łączyło różne grupy.

- Czy intuicja mnie myli, czy też wymyśliłeś konkretną nazwę? - odzywa się Degas.

- Skoro już pytasz... Co powiecie na Spółkę Akcyjną Artystów, Malarzy, Rzeźbiarzy, Rytowników itd.?

- Okropnie długa - narzeka Monet.

- Ale precyzyjnie określa, kim jesteśmy - mówi Renoir.

Przytakuję.

- Zastanówcie się - proponuje Pissarro. - Mamy czas.

\*

*Chère Mademoiselle!*

Mam nadzieję, że ten list zastanie Panią w dobrym zdrowiu i że nie opuszcza Pani wena twórcza.

Jako Pani przyjaciółki czuję się w obowiązku wyrazić niepokój. Doszły mnie bowiem słuchy, że zamierza się Pani związać z grupą, która przybrała imię Spółki Akcyjnej Artystów.

Posiada Pani niezwykły talent. Błagam, niech Pani jeszcze raz poważnie się zastanowi, jakie konsekwencje dla Pani reputacji i kariery mogą mieć związki z tymi radykałami. Wiem, że czasem drażni Panią skostniały układ akademików. Kogo nie drażni? Niechże Pani wierzy, jeśli wybierze Pani bardziej wyboistą ścieżkę, będzie jeszcze ciężiej.

Pani oddany sługa

Pierre Puvis de Chavannes

**Luty 1874**

Mój ukochany papa nie żyje.

Nie wiem, jak się pozbieramy. Co po jego odejściu stanie się z naszą rodziną?

Pod względem finansowym papa dobrze nas zabezpieczył. Mam na myśli ubóstwo uczuciowe. Ta strata zachwiała fundamentami naszego życia.

Tiburce wyruszył w świat walczyć z wiatrakami. Edma i Yves mają własne rodziny. *Maman* i ja - tylko siebie. Czasem myślę, że papa był jedynym spoiwem, jakie nas łączyło. Teraz boję się, że wszystko się rozpadnie i każda pójdzie własną drogą.

*Maman* sprzedaje nasz ukochany dom przy rue Franklin. Wiążą się z nim wszystkie moje wspomnienia. Moja pracownia. Moje kwiaty i drzewa. Nie wyobrażam sobie, że zamieszka tam ktoś inny, ale ona już znalazła nowe lokum przy rue Guichard. Nie ma odwrotu.

Biedny papa strasznie się męczył. Trzy dni przed Bożym Narodzeniem jego zdrowie tak się pogorszyło, że zdecydował się przejść na emeryturę. Prawie dokładnie miesiąc później zmarł.

Teraz *maman* liczy, że będzie mogła się na mnie oprzeć. Do tej pory przysparzałam jej przede wszystkim trosk i bólu. Teraz muszę być silna - a przynajmniej taką udawać, ukrywając własne cierpienie.

- Berthe, kochanie - odzywa się, gdy siedzimy razem przy śniadaniu - przekonałam się na własnej skórze, że mówienie ci, co masz robić, to rzucanie grochem o ścianę. Jesteś zbyt uparta. I tak nie

śłuchasz. Szanuję cię za to, że wszystko starasz się robić po swojemu, ale, *mon bijou*, obawiam się, że ja nie potrafię znieść tego cierpienia samotnie.

Biorę ją za rękę.

- Nie martw się, *maman*. Masz mnie.

Ścisła moje palce, wypuszcza je i wyciera łzę, która błysnęła w kącie oka.

- Muszę cię o coś poprosić. Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe, a jednak będę nalegała, byś się zgodziła.

- Na co tylko zechcesz, *maman*.

- Dziś przychodzą z wizytą Manetowie. Wiadomość spada na mnie jak grom z jasnego nieba.

Nie rozmawialiśmy z Édouardem od miesiący. Ochłodzenie naszych stosunków przeniosło się na resztę rodziny. Suzanne z pewnością za mną nie tęskni. Postawiła na swoim. Przypuszczam, że odpowiada jej obecny stan rzeczy. Jednak Eugène i madame Manet w żaden sposób nie zasłużyli na mój chłód i milczenie.

- Zaklinam, pogódź się z nimi. Pojednajcie się, nim na zawsze utracimy ich przyjaźń.

Myślę o wzlotach i upadkach, jakich przez ostatnie sześć lat doświadczaliśmy z Édouardem. Zastanawiam się, jaką drogę możemy teraz obrać. Dokąd można iść, gdy już wystawiło się związek na wszelkie możliwe próby, a z każdej wyszło się z głębokimi ranami. Czy kolejne próby tylko przez nie przeciekają, bo rany nigdy się nie zablżnią? A może to nasza szansa, by je zaleczyć.

Cichy głosik w głębi duszy ostrzega, bym nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei.

- Oczywiście, *maman*. Chętnie pomogę ci ich przyjąć. Zjawiają się niecałą godzinę później.

Édouard, Suzanne,

Eugène i madame Manet.

Édouard podaje mi paczuszkę.

- Proszę, niech pani otworzy ją później.

Nie uśmiecha się. Nie wodzi wzrokiem po mojej twarzy, jak to robił dawniej. Po prostu daje mi opakowanie, bierze żonę pod rękę i prowadzi ją na kanapę. Suzanne wyraźnie utyka. Zastanawiam się, co może jej dolegać.

Maman zerka ciekawie, ale nie pyta, co to za zawiniątko. Przepraszam gości i wychodzę do pokoju. Kładę je w nogach łóżka i ruszam do drzwi, ale ciekawość bierze górę. Zrywam brązowy papier pakowy. To ta sama martwa natura, którą Édouard podarował mi, kiedy się rozstaliśmy. Wachlarz, bukiet fiołków i bilecik. Palcem wypisuję w powietrzu słowa: „Dla mademoiselle Berthe od E. Maneta”.

Serce wypełnia niewypowiedziana tęsknota i ból, których - teraz wiem to na pewno - nic nie ukoi. Uczucia kłębią się we mnie niczym sztorm szalejący na morzu. *Dieu merci*, nie przedzierają się przez mur, który wzniosłam.

Wracam do gości. Siedzą w bawialni - tak jak siadywali wcześniej tyle razy podczas wspólnych wieczorków. Ogarnia mnie głębokie poczucie straty. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że długo po tym, jak *maman* i ja opuścimy to mieszkanie, w jego murach wciąż będą żyły nasze łzy i śmiech. Jak to możliwe, że wspomnienia dobrych chwil tak szybko się zacierają?

- Berthe, skarbie, panowie chcieliby odwiedzić twoją pracownię. Zechcesz ich zaprowadzić?

- Pani też chce nam towarzyszyć? - zwracam się do Suzanne wyłącznie z grzeczności.

- *Merci, non*. Skręciłam nogę w kostce i lekarz zalecił, bym jak najmniej chodziła. Ale dziękuję za zaproszenie.

Trudno mi nazwać to, co między nami przepływa. Suzanne nie pyszni się zwycięstwem, ale nie okazuje mi też szczególnej serdeczności. To coś pośredniego. Powiedziałabym wręcz, że coś w rodzaju zrozumienia.

Biorę pelerynę i prowadzę obu Manetów przez zaśnieżony ogród do mojego smutnego, opuszczonego atelier.

Nagie drzewa odcinają się od szarego nieba. Zimowe światło zawsze mnie fascynowało. Niebo przypomina wtedy kapę z chmur, wiszącą tak nisko, że niemal na wyciągnięcie ręki. Od lat próbuję to namalować i jeszcze mi się nie udało.

Buty Édouarda i Eugène'a chrzestczą za mną na zmrożonej ziemi. Szczelniej otulam się peleryną. Budzi się we mnie nostalgia za dzieciństwem. Z tym ogrodem łączy się tyle wspomnień z czasów, gdy rodzina była szczęśliwa, w komplecie. Śmiech dzieci dobiegający zza muru. Zapach ciepłego pieczywa dopływający od sąsiadów. Szare obłoczki dymu unoszące się znad okolicznych kominów. Bez-troskie rodziny, niezdające sobie sprawy, że czas jest jak bandyta, który przychodzi nocą, kradnąc piękno i sens istnienia.

Zaczyna padać śnieg. Otwieram drzwi pracowni i wpuszczam Manetów.

- Proszę wybaczyć bałagan. - Rozcieram zgrabiące ręce. - Już się pakuję. Stąd ten nieporządek.

- Ależ proszę się nie przejmować, mademoiselle - odpowiada Eugène.

Jestem zaskoczona, że to on się odzywa. Pierwszy raz widzę, jak nieco nadąsany Édouard usuwa się w cień, pozwalając młodszemu bratu przejąć inicjatywę.

- Gdyby potrzebowała pani pomocy w pakowaniu - ciągnie Eugène - chętnie służę.

- *Merci, monsieur*. Może skorzystam z pańskiej oferty, gdy już będzie bliżej przeprowadzki.

- A kiedy to nastąpi? - pyta Édouard. Stoi plecami do nas, wygląda przez okno.

- Najwcześniej za dwa tygodnie.

- Gdzie pani urządzi sobie pracownię? - pyta, nie odrywając wzroku od pokrytego szronem trawnika.

- W dodatkowej sypialni. Nie jest tak przestronna jak to pomieszczenie - wzdycham - ale musi mi wystarczyć.

Édouard odwraca się, jakby powiedziała coś, co przykuło jego uwagę.

- Jak się posuwają prace nad dziełami, które przygotowuje pani dla Spółki Akcyjnej Artystów?  
Chętnie bym je obejrzał.

Rozkłada dłonie w aroganckim geście. Żyły przeszywa mi błyskawica gniewu. Wynosi się. Jest obrażony, bo ośmieliłam się stawić mu czoło.

- Monsieur, niedawno straciłam ojca. Nie miałam kiedy pracować, swój czas i uwagę poświęcam wyłącznie matce.

Édouard wygląda, jakby połknął żabę. Pochyla głowę.

- Oczywiście, cóż za brak taktu z mojej strony. Upraszam o wybaczenie, mademoiselle.

- Ale wystawi pani swoje płótna? - pyta Eugène.

- W tym momencie nie należy się spodziewać, bym zdołała przygotować wystarczająco dużo obrazów.

- Wielka szkoda - mówi Eugène. - Słyszałem, że to niezwykle interesująca i dynamiczna grupa.

Édouard ciska wzrokiem błyskawice, lecz Eugène na to całkiem nie zważa. Jestem zaintrygowana. Eugène na pewno zna stosunek brata do naszej organizacji. A mimo to otwarcie głosi jej pochwałę.

- Niewykluczone, że sam do niej przystąpię.

Édouard prychnął pogardliwie.

- I cóż takiego tam przedstawiś?

Eugène odwraca się do brata i patrzy mu prosto w oczy.

- Niczego bym tam nie wystawiał. Obaj doskonale wiemy, że nie ja jestem w naszej rodzinie artystą. Mogę im za to zaoferować pomoc od strony organizacyjnej. Rozpropagowanie wystawy, bilety, kwestie finansowe. Cóż, może następnym razem się uda - zwraca się znowu do mnie.

- Może. Hm... Może.

Ponieważ zdecydowałam, że nie wystawię swoich prac ze Spółką Akcyjną, zgłosiłam jury Salonu moje dwa najlepsze dzieła.

Oba odrzucono.

To przelało czarę goryczy.

Nie mam wyjścia, muszę wrócić do pierwotnego planu. Maman nie będzie zachwycona, ale stopniowo oswoję ją z tym pomysłem. Mimo ciosu, jakim była śmierć papy, stosunkowo szybko wraca do siebie. Kto wie? Może nawet mnie zaskoczy, bo - podobnie jak ja - była oburzona werdyktem jury.

Przedemną najtrudniejsze zadanie: namówić Édouarda, by wypożyczył na czas wystawy portret Edmy z Lorient. Najwyższy czas ostatecznie zamknąć ten rozdział.

# Rozdział 26

- Nie śmieję, niewolnico-królowo -  
Z lękiem swe dająca kochanie,  
Mgiel w noc się bojąca niezdrową -  
Z hardo podniesioną rzec głową:  
„Jam jest twoja równa, mój Panie!”\*

Charles Baudelaire

\* Przeł. Bohdan Wydzga.

## „Le Charivari” - 25 kwietnia 1874 - Louis Leroy Wystawa impresjonistów

Och, zaiste męcząca była to wyprawa, gdy udałem się na pierwszą wystawę zorganizowaną przy Boulevard des Capucines. Towarzyszył mi nie kto inny, jak sam monsieur Joseph Vincent, pejzażysta, ulubieniec akademickiego mistrza Bertina, wyróżniony licznymi medalami i odznaczeniami bodaj każdej władzy! Biedaczysko, nie spodziewał się tego, co tam zobaczył. Sądził, że ujrzy wystawę, jakich wiele - obrazy dobre i złe, częściej zię niż dobre, ale nieurągające gustom, wierne formie i pełne szacunku dla starych mistrzów. O, formo! O, mistrzowie! Precz z nimi! To już nam się przejadło! Zmieniliśmy wszelkie reguły!

Już w pierwszej sali Joseph Vincent przeżył szok na widok „Tancerki” monsieur Renoira.

- Jaka szkoda - orzekł - że malarz, który ma jako takie wyczucie koloru, nie potrafi lepiej malować. Nogi jego tancerki są równie przezroczyste jak tiul jej spódniczki.

- Jest pan zbyt surowy - odparłem. - Przeciwnie, rysunek jest mocną stroną tego obrazu.

Wychowanek Bertina uznał moją uwagę za ironiczną, więc tylko wzruszył ramionami i nie komentował dalej. Wtedy spokojnie, powolutku, z najniewinniejszą miną pod słońcem poprowadziłem go przed płótno monsieur Pissarro, przedstawiające zaorane pole. W pierwszej chwili poczciwina sądził, że ma zabrudzone okulary. Zdjął je, przeczyścił i znów przyjrzał się temu precudnemu pejzażowi.

- Na Michała Anioła! - zakrzyknął. - A cóż to takiego?

- Otóż... przymrozek na głęboko zaoranych skibach.

- To mają być skiby? To ma być przymrozek? Ależ to tylko wyskrobki z palety nałożone na brudny grunt. Gdzie tu perspektywa, gdzie początek i koniec, góra i dół?

- Przyznaję, nie ma... ale za to jest uchwycona chwila, impresja.

- Phi, też mi impresja! Ooo... A to co?

- „Sad” monsieur Sisleya. Chciałbym zwrócić pańską uwagę na to drzewko po prawej stronie. Niby radosne, a daje impresję...

- Niechże już pan przestanie z tymi impresjami!... Takie ni przypiął, ni wypiął. A oto i „Widok Melun” monsieur Rouarta. Tym razem coś jest nie tak z wodą. A cienie w tle są co najmniej dziwaczne.

- Zapewne ma pan na myśli tę niesamowitą wibrację tonów...

- Raczej niedbalstwo autora. O, Corot, Corot! Tyś ojcem tego grzechu ciężkiego! Tyś pierwszy wprowadził modę na niechlujną kompozycję, rozmyte ślady, placki błota, na których widok lka dusza prawdziwego miłośnika sztuki. Trzydzieści lat walczyliśmy z tobą, a w końcu musieliśmy ulec, złamani twoim uporem. Któryż to raz woda wydrążyła skalę!

Nieszczęśnik szedł dalej, mamrocząc tylko pod nosem. Nic nie zwiastowało nieuchronnej katastrofy. Joseph Vincent nawet bez większych szkód na ciele i duszy zniósł „Statki rybackie opuszczające port” monsieur Claude'a Moneta. Może dlatego, że zdołałem oderwać go od płótna, zanim dostrzegł obrzydliwe sylwetki w tle.

Niestety, byłem na tyle nieostrożny, że za długo zostawiłem go przed „Boulevard des Capucines” tego samego autora.

- Ha! - prychnął istic mefistofelesowskim śmiechem. - Czyż to nie prawdziwe arcydzieło? Jeśli to nie jest impresja, to niech zjem własny kapelusz! Tylko czy byłby pan łaskaw oświecić mnie, co znaczą te czarne maźnięcia w dolnej części płótna?

- Ależ to oczywiste. Sylwetki przechodniów - odrzekłem.

- Niby tak wyglądam, przechadzając się Boulevard de Capucines? Na Jowisza! Naigrawa się pan ze mnie!

- Ależ zapewniam, monsieur Vincent...

- Wszak takimi maźnięciami do tej pory imitowano kamień: pacnie się farbą tu, potem tam i marmur gotowy! To niesłychane! Skandal! Moje biedne serce tego nie wytrzyma!

Próbowałem go uspokoić, prowadząc przed „Kanał Saint-Denis” monsieur Lepine'a, a potem „Wzgórze Montmartre” monsieur Ottino, które rzeczywiście nieco ukoili jego skolatane nerwy. Niestety los chciał, by monsieur Vincent przystanął przed „Polem kapusty” monsieur Pissarra. Wtedy jego twarz z czerwonej stała się szkarłatna.

- To pole kapusty - wytłumaczyłem łagodnym tonem.

- Och, cóż za pokraczne twory! Istna karykatura! Przysięgam, do końca życia nie tknę kapusty!

- To nie ich wina, że malarz...

- Milczeć, bo nie ręczę za siebie!

Wtem z jego ust wyrwał się przeraźliwy krzyk. Monsieur Joseph Vincent zobaczył „Dom wisielca” monsieur Paula Cézanne'a. Oszalamiający impost tego arcydzieła, istnej perełki, dopełnił dzieła zniszczenia, które rozpoczął „Boulevard des Capucines”. Vincent popadł w ciche szaleństwo. Począt-

kowo objawy były łagodne. Mistrz przyjął punkt widzenia impresjonistów. Wyglądało to mniej więcej tak:

- Boudin ma niejaki zdolności - oznajmiał przed widokiem plaży autorstwa tego malarza - ale dlaczego aż tyle uwagi poświęca grzywom?

- O, uważa pan jego dzieło za nazbyt dopracowane?

- Bez wątpienia. Proszę, powinien brać przykład z mademoiselle Morisot. Ta młoda panna nie przejmuję się byle drobiazgami. Jeśli ma namalować dłoń, po prostu pięć razy pociąga pędzlem i palce już gotowe. Głupcy, którzy cackają się z oddawaniem każdego szczegółu i starannym odtworzeniem dłoni, nie mają pojęcia o impresjonizmie. Wielki Manet wypędziłby ich ze swej republiki.

- W takim razie monsieur Renoir kroczy właściwą ścieżką. W jego „Żniwiarzach” nie ma śladu zbytecznego rozmachu. Można by wręcz powiedzieć, że sylwetki...

- Tak, są zbyt pieczołowicie dopracowane.

- Ależ panie Vincent! Niech pan spojrzy na te trzy paski koloru, które rzekomo mają przedstawiać człowieka wśród łąki pszenicy.

- O dwa za dużo. Jeden by wystarczył.

Zerknąłem na ucznia Bertina. Jego policzki przybrały już lekko fioletowy odcień. Katastrofa wydawała się nieunikniona. I rzeczywiście, zaszczyt zadania ostatecznego ciosu przypadł monsieur Monetowi.

- A, wreszcie! Wreszcie! - zawołał monsieur Vincent przed płótnem z numerem dziewięćdziesiątym ósmym.

- Poznaję go! Ulubieniec papcia Vincenta! Jakż jest tytuł tego dzieła? Będzie pan łaskaw zajrzeć do katalogu?

- „Impresja - wschód słońca”.

- „Impresja”... Wiedziałem. Właśnie mówiłem sobie, że to musi być impresja, skoro wywarła na mnie tak piorunujące wrażenie. Ta swoboda! Ta śmiałość w fakturze! W porównaniu z tym morskim pejzażem nawet papier na tapety wydaje się doskonale skończony.

Daremnie starałem się ratować resztki jego poczytalności... Jego fascynowało jedynie to, co ohydne. Niedoprana „Praczką” monsieur Degasa wzbudziła okrzyki zachwytu. Sisleya nazywał cudnym i wrażliwym. Ponieważ - jak wiadomo - nie należy drażnić szaleńców, usilnie starałem się wynaleźć dla niego coś łagodniejszego i normalnego. Okazało się dość łatwe: chleb, winogrona i krzesło ze „Śniadania” Moneta to całkiem porządny obraz. Vincent jednak odrzucił go z pogardą.

- Nie! Nie! - wołał. - Monet składa tutaj broń. Oddaje hołd fałszywym bóstwom Meissoniera! Zbyt dopracowane! Zbyt dopracowane! Opisz mi „Nowoczesną Olimpię”! To dopiero mistrzowska robota.



- Niestety, może ją pan ujrzeć na własne oczy. Kobieta zgięta wpół. Służąca Murzynka zdziera z niej ostatnią zasłonę, by ukazać pełnię jej wątpliwych wdzięków oczarowanej brązowej kukle. Pamięta pan „Olimpię” monsieur Maneta? W porównaniu z dziełem monsieur Cézanne'a to było prawdziwe arcydzieło. Ten rysunek, ta precyzja, to wykończenie - istna perełka.

Wreszcie czara goryczy się przelała. Atakowany ze wszystkich stron mózg nieszczęsnego ojczulka Vincenta nie wytrzymał. Biedaczysko zatrzymał się przed strażnikiem miejskim przydzielonym do pilnowania tych niewysłowionych skarbowi wzięwszy go za portret, przystąpił do dogłębnej analizy dzieła.

- Czy jest wystarczająco paskudny? - Wzruszył ramionami. - Z przodu ma dwoje oczu... i nos... i usta! Impresjoniści nie przywiązywaliby takiej uwagi do szczegółu. Energię, jaką autor włożył w odtworzenie zbędnych detali, Monet wykorzystalby do namalowania dwudziestu strażników!

- Przechodzić, nie sterczeć tak! - przemówił portret.

- Słyszał pan? Nawet gada! Ileż czasu musiał zmitrężyć nieszczęsny dureń, który go namalował!

Aby dodać powagi swej teorii estetyki, ojczulek Vincent zaczął wykonywać przed oszołomionym strażnikiem taniec łowców głów i wykrzykiwał piskliwie:

- Hi-ho! Jam chodząca impresja! Jam szpachelka-mścicielka! „Boulevard des Capucines” Moneta, „Dom wisielca” i „Nowoczesna Olimpia” Cézanne'a! Hi-ho! Hi-ho!

### **„Paris-Journal” - 7 maja 1874 - Ernest Chesneau Plenery, wystawa przy Boulevard des Capucines**

Młoda grupa artystów otworzyła wystawę przy Boulevard des Capucines. Gdyby naprawdę wierzyli w to, co robią, albo nie bali się zaryzykować i ponieść konsekwencji, może zdołaliby zadać akademikom bolesny cios.

Tymczasem ich wysiłki - choć zasługujące na zrozumienie i współczucie - mogą spalić na panewce właśnie ze względu na nadmierną ostrożność. Popelnili błąd taktyczny, zapraszając do udziału w wystawie malarzy, którzy snują się na obrzeżach targowiska próżności Salonu; artystów, którym nikt nie odmawia talentu, ale którzy są aktywni na innych polach. Mam tu na myśli panów de Nittisa, Boudina, Bracquemonda, Brandona, Lepine'a i Gustave'a Colina.

Organizując wystawę, zawsze trzeba pamiętać o wrodzonej inercji odbiorców. Widzowie są bierni. Inicjatywa zawsze należy do artysty. Jeśli przedstawimy odbiorcy dwa dzieła - jedno zgodne z przyjętymi zasadami, drugie zrywające z tradycją - możemy z góry założyć, że opinia publiczna opowie się za dziełem konwencjonalnym, odrzucając innowacyjne.

To właśnie wydarzyło się przy Boulevard des Capucines. Jedyna naprawdę interesująca i godna obejrzenia część wystawy zostaje pominięta przez gros zwiedzających, którzy nie dostrzegają ani nie doceniają jej znaczenia.

*Taka konfrontacja różnych szkół była, najłagodniej mówiąc, przedwczesna. Może sprawdzi się za parę lat. Oby organizatorzy wyciągnęli z tego wnioski i następnym razem przygotowali wystawę, która może zakończyć się triumfem „szkoły plenerowej”.*

*Tak bowiem pragnę nazwać tę grupę - którą, nie wiedząc czemu, ochrzczono mianem nonkonformistów - gdyż nie ulega wątpliwości, że przyświeca im jeden cel: ukazanie rzeczywistości pleneru.*

*Szkolę plenerową, której prace można oglądać na drugim poziomie budynku przy Boulevard des Capucines, reprezentują panowie Monet, Pissarro, Sisley, Degas, Rouart, Renoir oraz mademoiselle Morisot.*

*Płótna ich przywódcy, monsieur Maneta, nie zostały tam przedstawione. Czyżby mistrza odstraszyła zbytnia ekscentryczność niektórych obrazów? Czyżby nie akceptował kompromisu, który pozwolił, by na wystawie znalazły się prace tak odległe od ducha i założeń nurtu? Nie wiem. Czy postąpił słusznie, powstrzymując się od udziału? A może popełnił błąd? Nie mnie o tym przesądzać. Nie ulega jednak wątpliwości, że dopiero jego dzieła nadałyby wystawie charakter autentycznego manifestu, a na pewno ją dopełniły.*

*Niewykluczone też, że monsieur Manet, znany ze swej waleczności, wolał zmierzyć się z nieprzyjacielem na jego własnym terytorium - akademickiego Salonu. Musimy uszanować wolność bliźniego i pozwolić mu samodzielnie wybierać swoją drogę.*

*Warto chyba też uprzedzić zwiedzających, że żadne z płócien nie zostało przedstawione jury Salonu. Wystawę otwarto piętnastego kwietnia. Nie można zatem nazywać jej ani utożsamiać z Salonem Odrzuconych. Dla tych zaś, którzy byli już przy Boulevard des Capucines, ta informacja jest zbędna. Dlaczego? Każdy, kto ogląda te prace, wie bez cienia wątpliwości, że zostałyby odrzucone przez jury. Moim zdaniem świadczy to o ich wartości, autorzy bowiem otwarcie zrywają z tradycją i konwencjami.*

*Niechajże jednak Spółka Akcyjna - taką nazwę przyjęła grupa i tym chyba rzeczywiście jest - ma się na baczności. W obecnej postaci może stać się zaproszeniem dla nieutalentowanych malarzy, odrzuconych i wykluczonych z oficjalnych wystaw. Ich obecność jest pocałunkiem śmierci.*

*Spółka musi zmienić status, wprowadzić sztywniejsze reguły, bo nie przetrwa jako instytucja kulturalna. Jako przedsiębiorstwo handlowe - być może, ale w tej postaci ani trochę mnie nie interesuje.*

\*

- Impresjonistka! - prycha *maman*. - Naprawdę chcesz, by cię tak nazywano?

- Szczerze? Znam gorsze określenia.

- Na przykład: stara panna?

Siedzę wyprostowana i ostrożnie dobieram słowa. Nie chcę walczyć z *maman*. Zwyczajnie nie mam siły. Przeprowadzka. Wystawa. Po pół roku zamieszania odeszła mi ochota do walki.

- Opinia innych bardzo się dla ciebie liczy, prawda?

Patrzy na mnie czujnie, jakby to była zagadka albo pytanie podchwytliwe, a ona nie miała ochoty na odgadywanie. Ja jednak po prostu stwierdzam fakt.

Wystawa Spółki Akcyjnej Artystów pod wieloma względami zawiodła nadzieje. Nie sprzedaliśmy ani jednego obrazu, frekwencja była mizerna, a recenzje mieszane, z przewagą negatywnych.

*Maman* odebrała to jako osobiste upokorzenie i od pierwszej zjadliwej recenzji nieustannie prowokuje mnie do kłótni. A jak mam z nią walczyć, skoro sama nie wiem, czego chcę?

Ona przynajmniej ma jakieś przekonania.

Ja zaś tylko wegetuję. Czekam, kiedy zacznę naprawdę żyć. Czekam na szczęście. Wierzę, że przyjdą lepsze dni. Tyle że nigdy nie nadchodzą.

- Pozwoliłam sobie skontaktować się z twoim dawnym nauczycielem, monsieur Guichardem. Poprosiłam, by obejrzał wystawę i wyraził opinię na temat bohomazów, wśród których powiesiłaś swoje dzieła. - Wyjmuje z kieszeni list. - Początkowo nie zamierzałam czytać ci odpowiedzi, ale zmieniłam zdanie. Drogie dziecko, masz trzydzieści trzy lata. Nie znajdziesz już męża. - Głos jej się łamie, oczy napęcznieją się łzami. - *Mon bijou*, ja też powoli tracę zdrowie...

- Nonsens, *maman*, jesteś zdrowa jak ryba.

Macha listem, uciszając mnie. Opadam na oparcie kanapy.

- Martwię się o ciebie - mówi. - Martwię się, co się z tobą stanie, kiedy mnie zabraknie. Kto się tobą zaopiekuje, jaki los cię czeka?

Przygryzam od środka policzki, bo nie chcę jej przypominać, że to ja się nią opiekuję. Że doskonale potrafię poradzić sobie sama. Mam trzydzieści trzy lata - o czym z lubością mi przypomina - więc doprawdy zdążyłam przywyknąć do życia w pojedynkę.

- Dlatego postanowiłam jednak podzielić się z tobą opinią monsieur Guicharda. Obyś wzięła sobie jego słowa do serca.

Wzdycham. Mam dość tej huśtawki. Mama wspiera mnie, kiedy recenzje są pozytywne albo kupcy domagają się moich obrazów. Ledwo jednak niebo się chmurzy, ucieka z krzykiem, żeby przypadkiem nie zmoknąć. Patrząc, jak rozkłada list, uświadamiam sobie, że moja matka chętniej mnie krytykuje niż Louis Leroy, którego recenzje ociekają jadem. Przygotowuję się na kolejny, śmiertelny cios, który z rozkoszą mi zada.

Madame, głęboko mnie wzruszyła serdeczność, z jaką dziś mnie Pani powitała. Odmłodziłam o piętnaście lat, tyle czasu bowiem upłynęło, od kiedy wprowadzałam Pani córki w świat sztuki - jako nauczyciel i przyjaciel.

Udałem się do dawnej pracowni Nadara i pragnę na świeżo, szczerze podzielić się z Panią swoimi wrażeniami. Kiedy zaraz po wejściu zobaczyłem wśród tych bohomazów prace Pani córki, serce mi się ścisnęło. Pomyślałem: Nikt, kto zadaje się z takim towarzystwem, nie wychodzi bez szwanku. Manet dobrze zrobił, odradzając jej udział w wystawie.

*Maman* przerywa i patrzy na mnie, upewniając się, czy zatruta strzała na pewno trafiła do celu. Mnie jednak bardziej zastanawia, skąd monsieur Guichard znał stosunek Maneta do sprawy. Ja z pewnością nie wspominałam o tym mamie.

Nie przeczę, kiedy starannie się przeanalizuje wystawione tam obrazy, znajdzie się garstkę znakomitych prac. Jednak wszyscy ci twórcy są w mniejszym lub większym stopniu pozbawieni rozumu. Jeśli mademoiselle Berthe odczuwa tak silną potrzebę demonstracyjnych działań, niech nie niszczy wszystkiego, co do tej pory namalowała, lecz poleje naftą i podpali najnowsze pomysły swoich kolegów. Jak może wieszać swoje subtelne, eteryczne dzieło obok czegoś tak wstrętnego jak „Marzenie kawalera”? Oba obrazy stykają się ramami!

Rozumiem, jeśli młoda dziewczyna pali listy przypominające o bolesnym zawodzie. Takie popioły są usprawiedliwione. Jak jednak można zaprzeć się trudu, dążeń i marzeń, które wypełniały życie? Toż to szaleństwo. Gorzej, świętokradztwo!

Jako malarz, przyjaciel i lekarz mam dla niej następujące zalecenie: dwa razy w tygodniu ma iść do Luwru, przez trzy godziny stać przed Correggiem i błagać o przebaczenie, że malowała olejem to, co może wyrazić jedynie akwarela. Stać się najlepszą akwarelistką swoich czasów - to doprawdy nie lada sukces i osiągnięcie.

*Maman* odrywa wzrok od listu, upewniając się, czy słucham. Nie odpowiada mi, jak monsieur Guichard obraża członków Spółki, utożsamiając impresjonistów z szaleńcami. Powoli jednak oswajam się z samym określeniem „impresjonizm”. Więcej, coraz bardziej mi się podoba. List również mnie zaskakuje. Wcale nie jest tak surowy, jak się obawiałam. Przeciwnie, wydaje się dość pochlebny.

- Berthe, słuchasz mnie?

- Tak, *maman*.

- Dobrze, bo teraz będzie najważniejsza część.

Mam nadzieję, madame, że zechce Pani odpowiedzieć na ten szczerzy list, pisany prosto z serca. Jestem niezwykle zainteresowany losami tej obiecującej artystki. Musi jednak koniecznie zerwać z nową szkołą, owym - tak zwanym - kierunkiem przyszłości.

Proszę wybaczyć mi szczerość

Joseph-Benoît Guichard

*Maman* trzepie kartką o udo.

- Widzisz? Nie chcesz mnie słuchać, to wysłuchaj chociaż ostrzeżenia dawnego nauczyciela. Uważa Spółkę za okropne towarzystwo.

Skrobię się po głowie, aż wysuwa mi się kosmyk włosów.

Doceniam pochlebne uwagi monsieur Guicharda o moim talencie, ale zdumiewa mnie, że może być tak ślepy na niewiarygodny wprost talent Moneta, Renoira i Degasa. Jeśli oni są niepoczytalni, to mnie również nazwijcie wariatką. Znajdę się w wybitnym towarzystwie.

- Berthe, zrezygnujesz z tych niemądrych mrzonek i usatkuje się wreszcie? Nalegam, zmądrzej w końcu!

Nagle dociera do mnie, że *maman* zupełnie nie dostrzegła tego, co w liście było urocze i piękne.

- Tylko to wyczytałaś ze słów Guicharda? Że mam się poddać?

- A i owszem! To ci po prostu nie uchodzi! Jesteś za stara na takie błazenady!

Ze zdumienia odbiera mi mowę. Przeraża mnie jej ciasnota umysłu. *Maman* woli, żebym wegetowała u jej boku jako beczynna stara panna, zajmująca się haftem, niż żebym była szczęśliwa i niezależna, żyjąc po swojemu.

- Dajesz do zrozumienia, że powinnam przestać malować, by nie przykuwać uwagi do siebie i faktu, że nie chciałam wyjść za mąż?

*Maman* stęka. Właściwie można by to uznać za odpowiedź twierdzącą, gdyby nie to, że jeszcze się namyśla. Wtem jak z nieba spada nam Amélie.

- *Pardon, madame et mademoiselle*. Przyszedł monsieur Eugène Manet. Czy mam wprowadzić?

- *Oui, merci*.

*Maman* oddycha z ulgą. A przecież i tak znam jej odpowiedź. Jasno okazała, co myśli.

- Przyniesz nam też herbatę, *s'il vous plaît* - dysponuje.

Cieszę się z wizyty Eugène'a. W ciągu tego półrocza od śmierci papy ogromnie się zaprzyjaźniliśmy. Eugène potrafił delikatnie okazać pomoc. Okazał się też niezastąpiony, biorąc na siebie sprawy administracyjne związane z organizacją wystawy. I to mimo negatywnego stosunku brata do całego przedsięwzięcia.

Przyjaźń z Eugène'em przynosi mi prawdziwy spokój. Często nawet razem malujemy. Nie posiada talentu brata, nie lubi też znajdować się w centrum uwagi. I dobrze. Miło wreszcie nie czuć ognia rywalizacji, którym był naznaczony związek z Édouardem.

Czego się spodziewałam? Przy Édouardzie powołałam do życia bestię, która omal mnie nie pożarła.

Wsuwam w kok niesforny kosmyk. Zaraz potem do pokoju wchodzi Eugène. Kłania się nam obu i - zgodnie z sugestią *maman* - przysiadła się do mnie na otomanę. *Maman* przez chwilę zabawia nas towarzyską konwersacją, a potem wychodzi, zostawiając nas samych. Zapada niezręczna cisza.

Uśmiecham się. Odpowiada tym samym, pali raka i odwraca wzrok.

- W recenzjach z wystawy nazwisko pańskiego brata pojawia się niemal tak często jak członków Spółki. Zdaje się, że już zawsze będą nas utożsamiać.

Eugène ściąga brwi.

- Jest zawiedziony obojętnym przyjęciem jego obrazów na Salonie.

- Przynajmniej jury ich nie odrzuciło. Taka już ludzka natura: mimo największych osiągnięć zawsze pragniemy czegoś jeszcze.

Przez jego twarz przemyka smutek. Eugène jest naprawdę przystojny. Nie potrafi jednak nosić swojej urody z taką swobodą i pewnością siebie jak Édouard. To dobry człowiek, szczerzy. Mówi cicho, spokojnie, a w jego szarych oczach maluje się uczciwość. Dopiero dziś zwróciłam uwagę na ich kolor. Przez chwilę wytrzymuje moje spojrzenie, potem zaplata palce na kolanach i patrzy na swoje duże dłonie. Coś chyba leży mu na sercu.

Wchodzi Amélie z herbatą. Stawia tacę na stoliku przy otomanie. Eugène przesuwa nogi, żeby ją przepuścić. To mi uświadamia, o ile mniejsza jest nasza obecna bawialnia od pokoju w domu przy rue Franklin.

- Podać coś jeszcze? - pyta dziewczyna.

- *Non, merci.* To nam wystarczy. Sięgam po czajniczek i nalewam herbatę.

Eugène bierze filiżankę, opiera się o poduszkę i dopiero wtedy mówi:

- Mademoiselle, moja rodzina od przyszłego miesiąca wynajęła willę w Fécamp. Byłoby nam niezwykle miło, gdyby pani i pani matka zechciały udać się tam z nami.

Mam na końcu języka pytanie, czy będzie tam również Édouard, ale się rozmyślam. Dziwi mnie powaga brzmiąca w jego głosie i sposób, w jaki formułuje zaproszenie.

- Dziękuję, że państwo o nas pomyśleli. Porozmawiam z *maman*,

Spółczesność narzuca kobiecie niewdzięczną rolę. Jesteśmy córkami, żonami, matkami. To nasze miejsce i nasz świat. Poza jego terytorium nasza rola się kurczy. Rodzimy się, by znaleźć miłość. A mimo to znalezienie miłości to bodaj najtrudniejsze zadanie, przed jakim stajemy.

Do tej pory łatwiej mi było przelewać całe oddanie i zapał w malarstwo. To bezpieczna egzystencja, skoro Eros nie spojrział na mnie łaskawie.

Mogłabym winić poetów, że narzucają zbyt wielkie wymagania - każda z nas powinna być Julią, zdruzgotaną kochanką, która woli zadać sobie śmiertelny cios, niż żyć bez ukochanego.

Mogłabym winić *maman*, że doprowadziła mnie na skraj przepaści. Może powinnam też obwinać Édouarda za to, że mnie w sobie rozkochał, a później pozwolił odejść. Nawet teraz znam głębię swojego uczucia do niego. Może tylko to się liczy. Jeśli w ogóle się liczyło. A może czas się uwolnić.

Stoję na plaży w Fécamp. Puszczam na wodę papierową łódkę. Do tego maleńkiego stateczku wrzuciłam całe poczucie winy, które do tej pory w sobie dusiłam. Fala porywa go, to przyciąga, to odpycha, wreszcie zalewa kaskadą piany.

Ten wodny taniec przypomina falowanie wakacyjnych planów Édouarda. W końcu wybrał Argenteuil i nie przyjechał do naszych obu rodzin spędzających lato w Fécamp.

Przyjmuję ramię Eugène'a i jego uroczystą obietnicę, że będę najgoręcej kochaną kobietą pod słońcem. To dobry człowiek. Silny.

Kiedy zawracamy w stronę willi, oglądam się jeszcze raz. Promienie słońca lśnią w papierowej łódce, która - zgnieciona i spłaszczona - wynurzyła się na powierzchnię. Wtedy zalewa ją kolejna fala i pochłania. Pochłania już na zawsze.

TLR

# Rozdział 27

*Noc ma tysiące oczu  
Dzień tylko jedno ma  
Lecz gaśnie blask nad światem  
Gdy słońce idzie spać.  
Rozum ma tysiąc oczu  
Serce zaś jedno ma  
Lecz życie blask swój traci  
Gdy gaśnie miłość twa.*

Francis William Bourdillon

**Styczeń 1875**

Najdroższy Tiburce!

Eugène mówi, że dziś wysyłają pocztę. Boję się, żeby nie przegapić kolejnej okazji napisania do Ciebie, więc w pośpiechu kreślę te kilka słów. Od tygodni obsesyjnie dręczy mnie pytanie, gdzie się podziewasz? Co robisz? Wiele bym dała, by się tego dowiedzieć, a jeszcze więcej - by choć w drobnej mierze przyczynić się do Twego szczęścia.

Jeśli zaś chodzi o mnie, jestem mężatką już cały miesiąc. Wielka chwila odbyła się bezładnej pompy. Wzięłam ślub w codziennej sukni i kapeluszu - jak przystało na staruszkę - i bez żadnych gości.

Od tamtej pory czekam na dalszy rozwój wydarzeń, ale na razie los nam nie sprzyja. Podróż do Konstantynopola - początkowo tak pewna - staje pod znakiem zapytania. Nie będę jednak narzekać, mąż bowiem, jak się wydaje, szczerze mnie kocha.

Po tylu latach karmienia się niemądrymi chimerami, które nie przyniosły mi szczęścia, wreszcie zaczęłam życie, które niesie obietnice na przyszłość. Mimo to jednak ilekroć myślę o mamie, zastanawiam się, czy rzeczywiście wypełniłam swój obowiązek. To bardzo skomplikowane kwestie, a mnie nigdy nie przychodziło łatwo odróżnianie dobra od zła.

Twoja kochająca siostra

Madame E. Manet



# Od autorki

Kiedy w maju 1999 roku wyruszałam z mężem do Paryża, nie spodziewałam się, że ta podróż zmieni moje życie. Wcześniej przez jakiś czas mieszkałam we Francji i marzyłam o powrocie do jej stolicy. Dla mojego męża to była pierwsza podróż do tego cudownego kraju. Najbardziej (oprócz kuchni) przyciągała nas tam sztuka. Zwiedzaliśmy galerie - od Luwru przez Musée d'Orsay po Musée National de l'Orangerie - chłonąc dzieła największych mistrzów.

Najbardziej interesowali mnie francuscy impresjoniści. Zawsze lubiłam ich malarstwo i nie mogłam się doczekać jednodniowej wycieczki do Giverny, gdzie mieści się dom i słynne ogrody Claude'a Moneta. Zanim jednak wsiedliśmy do pociągu na Gare Saint-Lazaire, wstąpiliśmy do paryskiego Musée Marmottan, gdzie wisi słynne płótno „Impresja - wschód słońca” Moneta. Dzieło, które zapoczątkowało ruch francuskiego impresjonizmu.

Na pierwszym piętrze tego muzeum po raz pierwszy spotkałam Berthe Morisot. Oczywiście niedosłownie. W swoich świetlistych obrazach jednak zdołała zostawić część siebie. Choć interesowałam się impresjonizmem, wcześniej nie znałam jej prac. Jej styl od pierwszej chwili mnie zauroczył, a dołączone do wystawy zdjęcie rodzinne zaintrygowało. Nie dawało mi spokoju. Dlatego zainteresowałam się jej biografią. Dopiero wtedy odkryłam fascynującą historię niezwykle interesującej, fantastycznie utalentowanej kobiety, która zrzuciła krępujące ją więzy dziewiętnastowiecznego społeczeństwa i stała się jedną z największych artystek świata. W miarę lektury stawało się też dla mnie jasne, że musiała ogromnie kochać Édouarda Maneta, brata mężczyzny, który potem został jej mężem.

Zachowała się zaledwie garstka dokumentów, które potwierdzałyby istnienie niezwyklego przyciągania między Édouardem a Berthe. Biografowie wspominają jedynie, że łączyła ich bliska przyjaźń, i przyznają, że w korespondencji Berthe można dopatrzeć się świadectw miłosnego zauroczenia. Wiele o ich stosunkach mówi też wyjątkowa zazdrość Berthe o żonę Maneta Suzanne oraz jego uczennicę Èvę Gonzalès. Jednak najbardziej przekonującym argumentem są portrety Berthe, jakie Édouard stworzył w latach 1872-74. Ani wcześniej, ani potem nikogo nie malował tak często.

Wiadomo, że i Édouard, i Eugène kochali Berthe. Niektórzy biografowie piszą nawet o swoistej rywalizacji braci o jej względy. Niestety, Édouard był żonaty. Eugène wolny. W ostatecznym rozrachunku wygrał młodszy. Berthe poślubiła go 22 grudnia 1874 roku.

Po ogłoszeniu zaręczyn Édouard namalował ją po raz ostatni. Na obrazie wyraźnie widać jej pierścionek zaręczynowy. Potem już nigdy mu nie pozowała. Z zachowanych dokumentów wynika, że pozostała wierna przysiędze małżeńskiej i z Édouardem łączyła ją jedynie przyjaźń. Nikt nie wie, do kogo naprawdę należało jej serce.

W powieści starałam się jak najwierniej przedstawić udokumentowane fakty z życia Berthe Morisot i Édouarda Maneta. Należy jednak w tym miejscu podkreślić, że jest to przede wszystkim fikcja

literacka. Wykorzystałam korespondencję Berthe - niektóre listy cytowałam słowo w słowo, inne stanowią wyłącznie twór mojej wyobraźni. Starałam się „domalować” brakujące elementy związku Berthe z Édouardem, próbując odtworzyć, co mogło się między nimi wydarzyć. Z niekłamanym podziwem oraz szacunkiem dla tej pary wybitnych artystów i nonkonformistów zadawałam pytanie: „Co by było, gdyby...?”.

Tak narodziła się ta historia miłosna, która może się wydarzyła, a może nie...

TLR